

AGATHA CHRISTIE

DETEKTYWI W SŁUŻBIE MIŁOŚCI

PRZEŁOŻYŁA GRAŻYNA WOYDA

TYTUŁ ORYGINAŁU ANGIELSKIEGO: „PROBLEM AT POLLENSA BAY AND
OTHER STORIES”

KŁOPOTY W POLLENSA BAY

Kiedy wczesnym rankiem Parker Pyne zszedł w Palmie z parowca płynącego z Barcelony na Majorkę, od razu spotkało go rozczarowanie. Hotele były przepełnione! Najlepszym lokum, jakie mogli mu zaproponować, była mała duszna klitka z widokiem na podwórkę hotelu położonego w centrum miasta... ale Parker Pyne nie chciał w niej zamieszkać. Właściciel hotelu obojętnie odniósł się do jego skarg.

— Co mogę zrobić? — westchnął, wzruszając ramionami. — Palma staje się popularna! Kurs wymiany walut jest bardzo korzystny! Wszyscy... Anglicy, Amerykanie... przyjeżdżają zimą na Majorkę. Cała wyspa jest zatłoczona. Wątpię, by angielski dżentelmen znalazł gdziekolwiek miejsce... może w Formentor, gdzie ceny są tak horrendalne, że nawet cudzoziemcy wzdrygają się ze zgrozą.

Parker Pyne wypił kawę, zjadł bułeczkę i poszedł zwiedzić katedrę, ale nie był w nastroju sprzyjającym podziwianiu uroków architektury.

Następnie w łamanej francuszczyźnie, naszpikowanej miejscowym hiszpańskim, odbył naradę z przyjaźnie nastawionym taksówkarzem. Rozprawiali o zaletach oraz możliwościach takich miejscowości, jak Soller, Alcudia, Pollensa i Formentor, w których znajdowały się eleganckie, lecz bardzo drogie hotele.

Parker Pyne natychmiast spytał o ceny w tych hotelach.

— Żądają tam — odparł taksówkarz — sum absurdalnych, a przecież powszechnie wiadomo, że Anglicy przyjeżdżają tu, bo ceny są umiarkowane.

Parker Pyne przyznał mu rację, ale mimo wszystko chciał wiedzieć, jakich kwot żądają w Formentor.

— Niewiarygodnych!

— Wspaniale... ale ILE ONE DOKŁADNIE WYNOSZĄ? Kierowca w końcu zgodził się podać mu liczby. Parkera Pyne'a, który niedawno musiał płacić za hotele w Jerozolimie i w Egipcie, liczby te zbytnio nie oszołomiły.

Dobili targu. Walizki Parkera Pyne'a w sposób nieco niedbały zostały załadowane do taksówki i wyruszyli w objazd wyspy, szukając po drodze tańszych zajazdów, ale mając za ostateczny cel Formentor.

Nie dotarli jednak do miejsca pobytu plutokracji, ponieważ minąwszy wąskie ulice Pollensa, a następnie podążając wzdłuż krętego wybrzeża, spostrzegli położony nad samym morzem hotelik Pino d'Oro. Przed nimi rozciągał się widok, który w lekkiej mgłę pięknego poranka przypominał japoński sztych. Parker Pyne od razu zdał sobie sprawę, że tego właśnie szukał. Zatrzymał taksówkę i z nadzieją, że znajdzie tu spokojne miejsce pobytu, wszedł przez pomalowaną bramę.

Starsi państwo, którzy okazali się właścicielami hotelu, nie znali ani angielskiego, ani francuskiego. Mimo to sprawa zakończyła się pomyślnie. Parker Pyne dostał pokój z widokiem na morze, walizki zostały wyładowane, kierowca pogratulował swemu pasażerowi, że udało mu się uniknąć monstrualnych cen, jakie obowiązują w „tych nowych hotelach”, otrzymał zapłatę za kurs i odjechał z przyjaznym hiszpańskim pożegnaniem.

Parker Pyne zerknął na zegarek i stwierdziwszy, że jest dopiero za kwadrans dziesiąta, wyszedł na niewielki, skąpany w oślepiającym blasku poranka taras i już po raz drugi tego dnia zamówił kawę i bułeczki.

Z trzech pozostałych stołów jeden był jeszcze nie uprzątnięty, a dwa zajęte. Najbliższy okupowała rodzina Niemców złożona z ojca, matki i dwóch dorastających córek. Za nimi w rogu tarasu siedzieli Anglicy, matka i syn.

Kobieta, w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat, miała siwe włosy o ładnym odcieniu. Była gustownie, ale niezbyt modnie ubrana w tweedowy kostium. Cechowała ją owa spokojna pewność siebie, jaką odznaczają się Angielki często podróżujące za granicę.

Siedzący naprzeciw niej młody człowiek, który mógł mieć jakieś dwadzieścia pięć lat, był również typowym przedstawicielem swojej klasy i pokolenia. Nie był ani przystojny, ani brzydki, ani wysoki, ani niski. Najwyraźniej łączyły go z matką bardzo dobre stosunki; wymieniali żartobliwe uwagi, a on troskliwie jej usługiwał.

W pewnej chwili kobieta spojrzała na Parkera Pyne'a. Jej wzrok prześlizgnął się po nim z wystudiowaną obojętnością, ale on wiedział, że został oceniony i otaksowany.

Czuł, że rozpoznała w nim Anglika i że niewątpliwie w odpowiednim momencie skieruje pod jego adresem jakąś życzliwą a zdawkową uwagę. Nie miał nic przeciwko temu. Spotykani za granicą rodacy trochę go nudzili, ale lubił zachowywać się wobec nich przyjaźnie. W tak małym hotelu chęć izolowania się mogła wywołać nieprzyjemne napięcia. Był zresztą przekonany, że akurat ta dama ma nieskazitelne „hotelowe maniery”.

Angielski młodzieniec wstał, zrobił jakąś zabawną uwagę i wszedł do hotelu. Kobieta wzięła swoją lekturę i torebkę, a potem usadowiła się na krześle, twarzą w kierunku morza. Rozłożyła egzemplarz „Continental Daily Mail”. Siedziała odwrócona plecami do Parkera Pyne'a.

Parker Pyne, dopijając swoją kawę, zerknął w jej stronę i nagle zeszytniał. Był zaniepokojony — zaniepokojony o spokojny przebieg swych wakacji! Jej plecy były okropnie ekspresyjne. W ciągu swojego życia nauczył się oceniać nastroje ludzi po ich sylwetce. Nie widział twarzy tej kobiety, ale emanujące z jej postawy napięcie podpowiadało mu, że w oczach ma powstrzymywane z trudem łzy i że panuje nad sobą z ogromnym wysiłkiem.

Parker Pyne, czujny jak tropione zwierzę, schronił się w zaciszu hotelu. Niecałe pół godziny wcześniej poproszono go o wpisanie swego nazwiska do księgi leżącej na ladzie recepcji. Widniał w niej staranny podpis: C. Parker Pyne, Londyn.

Teraz zajrzał do rejestru gości i zauważył o kilka linijek wyżej adnotację: pani R. Chester, pan Basil Chester, Holm Park, Devon.

Chwycił pióro i szybko poprawił swój wpis. Teraz w tym miejscu można było przeczytać (nie bez trudu): Christopher Pyne.

Czując, że pani R. Chester jest nieszczęśliwa w Pollensa Bay, nie zamierzał jej ułatwiać możliwości zasięgnięcia u siebie porady.

Od dawna już zdumiewała go liczba spotykanych za granicą rodaków, którzy znali jego nazwisko i zwrócili uwagę na jego anonsy. Tysiące ludzi codziennie kupujących w Anglii „Timesa” mogłyby, nie mijając się z prawdą, stwierdzić, że nigdy w życiu o nim nie słyszały. Zauważył jednak, że mieszkańcy Wysp Brytyjskich o wiele dokładniej czytają gazety podczas pobytu za granicą i nie pomijają niczego, nawet drobnych ogłoszeń.

Już nieraz przerywano mu urlop. Musiał się zajmować całą masą problemów, poczynając od morderstwa, a kończąc na próbie szantażu. Na Majorce chciał mieć spokój. Czuł instynktownie, że ta nieszczęśliwa matka może ten spokój poważnie zakłócić.

Parker Pyne był bardzo zadowolony ze swego pobytu w Pino d'Oro. W pobliżu stał większy hotel, Mariposa, w którym zatrzymywało się wielu Anglików. W okolicy mieszkała też spora grupa artystów. Idąc brzegiem morza można było dotrzeć do wioski rybackiej, w której znajdowało się kilka sklepów oraz koktajl bar. Wszędzie było spokojnie i miło. Przechadzające się dziewczęta miały na sobie spodnie, a zamiast bluzek różnobarwne chustki. Siedzący w Mac's Bar długowłosi młodzieńcy w beretach rozprawiali o zaletach kolorytu i abstrakcji w malarstwie.

Nazajutrz po przyjeździe Parkera Pyne'a pani Chester zamieniła z nim parę zdawkowych uwag na temat krajobrazu oraz stwierdziła, że piękna pogoda najprawdopodobniej się utrzyma. Potem pogawędziła chwilę o szydełkowaniu z jakąś niemiecką damą, a następnie

porozmawiała o niepokojącej sytuacji politycznej z dwoma duńskimi dżentelmenami, którzy codziennie wstawali o świcie i przez jedenaście godzin spacerowali po okolicy.

Parker Pyne uznał Basila Chestera za niezwykle miłego młodego człowieka. Młodzieniec zwracał się do niego „*sir*” i słuchał z uprzedzającą uprzejmością wszystkiego, co mówił. Czasami wieczorem, po kolacji, trójka Anglików wypijała razem kawę. Poczynając od czwartego dnia Basil zaczął opuszczać towarzystwo po mniej więcej dziesięciu minutach, zostawiając Parkera Pyne’a tete-à-tete ze swoją matką.

Rozmawiali o kwiatach i ich pielęgnacji, o oplakanyim stanie angielskiego funta, o drożyznie we Francji oraz o trudnościach, na jakie narażony jest w tym kraju każdy, kto chce się napić po południu dobrej herbaty.

Za każdym razem, kiedy Basil ich opuszczał, Parker Pyne dostrzegał lekkie, skrywane drżenie ust jego matki, która jednak natychmiast odzyskiwała panowanie nad sobą i ochoczo rozprawiała na wspomniane tematy.

Stopniowo zaczęła mówić o swoim synu: o tym, jak dobrze się uczył: „wie pan, był wśród najlepszych w szkole”, o tym, jak bardzo jest lubiany, o tym, jaki dumny byłby z niego jego ojciec, gdyby żył, o tym, jaka jest wdzięczna losowi za to, że Basil nigdy nie postępował „nieodpowiedzialnie”.

— Oczywiście, zawsze go namawiam, by spędzał więcej czasu z młodymi ludźmi, ale wydaje mi się, że woli moje towarzystwo — powiedziała z ujmującą skromnością, choć nie bez zadowolenia.

Tym razem Parker Pyne powstrzymał się od skwitowania tej uwagi konwencjonalnym, zdawkowym komplementem.

— Och, no cóż, zdaje się, że jest tu dużo młodzieży... nie w hotelu, ale w całej okolicy — wtrącił.

Pani Chester wyraźnie zeszywniała.

— Oczywiście, bywa tu wielu tak zwanych artystów — powiedziała. — Być może jestem staromodna, ale mam wrażenie, że większość tych młodych ludzi traktuje swe zainteresowanie sztuką jako pretekst do wylegiwania się na słońcu i nieróbstwa... a te dziewczęta stanowczo za dużo piją.

— Strasznie się cieszę, że przyjechał pan tutaj, *sir* — powiedział następnego dnia Basil do Parkera Pyne’a — zwłaszcza ze względu na matkę. Lubi te wasze wieczorne rozmowy.

— A jak przedtem spędzaliście czas?

— Prawdę mówiąc, zazwyczaj graliśmy w pikietę.

— Rozumiem.

— Oczywiście można się tym szybko znudzić. W gruncie rzeczy mam tu kilkoro przyjaciół... grono bardzo wesołych znajomych. Nie sędzę, by moja matka ich aprobowała... — Roześmiał się, jakby uważał swoją wypowiedź za zabawną. — Matka jest trochę staroświecka... Szokuje ją nawet widok dziewcząt w spodniach!

— To prawda — zgodził się Parker Pyne.

— Powtarzam jej, że trzeba iść z duchem czasu... Dziewczęta w naszym kraju są przerażająco nudne...

— Rozumiem — powiedział Parker Pyne.

Cała ta sprawa dosyć go zaintrygowała. Stał się widzem kameralnego dramatu, ale nie został zaproszony do wzięcia w nim udziału.

A potem wydarzyło się coś, co z punktu widzenia Parkera Pyne’a było rzeczą najgorszą. W hotelu Mariposa zatrzymała się jego niezwykle gadatliwa znajoma. Spotkali się w herbaciarni w obecności pani Chester.

— Kogo widzę... czyż to nie Parker Pyne?... — zawołała znajoma od wejścia. — Jedyiny i niepowtarzalny Parker Pyne! I Adela Chester! A więc się znacie? Och, doprawdy? Mieszkacie w tym samym hotelu? On jest prawdziwym cudotwórcą, Adelo... objawieniem

tego stulecia... potrafi na poczekaniu uwolnić każdego od wszystkich kłopotów! Nie wiedziałaś? Musiałaś o nim słyszeć. Nie czytałaś jego ogłoszeń? Masz kłopoty? Zasięgnij porady Parkera Pyne'a. Nie ma dla niego rzeczy niemożliwych. Mężowie i żony skaczą sobie do gardła, a on ich godzi... Ktoś stracił chęć do życia, a on przedstawia mu je jako pasmo fascynujących przygód. Jak mówię, ten człowiek jest po prostu cudotwórcą!

Jej przemowa trwała znacznie dłużej, a Parker Pyne od czasu do czasu skromnie zaprzeczał. Nie podobał mu się sposób, w jaki patrzyła na niego pani Chester. Jeszcze bardziej nie spodobało mu się to, że kiedy wracali po plażę do hotelu, wdała się w ożywioną pogawędkę z piejącą hymny pochwalne na jego cześć gadatliwą wspólną znajomą.

Punkt kulminacyjny nadszedł prędzej, niż się tego spodziewał.

— Czy mógłby pan przejść ze mną do saloniku, panie Pyne? — spytała jeszcze tego samego wieczora pani Chester, skończywszy swoją kawę. — Chciałabym panu coś powiedzieć.

Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko skinąć głową i poddać się.

Pani Chester musiała nad sobą panować z największym trudem, bo kiedy tylko drzwi saloniku zamknęły się za nimi, jej samokontrola runęła w gruzy. Usiadła i zalała się łzami.

— Chodzi o mego syna. Musi go pan uratować. Musimy go uratować. Ta sprawa łamie mi serce!

— Droga pani, jako człowiek postronny...

— Nina Wycherley twierdzi, że pan czyni cuda. Mówiła, że mogę panu całkowicie zaufać. Poradziła mi, bym panu o wszystkim opowiedziała... a pan rozwiąże cały problem.

Parker Pyne przeklął w duchu natrętą panią Wycherley.

— A więc, wyjaśnijmy tę sprawę — powiedział zrezygnowanym tonem. — Chodzi o dziewczynę, prawda?

— Wspominał panu o niej?

— Tylko pośrednio.

Z ust pani Chester wylał się gwałtowny potok słów.

— Ta dziewczyna jest okropna. Pije, przeklina... ubiera się tak, że szkoda mówić. Jej siostra mieszka tu, w okolicy... wyszła za jakiegoś artystę... Holendra. Całe to towarzystwo jest nie do przyjęcia. Połowa z nich mieszka pod jednym dachem bez ślubu. Basil zupełnie się zmienił. Zawsze był bardzo spokojnym chłopcem i miał poważne zainteresowania. Kiedyś nawet myślał, by zająć się archeologią...

— No cóż — powiedział Parker Pyne. — Natura lubi się mścić.

— Co pan ma na myśli?

— To nienaturalne, by młody człowiek miał poważne zainteresowania. Powinien robić z siebie durnia uganiając się za dziewczętami.

— Chyba pan żartuje, panie Pyne.

— Wcale nie żartuję. Czy tą młodą damą nie jest przypadkiem dziewczyna, w której towarzystwie jadła pani wczoraj podwieczorek?

Parker Pyne zwrócił na nią uwagę; na jej szare flanelowe spodnie, szkarłatną chustkę luźno opasującą biust, na usta koloru cynobru oraz na fakt, że zamówiła koktajl, a nie herbatę.

— Widział ją pan? Okropna! Basil nigdy nie był zachwycony dziewczętami tego typu.

— Nie dawała mu pani wielu sposobności do zachwycania się jakąkolwiek dziewczyną, prawda?

— Kto?

— Basil nadmiernie lubi pani towarzystwo! A to źle! Myślę jednakże, że mu to przejdzie... o ile nie będzie pani przyspieszać biegu wydarzeń.

— Pan nie rozumie. On chce się ożenić z tą dziewczyną... z tą Betty Gregg... już są zaręczeni.

— Więc to zaszło aż tak daleko?

— Owszem. Panie Pyne, pan musi coś przedsięwziąć. Musi pan uchronić mego syna przed tym katastrofalnym małżeństwem! Ta sprawa zrujnuje mu życie.

— Każdy rujnuje swoje życie sam.

— Ale dla niego ten związek będzie miał katastrofalne następstwa — powtórzyła stanowczym tonem pani Chester.

— Ja wcale „nie martwię się o Basila.

— Nie martwi się pan chyba o tę dziewczynę?

— Nie, martwię się o panią. Za mało myśli pani o sobie. Pani Chester spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Między dwudziestym a czterdziestym rokiem życia jesteśmy spętani i ograniczeni przez nasze osobiste emocjonalne związki. Tak musi być. Takie jest życie. Ale później wchodzimy w nowy etap. Możemy rozważać, obserwować życie, odkrywać pewne sprawy dotyczące innych ludzi i prawdę o samych sobie. Życie staje się realne, nabiera znaczenia. Widzi się je jako całość. Nie jako zbiór oderwanych scen, w których my, jako aktorzy, bierzemy udział. Żaden człowiek nie jest w pełni sobą, dopóki nie ukończy czterdziestu pięciu lat. Wtedy dopiero ma ukształtowaną osobowość.

— Pochłaniała mnie miłość do Basila — powiedziała pani Chester. — Był dla mnie wszystkim.

— No cóż, a nie powinien. Za to właśnie pani teraz płaci. Niech go pani kocha tak bardzo, jak tylko się pani podoba, ale proszę pamiętać, że jest pani Adelą Chester... konkretną osobą, a nie jedynie matką Basila.

— Jeśli życie mojego syna zostanie zrujnowane, pęknie mi serce — oznajmiła matka Basila.

Parker Pyne spojrzał na subtelne rysy jej twarzy, na smutny grymas ust. Doszedł do wniosku, że jest miłą kobietą. Nie chciał jej zranić.

— Zobaczę, co się da zrobić — powiedział.

Kiedy spotkał Basila, młody człowiek z chęcią podjął z nim rozmowę i przedstawił swój punkt widzenia.

— To bardzo nieprzyjemna sprawa. Mama jest beznadziejna... uprzedzona i ograniczona. Gdyby zechciała szerzej otworzyć oczy, zobaczyłaby, jaką wspaniałą dziewczyną jest Betty.

— A jaka jest Betty? Basil westchnął.

— Jest piekielnie trudną osobą! Gdyby była bardziej ustepliwa... to znaczy przestała się malować w ciągu dnia... wszystko wyglądałoby inaczej. W obecności mojej matki wychodzi chyba z siebie, żeby wydać się... hmm... nowoczesna.

Parker Pyne uśmiechnął się.

— Betty i moja matka należą do najcudowniejszych kobiet na świecie; można by oczekiwać, że natychmiast znajdą wspólny język.

— Musisz się jeszcze wiele nauczyć, młody człowieku — powiedział Parker Pyne.

— Chciałbym, aby spotkał się pan z Betty i porozmawiał z nią o tym wszystkim.

Parker Pyne chętnie przystał na jego propozycję.

Betty i jej siostra z mężem mieszkali w małej zaniedbanej willi. Ich życie cechowała ożywcza prostota. Umeblowanie domku składało się z trzech krzeseł, stołu i łóżek. Wbudowany w ścianę kredens zawierał niezbędny zestaw filiżanek i talerzy. Hans był pobudliwym młodzieńcem o zmierzwionych, sterczących na wszystkie strony jasnych włosach. Mówił niewiarygodnie szybko, używając bardzo dziwnej angielszczyzny i chodząc przy tym tam i z powrotem po pokoju. Jego żona, Stella, była drobną blondynką. Betty Gregg miała rude włosy, piegi i figlarne oczy. Parker Pyne zauważył, że nie jest tak mocno umalowana jak poprzedniego dnia w Pino d'Oro. Podała mu koktajl.

— Czy przyszedł pan tu jako człowiek wtajemniczony w istotę naszego konfliktu? — spytała, mrużąc oczy.

Parker Pyne kiwnął potakująco głową.

— A po czyjej jest pan stronie? Zakochanej pary czy potępiającej ich związek starszej pani?

— Czy mogę zadać pani pytanie?

— Oczywiście.

— Czy w całej tej sprawie zachowywała się pani taktownie?

— Bynajmniej — odparła szczerze panna Gregg. — Ale ta stara jędrza okropnie mnie irytuje. — Rozejrzała się po pokoju, by sprawdzić, czy Basil przypadkiem jej nie słyszy. — Ta kobieta doprowadza mnie do szału. Od wielu lat trzyma Basila uwięzianego do swojej spódnicy, a takie postępowanie sprawia, że mężczyzna wygląda na głupca. W rzeczywistości Basil wcale nie jest głupi. A poza tym ona zachowuje się tak przeraźliwie po angielsku.

— Nie ma w tym nic złego. W dzisiejszych czasach takie zachowanie uważa się po prostu za „niemodne”.

W oczach Betty Gregg pojawił się błysk humoru.

— Czy ma pan na myśli te krzesła chippendale, które w epoce wiktoriańskiej chowało się na strychu, a potem zносиło się je z powrotem do salonu i pytało: „Czyż nie są cudowne”?

— Coś w tym rodzaju.

Betty zastanawiała się przez chwilę.

— Być może ma pan rację. Będę szczerą. To Basil mnie zirytował... tak bardzo się niepokoił, jakie wrażenie wywrę na jego matce. To doprowadziło mnie do ostateczności. Przypuszczam, że nawet teraz mógłby ze mnie zrezygnować... gdyby jego matka usilnie się o to postarała.

— To prawda — przyznał Parker Pyne. — Gdyby zabrała się do tego we właściwy sposób.

— Czy zamierza pan podsunąć jej ten sposób? Sama na niego nie wpadnie. Po prostu nadal będzie przeciwna naszemu małżeństwu, a to niczego nie zmieni. Ale jeśli pan jej podpowie...

Przygryzła wargi i spojrzała na niego szczerymi, niebieskimi oczami.

— Słyszałam o panu, panie Pyne. Podobno zna się pan na ludzkiej naturze. Czy sądzi pan, że Basil i ja pasujemy do siebie... czy nie?

— Chciałbym usłyszeć odpowiedź na trzy pytania.

— Test dotyczący zgodności charakterów? Dobrze, niech pan zaczyna.

— Czy sypia pani przy otwartym oknie, czy przy zamkniętym?

— Przy otwartym. Uwielbiam świeże powietrze.

— Czy oboje lubicie te same potrawy?

— Owszem.

— Czy lubi pani kłaść się spać wcześniej, czy późno?

— Tak naprawdę, wcześniej, ale mówię to panu w sekrecie. O wpół do jedenastej zaczynam ziewać, a rano jestem pełna energii... ale oczywiście boję się do tego przyznać.

— Powinniście tworzyć bardzo dobrą parę — stwierdził Parker Pyne.

— To dość powierzchowny test.

— Wcale nie. Znałem co najmniej siedem małżeństw, które rozpadły się tylko dlatego, że mąż lubił przesiadywać do północy, a żona zasypiała o wpół do dziesiątej, lub odwrotnie.

— Szkoda — powiedziała Betty — że nie wszyscy mogą być szczęśliwi. Basil, ja i jego matka, udzielając nam błogosławieństwa.

Parker Pyne odkaszlnął.

— Myślę — oznajmił — że można to będzie załatwić.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

— Zastanawiam się — powiedziała — czy pan mnie nie oszukuje?

Z twarzy Parkera Pyne'a niczego nie można było odczytać.

Gdy spotkał panią Chester, starał się ją uspokoić, ale czynił to w sposób dość mglisty. Tłumaczył jej, że zaręczyny to jeszcze nie małżeństwo. Oznajmił, że wybiera się na tydzień

do Soller. Poradził jej, by zachowywała się powściągliwie. Aby sprawiała wrażenie osoby pogodzonej z sytuacją.

W Soller spędził bardzo przyjemny tydzień. Po powrocie stwierdził, że wydarzenia rozwinęły się w sposób zupełnie nieoczekiwany.

Kiedy wszedł do Pino d'Oro, od razu dostrzegł panią Chester i Betty Gregg, które piły razem herbatę. Basila nie było. Pani Chester wydawała się znużona. Betty również wyglądała mizernie. Była bez makijażu, a po oczach widać było, że płakała.

Powitały go przyjaźnie, ale żadna z nich nie wspomniała o Basilu.

Nagle usłyszał, że Betty bierze głęboki oddech, jakby coś ją zabolalo. Odwrócił głowę.

Od strony morza wchodził po schodach Basil Chester. Towarzyszyła mu dziewczyna o zapierającej dech egzotycznej urodzie. Miała ciemne włosy i wspaniałą figurę. Nie mogło to ujść niczyjej uwagi, ponieważ jej ciało okrywała jedynie skąpa sukienka z bładoniebieskiej jedwabnej krepy. Gruba warstwa pudru i karminowe usta jeszcze bardziej podkreślały jej niezwykle urodę. Basil nie odrywał od niej wzroku.

— Spóźniłeś się, Basil — skarciła go matka. — Miałeś zabrać Betty do baru.

— To moja wina — wycedziła piękna nieznajoma. — Po prostu straciliśmy poczucie czasu. — Odwróciła się do Basila. — Kochanie... przynieś mi szklankę czegoś mocniejszego!

Zrzuciła pantofel i wyciągnęła nogę. Paznokcie u stóp miała pomalowane na taki sam szmaragdowozielony kolor jak paznokcie u rąk.

Nie zwracała najmniejszej uwagi na panią Chester i Betty.

— Cóż za okropna wyspa — powiedziała do Parkera Pyne'a, pochylając się lekko w jego stronę. — Po prostu umierałam z nudów, dopóki nie poznałam Basila. Jest takim kochanym stworzeniem!

— Pan Parker Pyne... panna Ramona — przedstawiła ich sobie pani Chester.

Dziewczyna skwitowała tę prezentację leniwym uśmiechem.

— Chyba od razu zacznę do ciebie mówić Parker — mruknęła. — Mam na imię Dolores.

Basil przyniósł drinki. Panna Ramona rozmawiała wyłącznie z Basilem i Parkerem Pyne'em, rzucając im uwodzicielskie spojrzenia. Na kobiety nie zwracała najmniejszej uwagi. Betty próbowała raz czy dwa włączyć się do dyskusji, ale Dolores patrzyła na nią wyzywająco i zbywała jej uwagi ziewaniem.

— Chyba już pójdę — oznajmiła nagle i wstała. — Mieszkam w innym hotelu. Czy ktoś mnie odprowadzi?

— Ja to zrobię — powiedział Basil, zrywając się z krzesła.

— Ależ Basil, kochanie... — zaczęła pani Chester.

— Zaraz wrócę, mamó.

— Czyż to nie maminsynek? — spytała panna Ramona, nie zwracając się do nikogo z obecnych. — Jesteś na każde jej skinienie, co?

Basil zaczerwienił się zażenowany. Panna Ramona złożyła pani Chester lekki ukłon i uśmiechnęła się olśniewająco do Parkera Pyne'a, po czym wraz z Basilem opuściła towarzystwo.

Po ich wyjściu zapadło kłopotliwe milczenie. Parker Pyne nie chciał zaczynać rozmowy. Betty Gregg nerwowo wyłamując palce patrzyła na morze. Pani Chester była wyraźnie rozgniewana.

— No cóż, co pan sądzi o naszej nowej znajomej? — spytała drżącym głosem Betty.

— Nieco... hmm... egzotyczna — odparł powściągliwie.

— Egzotyczna? — Betty zaśmiała się z goryczą.

— Ona jest okropna... Po prostu okropna — oznajmiła pani Chester. — Basil chyba oszalał.

— Basil jest w porządku — stwierdziła ostrym tonem Betty.

— A te paznokcie u nóg — powiedziała pani Chester, trzęsąc się z oburzenia.

Betty nagle wstała.

— Pani Chester, chyba pójdę już do domu i nie zostanę na kolacji.

— Och, moja droga... Basil będzie niepokieszony.

— Doprawdy? — spytała Betty z ironią. — Tak czy owak już sobie pójdę. Rozbolała mnie głowa.

Uśmiechnęła się do obojga i wyszła. Pani Chester odwróciła się do Parkera Pyne'a.

— Żałuję, że tu przyjechaliśmy... bardzo tego żałuję! Parker Pyne ze smutkiem pokiwał głową.

— Nie powinien był pan stąd wyjeżdżać — powiedziała pani Chester. — Gdyby był pan na miejscu, nie doszłoby do tego wszystkiego.

Parker Pyne został sprowokowany do odpowiedzi.

— Droga pani, mogę panią zapewnić, że kiedy w grę wchodzi piękna młoda dziewczyna, nie mam na pani syna żadnego wpływu. On wydaje się bardzo... hmm... podatny na kobiece wdzięki.

— Nigdy taki nie był — odparła pani Chester płaczliwie.

— No cóż — powiedział Parker Pyne, siłąc się na pogodny ton — wygląda na to, że ta nowa atrakcja ostudziła jego zachwyty dla panny Gregg. To z pewnością sprawiło pani pewną satysfakcję.

— Nie wiem, o czym pan mówi — oznajmiła pani Chester. — Betty to kochane dziecko i bardzo przywiązane do Basila. W całej tej sprawie zachowuje się niezwykle poprawnie. Myślę, że mój syn jest szalony.

Parker Pyne przyjął tę zdumiewającą zmianę frontu bez zmrużenia oka. Już wcześniej miał do czynienia z kobiecym brakiem konsekwencji.

— Nie szalony... po prostu opętany — powiedział łagodnie.

— Ta dziewczyna nie zachowuje się jak Europejka. Jest po prostu nieznośna.

— Ale niezwykle piękna. Pani Chester zachnęła się.

Od strony morza wbiegł po schodach Basil.

— Witaj, mamó, już wróciłem. A gdzie jest Betty?

— Rozbolała ją głowa, więc poszła do domu. Nie dziwię jej się.

— Chodzi ci o to, że była w złym humorze?

— Uważam, Basil, że zachowujesz się wobec niej bardzo niegrzecznie.

— Na miłość boską, mamó, nie praw mi kazań. Jeśli Betty zamierza robić tyle zamieszania za każdym razem, kiedy odezwę się do innej dziewczyny, to piękna czeka nas przyszłość.

— Jesteście zaręczeni.

— Och, dobrze, jesteście zaręczeni. Ale to nie znaczy, że nie możemy mieć swoich własnych przyjaciół. W dzisiejszych czasach ludzie muszą żyć na własny rachunek i starać się opanować zazdrość. — Zawahał się. — Posłuchaj, skoro Betty nie ma zamiaru spędzić z nami wieczoru... to chyba wróć do Mariposy. Zaproszono mnie na kolację...

— Och, Basil...

Młodzieniec spojrział na nią z irytacją, a potem wybiegł z hotelu.

Pani Chester popatrzyła wymownie na Parkera Pyne'a.

— Sam pan widzi — powiedziała. Widział.

W parę dni później sprawy osiągnęły punkt kulminacyjny. Betty i Basil mieli się wybrać na piknik, zabierając ze sobą koszyk z jedzeniem. Kiedy Betty przysłała do Pino d'Oro, dowiedziała się od pani Chester, że Basil zapomniał o wszystkich planach i na cały dzień pojechał z towarzyszeniem Dolores do Formentor.

Betty nie okazała niezadowolenia, tylko mocno zacisnęła usta. Po chwili jednak podniosła się z krzesła i stanęła przed panią Chester.

— W porządku — powiedziała. — To nie ma znaczenia. Ale tak czy owak uważam, że... powinniśmy to wszystko odwołać.

Zsunęła z palca sygnet, który dostała od Basila — prawdziwy pierścionek zaręczynowy miał jej kupić później.

— Czy mogłaby pani oddać to swemu synowi, pani Chester? I proszę mu powiedzieć, że wszystko jest w porządku... żeby się nie przejmował...

— Betty, kochanie, nie rób tego! On cię kocha... naprawdę cię kocha.

— I okazuje to, prawda? — spytała dziewczyna, śmiejąc się sarkastycznie. — Nie... mam swoją dumę. Proszę mu powiedzieć, że wszystko jest w porządku i że... że życzę mu szczęścia.

Kiedy o zachodzie słońca wrócił Basil, matka zasypała go wymówkami.

Na widok sygnetu lekko się zaczerwienił.

— A więc tak stawia sprawę? No cóż, myślę, że to najlepsze rozwiązanie.

— Basil!

— Mamo, mówiąć szczerze, ostatnio nie zgadzaliśmy się ze sobą.

— Czyja to była wina?

— Nie czuję się za to szczególnie odpowiedzialny. Zazdrość jest paskudną rzeczą i naprawdę nie rozumiem, dlaczego jesteś całą tą sprawą tak bardzo przejęta. Sama mnie błagałaś, żebym nie żenił się z Betty.

— Tak było, zanim ją poznałam. Basil, kochanie, ale chyba nie zamierzasz poślubić tej osoby?

— Poślubiłbym ją natychmiast, gdyby tylko mnie zechciała — wyznał szczerze Basil — ale obawiam się, że ona nie zechce.

Pani Chester poczuła zimny dreszcz. Udała się na poszukiwanie Parkera Pyne'a i znalazła go w ustronnym zakątku, w którym oddawał się lekturze.

— Musi pan coś przedsięwziąć! Musi pan coś zrobić! Mój syn zmarnuje sobie życie.

Parker Pyne miał już trochę dosyć opowieści o zrujnowanym życiu Basila Chestera.

— Co mogę zrobić?

— Spotkać się z tą okropną osobą. Jeśli to konieczne, proszę ją przekupić.

— To może się okazać bardzo kosztowne.

— Wszystko jedno.

— W takim razie trudno. Ale może uda mi się znaleźć jakiś inny sposób.

Spojrzała na niego pytająco, ale on potrząsnął głową.

— Niczego nie obiecuję... ale zobaczę, co się da zrobić. Miałem już do czynienia z takimi sprawami. Tylko proszę nie wspominać o niczym swemu synowi... miałyby to fatalne skutki.

— Ależ oczywiście.

Parker Pyne wrócił z Mariposy o północy. Pani Chester czekała na niego.

— I co? — spytała, z trudem łapiąc powietrze.

— Señorita Dolores Ramona wyjedzie z Pollensa jutro rano, a wieczorem opuści wyspę — odparł z błyskiem w oczach.

— Och, panie Pyne! Jak pan to załatwił?

— To nie będzie kosztowało ani centa — powiedział Parker Pyne. W jego oczach ponownie pojawił się błysk. — Przypuszczałem, że mam na nią pewien wpływ... i nie pomyliłem się.

— Pan jest cudowny. Nina Wycherley miała całkowitą rację. Chciałabym wiedzieć, ile wynosi... pańskie honorarium...

— Ani pensa — odparł Parker Pyne, unosząc swą wypielęgnowaną dłoń. — To była dla mnie przyjemność. Mam nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży. Oczywiście, kiedy pani syn odkryje, że ona zniknęła, nie zostawiając swego adresu, będzie początkowo bardzo zmartwiony. Przez tydzień lub dwa proszę traktować go pobłaźliwie.

— Oby tylko Betty mu wybaczyła...

— Z pewnością wybaczy. Tworzą miłą parę. Nawiasem mówiąc, ja również jutro wyjeżdżam.

— Och, panie Pyne, będzie nam pana brakowało.

— Być może zrobię słusznie wyjeżdżając, zanim pani syna opęta jakaś trzecia dziewczyna.

Parker Pyne wychylił się przez poręcz parowca i spojrzał na światła Palmy. Obok niego stała Dolores Ramona.

— Dobra robota, Madeleine — powiedział z uznaniem. — Cieszę się, że zadeszowałem do ciebie i namówiłem do przyjazdu. Świetnie odegrałaś swoją rolę, choć w istocie jesteś przecież spokojną domatorką.

— A mnie jest miło, że pan się cieszy, panie Pyne — odparła skromnie Madeleine de Sara alias Dolores Ramona alias Maggie Sayers. — To była przyjemna odmiana. Chyba zejść już na dół i położyć się do łóżka, zanim statek odbije od brzegu. Bardzo źle znoszę podróże morskie.

W kilka minut później Parker Pyne poczuł na swym ramieniu dotyk czyjejś dłoni. Odwrócił się i zobaczył Basila Chestera.

— Chcę pana pożegnać, przekazać panu pozdrowienia od Betty i nasze najserdeczniejsze podziękowania. Dokonał pan wielkiej sztuki. Betty i moja matka zachowują się jak stare przyjaciółki. Wstydę się, że oszukałem swoją staruszkę... ale była taka uciążliwa. Tak czy owak, teraz wszystko jest w porządku. Muszę tylko udawać zmartwionego jeszcze przez parę dni. Betty i ja jesteśmy panu bezgranicznie wdzięczni.

— Życzę wam dużo szczęścia — powiedział Parker Pyne.

— Dziękuję.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Czy panna... panna de Sara... jest gdzieś w pobliżu? — spytał Basil przesadnie beztroskim tonem. — Jej również chciałbym podziękować.

— Niestety, panna de Sara położyła się spać — stwierdził stanowczo Parker Pyne.

— Och, wielka szkoda... no cóż, może spotkam ją kiedyś w Londynie.

— Prawdę mówiąc, zaraz wyjeżdża w moich sprawach do Ameryki.

— Och! — powiedział z udawaną beztroską Basil. — No cóż, chyba już pójdę...

Parker Pyne uśmiechnął się. W drodze do swojej kabiny zastukał do drzwi kajuty Madeleine.

— Jak się czujesz, moja droga? W porządku? Był tu nasz młody przyjaciel. Normalny, niegroźny atak choroby zwanej „madeleinitis”. Za parę dni mu przejdzie; ale ty naprawdę jesteś niebezpieczna.

DRUGI GONG

Joan Ashby wyszła ze swej sypialni i stała przez chwilę na korytarzu przed drzwiami. Właśnie miała wrócić do pokoju, kiedy z dołu, jakby spod jej stóp, dobiegł dźwięk gongu.

Niemal biegiem ruszyła naprzód. Tak bardzo się spieszyła, że u szczytu schodów wpadła na młodego mężczyznę, który właśnie nadszedł z przeciwnej strony.

— Cześć, Joan! Skąd ten szalony pośpiech?

— Przepraszam, Harry. Nie widziałam cię.

— Zauważyłem to — oznajmił krótko Harry Dalehouse. — Ale pytałem cię, po co ten szalony pośpiech?

— Usłyszałam gong.

— Wiem. Ale to dopiero pierwszy.

— Ależ nie, drugi.

— Pierwszy.

— Drugi.

Tak się spierając, zeszli po schodach. Kiedy znaleźli się już w holu, lokaj, odłożywszy na miejsce pałeczkę, podszedł do nich uroczystym, pełnym godności krokiem.

— To był już drugi — upierała się Joan. — Jestem tego pewna. Zresztą popatrz, która godzina.

Harry Dalehouse zerknął na stojący w holu zegar.

— Dokładnie dwanaście po ósmej — stwierdził. — Chyba masz rację, Joan, ale pierwszego w ogóle nie usłyszałem. Digby — zwrócił się do lokaja — czy to był pierwszy gong, czy drugi?

— Pierwszy, *sir*.

— Dwanaście po ósmej? Digby, ktoś straci za to posadę.

Twarz lokaja rozjaśnił przelotny uśmiech.

— Kolacja będzie dziś podana o dziesięć minut później, *sir*. Tak zarządził pan domu.

— Nie do wiary! — zawołał Harry Dalehouse. — Proszę, proszę! Słowo daję, niezły galimatias! Nigdy nie będzie końca cudom. O co chodzi mojemu czcigodnemu wujowi?

— Pociąg, który, zgodnie z rozkładem przychodzi o siódmej, *sir*, miał półgodzinne opóźnienie, więc... — Lokaj przerwał, słysząc odgłos przypominający trzask z bata.

— Co, u licha... — powiedział Harry. — To zabrzmiało zupełnie jak strzał.

Z przyległego salonu wyszedł ciemnowłosy, przystojny, trzydziestopięcioletni mężczyzna.

— Co to było? — spytał. — Zabrzmiało zupełnie jak strzał.

— To chyba był trzask z rury wydechowej jakiegoś samochodu, *sir* — oznajmił lokaj. — Szosa biegnie dość blisko tego skrzydła domu, a okna na górze są otwarte.

— Być może — powiedziała z powątpiewaniem Joan. — Ale to by musiało być z tamtej strony — wskazała ręką na prawo — a mnie się wydawało, że hałas dobiegł stamtąd — wskazała na lewo.

Ciemnowłosy mężczyzna pokręcił głową.

— Mam wrażenie, że nie. Byłem w salonie. Przyszedłem tutaj, ponieważ sądziłem, że hałas rozległ się gdzieś tam — ruchem głowy wskazał gong i frontowe drzwi.

— Zachód, wschód i południe, tak? — powiedział gadatliwy Harry. — Więc uzupełnię to, Keene. Obstawiam północ. Sądzę, że hałas dobiegł spoza naszych pleców. Jakie rozwiązanie proponujesz?

— No cóż, zawsze wchodzi w rachubę morderstwo — oznajmił z uśmiechem Geoffrey Keene. — Przepraszam, panno Ashby.

— Nic nie szkodzi. Po prostu przeszły mnie ciarki — odparła Joan. — Na sam dźwięk tego słowa dostałam dreszczy.

— Morderstwo... to niezły pomysł — powiedział Harry. — Ale niestety! Żadnych jęków, żadnych śladów krwi. Obawiam się, że był to jakiś kłusownik polujący na zające.

— To banalne, ale chyba masz słusność — przyznał Keene. — Ten huk rozległ się jednak bardzo blisko. Tak czy owak, chodźmy do salonu.

— Dzięki Bogu nie spóźniliśmy się — powiedziała nerwowo Joan. — Biegłam po schodach na dół jak szalona, sądząc, że to już drugi gong.

Śmiejąc się weszli do obszernego salonu. Lytcham Close należała do najbardziej znanych posiadłości w Anglii. Jej właściciel, Hubert Lytcham Roche, był ostatnim potomkiem starego rodu. Dalsi krewni często ma wiali o nim: „Stary Hubert, wiecie, naprawdę powinien zostać uznany za niepoczytalnego. Ten biedny staruszek jest zupełnie obłąkany”.

Przesadzone opinie przyjaciół i krewnych miały jednak w sobie coś z prawdy. Hubert Lytcham Roche, znakomity muzyk, był niewątpliwie ekscentrykiem. Odznaczał się brakiem opanowania i wręcz niezwykłym poczuciem własnej wartości. Przebywający w jego domu goście musieli respektować słabostki gospodarza, w przeciwnym bowiem razie nigdy więcej nie byli zapraszani.

Jedną z takich słabostek była muzyka. Kiedy grał dla swych gości, co zwykł robić wieczorami, w pokoju obowiązywała absolutna cisza. Jeśli usłyszał jakąś wypowiedzianą szeptem uwagę, szelest sukni lub najmniejszy szmer, odwracał głowę i piorunował winnego dzikim spojrzeniem, a pechowy gość mógł się pożegnać z szansą ponownego zaproszenia do Lytcham Close.

Inną niezwykle istotną sprawą było bezwzględnie punktualne przychodzenie na główny posiłek dnia. Śniadanie nie miało znaczenia — jeśli ktoś chciał, mógł zejść na dół nawet w południe. Nieważny był również lunch, składający się z zimnych mięs i kompotu. Natomiast kolacja była rytuałem, świętem. Potrawy przyrządzał pierwszorzędnny kucharz, którego Lytcham Roche ściągnął do siebie z dużego hotelu, kusząc go bajecznymi zarobkami.

Pierwszy gong rozbrzmiewał zawsze pięć minut po ósmej. Tuż po drugim gongu, który rozlegał się kwadrans po ósmej, lokaj otwierał drzwi, obwieszczał zebranych gościom, że podano do stołu, i uroczysta procesja wkraczała do jadalni. Każdy, kto ośmielił się spóźnić na drugi gong, zostawał natychmiast wyklęty, a podwoje Lytcham Close były odtąd przed nim na zawsze zamknięte:

Stąd właśnie wynikał niepokój Joan Ashby, a także zdumienie Harry’ego Dalehouse’a na wiadomość, że uświęcona uroczystość została tego wieczora opóźniona o dziesięć minut. Choć nie łączyła go z wujem przesadna zażyłość, gościł w Lytcham Close wystarczająco często, by zdawać sobie sprawę z niezwykłości tego wydarzenia.

Geoffrey Keene, pełniący funkcję sekretarza Lytchama Roche’a, był nie mniej zaskoczony.

— Zadziwiające — zauważył. — Nie słyszałem, żeby coś takiego zdarzyło się do tej pory. Czy jesteś tego pewien?

— Tak twierdzi Digby.

— Mówił coś o pociągu — oznajmiła Joan Ashby. — Przynajmniej tak mi się zdaje.

— Dziwne — powiedział z namysłem Keene. — Sądzę, że dowiemy się o wszystkim we właściwym czasie. Ale to bardzo zastanawiające.

Obaj mężczyźni milczeli przez parę minut, przyglądając się Joan. Była czarującą, złotą blondynką o niebieskich oczach i figlarnym spojrzeniu. Bawiła w Lytcham Close po raz pierwszy, a pomysł zaproszenia jej tutaj wyszedł od Harry’ego.

Drzwi otworzyły się i do salonu weszła Diana Cleves, adoptowana córka państwa Lytcham Roche. Miała fascynujące ciemne oczy, cięty język i zachowywała się z prowokującym wdziękiem. Niemal wszyscy mężczyźni ulegali jej urokowi, a ona znajdowała przyjemność w podbijaniu ich serc. Miała dziwne usposobienie: sprawiała wrażenie osoby serdecznej, a przy tym była zupełnie obojętna.

— Przynajmniej raz ubiegliśmy kochanego staruszka — zauważyła. — Po raz pierwszy od wielu tygodni nie zjawił się tu przed nami i nie czeka na nas, zerkając na zegarek i drepcząc w kółko jak tygrys w porze karmienia.

Obaj młodzi mężczyźni ruszyli w jej stronę. Diana obdarzyła ich czarującym uśmiechem, a potem odwróciła się do Harry'ego. Geoffrey Keene poczerwieniał lekko i opadł z powrotem na fotel.

Jednakże po chwili odzyskał panowanie nad sobą, gdyż do salonu weszła pani Lytcham Roche, wysoka szatynka o powściągliwym sposobie bycia. Miała na sobie luźną, udrapowaną w fałdy suknię w niezdecydowanym odcieniu zieleni. Towarzyszył jej Gregory Barling, mężczyzna w średnim wieku o haczykowatym nosie i wydatnym podbródku. Był dość liczącą się osobistością w świecie finansjery. Miał dobre pochodzenie ze strony matki, a od kilku lat łączyła go z Lytchamem Roche'em serdeczna przyjaźń.

— Boom!

Rozległ się imponujący dźwięk gongu. Kiedy umilkł, otwarto drzwi jadalni.

— Podano do stołu — zaanonsował Digby.

Był doskonałym lokajem i znał swoje obowiązki, ale na jego kamiennej zwykle twarzy pojawił się wyraz zdumienia. Po raz pierwszy, odkąd sięgał pamięcią, pana domu nie było w pokoju!

Wszyscy obecni byli nie mniej zdziwieni. Pani Lytcham Roche wyrwał się krótki, nerwowy chichot.

— To naprawdę dziwne. Po prostu... sama nie wiem, co robić.

Obecni podzielali jej konsternację. Cała tradycja Lytcham Close została naruszona. Cóż mogło się stać? Wszyscy przestali rozmawiać i w napięciu czekali na rozwój wydarzeń.

W końcu drzwi ponownie się otworzyły. Z piersi zebranych wyrwało się krótkie westchnienie ulgi. Zakłócała ją tylko niepewność, jak mają potraktować zaistniałą sytuację. Nikt nie śmiałyby oczywiście komentować tego, że sam gospodarz przekroczył obowiązujące w tym domu surowe zasady.

Nowym przybyszem nie był jednak Lytcham Roche. Zamiast potężnie zbudowanego, brodatego jak wiking gospodarza, do salonu wszedł niski mężczyzna o zdecydowanie cudzoziemskim wyglądzie. Miał jajowatą głowę i sumiaste wąsy oraz nienaganny wieczorowy strój. Podszedł szybko do pani Lytcham Roche.

— Bardzo przepraszam, *madame* — powiedział z błyskiem w oczach. — Obawiam się, że jestem nieco spóźniony.

— Ależ bynajmniej! — mruknęła niewyraźnie pani Lytcham Roche. — Bynajmniej, panie... — Zawahała się.

— Poirot, *madame*. Herkules Poirot.

Usłyszał za swoimi plecami ciche „Och!”, przypominające bardziej westchnienie niż jakiś artykułowany dźwięk. Być może uznał ten kobiecy szept za pochlebstwo skierowane pod swoim adresem.

— Mam nadzieję, że spodziewała się mnie pani — spytał łagodnym tonem. — *N'est ce pas, madame?* Mąż chyba uprzedził panią o mojej wizycie?

— Och, tak, oczywiście — odparła pani Lytcham Roche, ale jej potwierdzenie nie wypadło zbyt przekonująco. — To znaczy, tak sędzę. Jestem osobą okropnie niezorganizowaną, *monsieur* Poirot. Nigdy o niczym nie pamiętam. Ale na szczęście nad wszystkim panuje Digby.

— Mój pociąg miał opóźnienie — oznajmił *monsieur* Poirot. — Zdarzył się jakiś wypadek na trasie.

— Och! — zawołała Joan. — Więc dlatego kolacja została przesunięta.

— Czy jest w tym coś niezwykłego? — spytał Poirot, bacznie jej się przyglądając.

— Naprawdę nie jestem w stanie zebrać myśli — zaczęła pani Lytcham Roche i urwała. — To znaczy... chcę powiedzieć, że... to bardzo dziwne. Hubert nigdy...

Poirot przyjrzał się wszystkim obecnym.

— Czy *monsieur* Lytcham Roche jeszcze nie zszedł?

— Nie, i to właśnie jest tak niebywałe... — Pani domu spojrzała błagalnie na Geoffreya Keene'a.

— Pan Lytcham Roche jest uosobieniem punktualności — wyjaśnił Keene. — Nie spóźnił się na kolację od... no cóż, o ile mi wiadomo, nigdy dotąd się nie spóźnił.

Sytuacja musiała się wydawać nieznanemu dość absurdalna. Dostrzegł zatrwożone twarze obecnych i ich konsternację.

— Już wiem — oznajmiła pani Lytcham Roche tonem osoby, która znalazła rozwiązanie problemu. — Zadzwoń na Digby'ego.

I wprowadziła swą zapowiedź w czyn.

Lokaj zjawił się natychmiast.

— Digby — spytała pani Lytcham Roche. — Czy pan Lytcham... Czy on...

Zgodnie ze swym zwyczajem nie dokończyła zdania. Zresztą widać było wyraźnie, że lokaj tego od niej nie oczekiwał.

— Pan Lytcham Roche — odparł bezzwłocznie, pełnym zrozumienia tonem — zszedł za pięć ósma i udał się do swego gabinetu, *madam*.

— Och! — Zawahała się. — Czy nie uważasz... to znaczy... czy mógł usłyszeć gong?

— Tak, musiał go usłyszeć... Przecież gong wisi tuż za drzwiami gabinetu.

— No tak, oczywiście — powiedziała pani Lytcham Roche, jeszcze bardziej niepewnym tonem,

— Czy mam go zawiadomić, *madame*, że podano do stołu?

— Och, dziękuję, Digby. Tak, to chyba... tak, tak...

— Sama nie wiem — powiedziała do swych gości po wyjściu lokaja — co bym zrobiła bez Digby'ego!

Nastąpiła chwila milczenia.

Digby ponownie pojawił się w pokoju. Oddychał nieco szybciej, niż powinien oddychać dobrze wyszkolony lokaj.

— Przepraszam, *madame*... drzwi gabinetu są zamknięte na klucz.

Herkules Poirot powziął inicjatywę.

— Chyba powinniśmy pójść do gabinetu — oznajmił. Ruszył pierwszy, a wszyscy podążyli za nim. Przejął rolę głównodowodzącego w sposób całkowicie naturalny. Nie był już komicznie wyglądającym cudzoziemcem, lecz człowiekiem o silnej osobowości, panującym nad sytuacją.

Przeszli przez hol, minęli klatkę schodową, wielki stojący zegar i dotarli do wnęki, w której wisiał gong. Dokładnie naprzeciw tej wnęki znajdowały się zamknięte drzwi gabinetu.

Poirot zapukał, najpierw delikatnie, a potem mocniej. Ale nie było żadnej odpowiedzi. Zwinnie przyklęknął i przyłożył oko do dziurki od klucza, po czym wstał i rozejrzał się po obecnych.

— *Messieurs* — powiedział — musimy wyważyć te drzwi. Natychmiast!

I tym razem nikt nie zakwestionował jego polecenia. Geoffrey Keene i Gregory Barling byli najmocniej zbudowani, pod dowództwem Herkulesa Poirot zaatakowali drzwi. Nie była to jednak łatwa sprawa. Drzwi w Lytcham Close miały masywną konstrukcję — nie było tu miejsca na nowoczesne tandetne budownictwo. dzielnie stawiały opór, ale w końcu ustąpiły pod zmasowanym atakiem mężczyzn i z trzaskiem runęły do wewnątrz gabinetu.

Wszyscy przystanęli niezdecydowanie na progu. Ujrzeni to, czego się podświadomie obawiali. Naprzeciw drzwi znajdowało się francuskie okno. Po lewej stronie, między drzwiami a oknem, stało duże biurko. Bokiem do niego siedział w fotelu potężnie

zbudowany, zgięty w pół i wychylony do przodu mężczyzna. Był odwrócony do nich plecami, a twarzą do okna, ale pozycja jego ciała mówiła sama za siebie. Jego prawa ręka zwisała bezwładnie, a pod nią, na dywanie, leżał mały, błyszczący rewolwer.

— Proszę zabrać stąd panią Lytcham Roche i dwie pozostałe damy — powiedział stanowczym tonem Poirot do Gregory'ego Barlinga.

Barling kiwnął ze zrozumieniem głową. Kiedy położył dłoń na ramieniu pani domu, poczuł, że ta drży.

— Zastrzelił się — szepnęła. — To straszne! — Znow zadrżała, a potem pozwoliła Barlingowi wyprowadzić się do holu. Joan Ashby i Diana Cleves podążyły za nimi.

Poirot wszedł do gabinetu, a w ślad za nim dwaj młodzi mężczyźni.

Przyklękł obok ciała, dając im ruchem ręki znak, żeby się nieco odsunęli.

W prawej skroni denata znalazł otwór po kuli. Przeszyła ona na wylot głowę i musiała trafić w wiszące na ścianie lustro, ponieważ było ono stłuczone. Na biurku leżała kartka papieru, na której widniało tylko jedno słowo „Przepraszam”, napisane w pośpiechu, drżącą, niepewną ręką.

Poirot rzucił okiem na drzwi.

— W zamku nie ma klucza — rzekł. — Zastanawiam się...

Wsunął rękę do kieszeni marynarki martwego mężczyzny.

— Jest — oznajmił. — Przynajmniej tak mi się wydaje. Czy mógłby pan go wypróbować, *monsieur*?

Geoffrey Keene wziął klucz i wsadził go do zamka.

— Tak, to ten, pasuje.

— A francuskie okno?

Harry Dalehouse podszedł do dużych oszklonych drzwi.

— Zamknięte.

— Pozwoli pan? — Poirot szybko wstał i zbliżył się do Harry'ego. Otworzył okno i przez chwilę przyglądał się badawczo rosnącej pod nim trawie, a potem ponownie je zamknął.

— Panowie — powiedział — trzeba wezwać policję. Dopóki nie przyjadą i nie stwierdzą, że to istotnie samobójstwo, nie wolno niczego dotykać. Śmierć musiała nastąpić mniej więcej przed kwadransem.

— Wiem — oznajmił Harry ochrypłym głosem. — Słyszeliśmy strzał.

— *Comment?* Co pan powiedział?

Harry i Geoffrey Keene wyjaśnili, co zaszło. Kiedy skończyli, ponownie pojawił się Barling.

Poirot powtórzył mu to, co powiedział wcześniej. Potem Keene poszedł do telefonu, a Poirot poprosił Barlinga o kilka minut rozmowy.

Weszli do saloniku, pozostawiając Digby'ego na straży przed drzwiami gabinetu. Harry zaś udał się na poszukiwanie pań.

— Był pan, jak rozumiem, bliskim przyjacielem *monsieur* Lytchama Roche — zaczął Poirot. — Z tego właśnie powodu zwracam się do pana w pierwszej kolejności. Zasady dobrego tonu wymagałyby może, abym najpierw porozmawiał z *madame*, ale nie uważam tego w tym momencie za *pratique*. — Zawahał się. — Sytuacja jest dla mnie dość niezręczna. Pozwoli pan, że przedstawię panu fakty. Jestem z zawodu prywatnym detektywem.

Finansista lekko się uśmiechnął.

— Nie ma potrzeby mówić mi o tym, *monsieur* Poirot. Pańskie nazwisko jest już powszechnie znane.

— *Monsieur* jest zbyt uprzejmy — powiedział Poirot, skłaniając głowę. — A zatem kontynuujemy. Na mój londyński adres nadszedł list od niejakiego *monsieur* Lytchama Roche'a. Pisał, że ma powody do przypuszczeń, iż ktoś oszukuje go na pokaźne sumy. Ze względów rodzinnych, jak to ujął, nie chciał zawiadomić o tym policji, i prosił, bym

przyjechał zbadać tę sprawę. Zgodziłem się. Przyjechałem. Nie tak prędko jak *monsieur* Lytcham Roche sobie życzył, ponieważ miałem inne zajęcia, ale bądź co bądź *monsieur* Lytcham Roche nie był królem Anglii, choć zdawał się tak o sobie myśleć.

Barling uśmiechnął się z ironią.

— Istotnie, za takiego się właśnie uważał.

— No właśnie. Och, rozumie pan... jego list dowodził dość wyraźnie, że jest, jak to się mówi, ekscentrykiem. Nie był człowiekiem obłąkanym, lecz niezrównoważonym, *n'est-ce pas?*

— Właśnie przed chwilą jeszcze raz to potwierdził.

— Och, *monsieur*, samobójstwo nie zawsze jest dowodem braku równowagi. Tak twierdzą ludzie z urzędu koronera, ale robią to po to, by oszczędzić uczucia bliskich zmarłego.

— Hubert nie był normalny — powiedział stanowczo Barling. — Wpadał w niepohamowaną wściekłość, miał obsesję na temat rodzinnej durny i bzika na punkcie wielu rzeczy. Ale przy tym wszystkim był bystrym człowiekiem.

— Niewątpliwie. Był wystarczająco bystry, by odkryć, że jest okradany.

— Ale czyż człowiek popełnia samobójstwo tylko dlatego, że ktoś go okrada? — spytał Barling.

— Otóż to, *monsieur*. Absurdalne. I to właśnie skłania mnie do pospiesznego działania. Ze względów rodzinnych... takiego zwrotu użył w swym liście. *Eh bien, monsieur*, jest pan człowiekiem światowym, więc zdaje pan sobie sprawę, że właśnie z tego powodu — ze względów rodzinnych — człowiek jest zdolny popełnić samobójstwo.

— Co pan ma myśli?

— Na pierwszy rzut oka wygląda na to, że... *ce pauvre monsieur* odkrył coś więcej... coś, z czym nie był się w stanie pogodzić. Ale rozumie pan, że muszę spełnić swój obowiązek. Już wcześniej zostałem zatrudniony i podjąłem się wykonania pewnego zadania. Zmarły nie chciał zawiadomiać policji ze „względów rodzinnych”. Muszę więc działać szybko. Muszę poznać prawdę.

— A kiedy ją pan pozna?

— Wtedy... no cóż, będę musiał zdać się na własny rozum i zrobić, co w mojej mocy.

— Rozumiem — oznajmił Barling. Przez parę minut palił w milczeniu papierosa, a potem dodał: — Tak czy owak, obawiam się, że nie mogę panu pomóc. Hubert nigdy z niczego mi się nie zwierzał. O niczym nie wiem.

— Proszę mi jednak powiedzieć, *monsieur*, kto pana zdaniem miał sposobność okradania tego biednego człowieka?

— Trudno powiedzieć. Pracuje tu nowy administrator majątku.

— Administrator?

— Tak. Marshall. Kapitan Marshall. Bardzo miły człowiek, stracił rękę podczas wojny. Pojawił się tu przed rokiem. Ale wiem, że Hubert go lubił i miał do niego zaufanie.

— Gdyby to kapitan Marshall go oszukiwał, nie byłoby powodów do przemilczania tej sprawy ze względów rodzinnych.

— No... nie.

Wahanie Barlinga nie uszło uwagi Poirota.

— Proszę mówić, *monsieur*. Błagam pana, niech pan będzie szczery.

— To może być plotka.

— Zaklinam pana, niech pan mówi.

— Dobrze więc, powiem. Czy będąc w salonie zwrócił pan uwagę na bardzo atrakcyjną młodą kobietę?

— Zauważyłem dwie bardzo atrakcyjne młode kobiety.

— Och, tak, panna Ashby. Niezwykle miłe stworzenie. To jej pierwsza wizyta w Lytcham Close. Harry Dalehouse nakłonił panią Lytcham Roche, by ją zaprosiła. Nie, mam na myśli tę szatynkę... Dianę Cleves.

— Tak, zwróciłem na nią uwagę — powiedział Poirot. — Sądzę, że jest kobietą, na którą zwracają uwagę wszyscy mężczyźni.

— To mała diablica — wybuchnął Barling. — Zawraca głowę wszystkim mężczyznom w promieniu dwudziestu mil. Któregoś dnia ktoś ją zamorduje.

Otarł czoło chusteczką, nie zdając sobie sprawy, że jego rozmówca przygląda mu się z żywym zainteresowaniem.

— Kim jest ta młoda dama?

— Adoptowaną córką Lytchama Roche'a. On i jego żona byli bardzo zawiedzeni, kiedy okazało się, że nie mogą mieć dzieci. Więc adoptowali Dianę Cleves, która jest ich daleką kuzynką. Hubert był do niej ogromnie przywiązany, po prostu ją uwielbiał.

— Z pewnością nie byłby entuzjastą jej zamążpójścia? — zasugerował Poirot.

— Chyba że wyszłaby za właściwego człowieka.

— A właściwym człowiekiem był... pan, *monsieur*?

— Wcale nie powiedziałem, że... — zaczął Barling, czerwieniąc się.

— *Mais non, mais non!* Nic pan nie powiedział. Ale tak było, prawda?

— Tak... zakochałem się w niej. Hubertowi to odpowiadało. Było to zgodne z jego planami.

— A co na to sama *mademoiselle*?

— Mówiłem panu, że to wcielona diablica.

— Rozumiem. Ma swoje własne zdanie, czyż nie? Ale co ma z tym wspólnego kapitan Marshall?

— No cóż, często się z nim widywała. Zaczęto o tym mówić. Choć nie sądzą, żeby było to coś poważnego. Po prostu jeszcze jedna zdobycz.

Poirot kiwnął głową.

— Zakładając jednak, że było w tym coś poważnego... to mogłoby wyjaśnić, dlaczego *monsieur* Lytcham Roche chciał działać rozważnie.

— Rozumie pan chyba, że nie ma najmniejszego powodu, by podejrzewać Marshalla o malwersacje.

— Och, *parfaitement, parfaitement!* Może chodziło o fałszerstwo czeku, którego dopuścił się ktoś z domowników. Kim jest ten młody pan Dalehouse?

— Siostrzeńcem.

— Będzie dziedziczył, tak?

— Jest synem siostry. Oczywiście, może przyjąć nazwisko wuja — na świecie nie pozostał już ani jeden Lytcham Roche.

— Rozumiem.

— W istocie nie ustanowiono jeszcze dziedzica posiadłości, ale zawsze przechodziła ona z ojca na syna. Przypuszczałem, że Lytcham Roche przekaze ją dożywotnio swej żonie. Po śmierci żony mogłaby odziedziczyć ją Diana, gdyby zaaprobował jej małżeństwo. Widzi pan, jej mąż mógłby przybrać nazwisko Lytcham Roche.

— Rozumiem — rzekł Poirot. — Był pan niezwykle uprzejmy i pomocny, *monsieur*. Czy mógłbym pana jeszcze o coś prosić... by powtórzył pan *madame* Lytcham Roche wszystko, co panu powiedziałem, i spytał ją, czy zechciałaby poświęcić mi chwilę czasu?

Prędzej niż oczekiwał drzwi się otworzyły i weszła pani Lytcham Roche. Posuwistym krokiem zbliżyła się do krzesła.

— Pan Barling wszystko mi wyjaśnił — powiedziała. — Oczywiście nie możemy dopuścić do skandalu. Choć ja przypuszczam, że to przeznaczenie, a pan? Mam na myśli to lustro i inne rzeczy.

— *Comment...* to lustro?

— Gdy tylko je ujrzałam, wydało mi się symbolem. Symbolem Huberta! Klątwa, rozumie pan. Moim zdaniem nad starymi rodami bardzo często ciąży jakaś klątwa. Hubert był zawsze niezwykle dziwny. Ostatnio zachowywał się jeszcze dziwniej niż zwykle.

— Proszę wybaczyć mi to pytanie, *madame*, ale czy nie odczuwa pani braku pieniędzy?

— Pieniędzy? Nigdy nie myślę o pieniądzach.

— Czy pani wie, co ludzie mówią, *madame*? Że ci, którzy nigdy nie myślą o pieniądzach, potrzebują bardzo wielkich sum.

Odważył się lekko zaśmiać. Pani Lytcham Roche nie zareagowała. Patrzyła w przestrzeń.

— Dziękuję pani, *madame* — powiedział Poirot i zakończył rozmowę, po czym zadzwonił na Digby'ego, który natychmiast się zjawił.

— Chcę prosić was o odpowiedź na kilka pytań — oznajmił Poirot. — Jestem prywatnym detektywem, którego wezwał tu przed śmiercią wasz chlebodawca pan Lytcham Roche.

— Detektywem!... — wykrztusił lokaj. — Dlaczego...?

— Proszę, żebyście odpowiadali na moje pytania. Jeśli chodzi o ten strzał...

Wysłuchał uważnie relacji lokaja.

— Więc w holu były cztery osoby?

— Tak, *sir*; pan Dalehouse, panna Ashby i pan Keene, który wyszedł z salonu.

— Gdzie byli pozostali?

— Pozostali, *sir*?

— Tak, pani Lytcham Roche, panna Cleves i pan Barling.

— Pani Lytcham Roche i pan Barling zeszli na dół później, *sir*.

— A panna Cleves?

— Przypuszczam, że panna Cleves była w salonie, *sir*. Poirot zadał lokajowi jeszcze kilka pytań, a potem go odprawił, polecając, by poprosił do niego pannę Cleves.

Kiedy przyszła, przyjrzał jej się bacznie, mając na uwadze rewelacje Barlinga. W białej aksamitnej sukni, ozdobionej na ramieniu pączkiem róży, wyglądała niezwykle pięknie.

Poirot, wyjaśniając okoliczności, które sprowadziły go do Lytcham Close, obserwował ją uważnie; odniósł wrażenie, że dziewczyna jest szczerze zdumiona i nie zdradza żadnego niepokoju. Mówiła o Marshallu obojętnie, z chłodną aprobatą. Jedyne na wzmiankę o Barlingu okazała coś w rodzaju ożywienia.

— To oszust — powiedziała ostrym tonem. — Mówiłam o tym staruszkowi, ale nie chciał mnie słuchać i nadal inwestował w jego podejrzone interesy.

— Czy przykro pani, *mademoiselle*, z powodu śmierci pani... ojca?

Spojrzała na niego badawczo.

— Oczywiście. Jestem osobą nowoczesną, *monsieur* Poirot. Nie pozwalam sobie na przesadną ckliwość. Ale lubiłam staruszkę. Choć, naturalnie, to dla niego najlepsze rozwiązanie.

— Najlepsze rozwiązanie?

— Owszem. Niebawem trzeba by go było zamknąć w domu dla obłąkanych. To się nasilało... to jego przekonanie, że ostatni Lytcham Roche z Lytcham Close jest człowiekiem wszechwładnym.

Poirot z zadumą pokiwał głową.

— Rozumiem, rozumiem... tak, wyraźne objawy dolegliwości umysłowych. Pozwoli pani, że obejrzę pani torebkę? Jest urocza z tymi jedwabnymi pączkami róż. O czym to ja mówiłam? Ach tak, czy słyszała pani strzał?

— Oczywiście! Ale sądziłam, że był to samochód, kłusownik czy coś w tym rodzaju.

— Była pani w salonie?

— Nie. W ogrodzie.

— Rozumiem. Dziękuję, *mademoiselle*. Teraz z kolei chciałbym się zobaczyć z panem... panem Keene'em, prawda?

— Z Geoffreyem? Zaraz go przyślę.

Kiedy Keene wszedł, na jego twarzy malowała się czujność i zaniepokojenie.

— Pan Barling mówił mi o przyczynach pańskiej tu obecności. Nie sądzę, bym mógł panu powiedzieć coś nowego, ale jeśli się mylę...

— Chciałbym tylko wiedzieć, *monsieur* Keene — przerwał mu Poirot — co podniósł pan z podłogi, zanim dotarliśmy do drzwi gabinetu?

— Ja... — Keene zerwał się z krzesła, a po chwili opadł na nie z powrotem. — Nie wiem, o czym pan mówi — powiedział nonszalanckim tonem.

— Och, sądzę, że jednak pan wie, *monsieur*. Tak, stał pan za moimi plecami, ale, jak mówi pewien mój przyjaciel, mam oczy z tyłu głowy. Podniósł pan coś z podłogi i schował to do prawej kieszeni smokingu.

Zapadło milczenie. Na przystojnej twarzy Keene'a malowała się wyraźna rozterka. W końcu podjął decyzję.

— Niech pan wybiera, *monsieur* Poirot — powiedział i pochylając się do przodu wywrócił kieszeń smokingu, wyciągnął z niej cygarniczkę, chusteczkę do nosa, małe pączki różowe z jedwabiu i niewielkie złote pudełko na zapalki.

— Prawdę powiedziawszy, to było to — oznajmił po chwili milczenia, unosząc pudełko. — Musiałem upuścić je tam wcześniej.

— Nie sądzę — powiedział Poirot.

— Co pan ma na myśli?

— To co mówię. Jestem, *monsieur*, człowiekiem systematycznym i metodycznym. Zauważyłbym leżące na podłodze pudełko i podniósłbym je... z pewnością zauważyłbym przedmiot tej wielkości! Nie, *monsieur*, przypuszczam, że było to coś znacznie mniejszego... może to.

Wziął do ręki mały jedwabny pączek różowy.

— Chyba pochodzi z torebki panny Cleves, prawda?

— Tak, istotnie — ze śmiechem przyznał Keene po chwili milczenia. — Dała mi to wczoraj wieczorem.

— Rozumiem — powiedział Poirot. W tym momencie drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł wysoki, jasnowłosy mężczyzna.

— Keene... o co tu chodzi? Lytcham Roche się zastrzelił? Człowieku, nie mogę w to uwierzyć. Nie do wiary.

— Pozwól, że cię przedstawię — powiedział Keene — To jest pan Herkules Poirot. Opowie ci o wszystkim. — Z tymi słowami opuścił pokój, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

— *Monsieur* Poirot... — zaczął z entuzjazmem John Marshall — ...niezmiernie miło mi pana poznać. Szczęśliwie się składa, że pan tu jest. Lytcham Roche nie wspominał mi o tej wizycie. Jestem pańskim oddanym wielbicielem, *sir*.

Rozbrajający młody człowiek — pomyślał Poirot — niezbyt jednak młody, bo ma siwe włosy na skroniach i zmarszczki na czole. Ale odmładza go chłopięcy głos i sposób bycia.

— Policjanci...

— Już tu są, *sir*. Kiedy dotarli do mnie wieści, przyjechałem razem z nimi. Nie wydają się szczególnie zaskoczeni. Oczywiście, Lytcham Roche był pomyłony, ale mimo wszystko...

— Mimo wszystko dziwi pana jego samobójstwo?

— Szczerze mówiąc, tak. Moim zdaniem Lytcham Roche nie dopuściłby myśli, że świat może funkcjonować bez niego.

— O ile wiem, miał ostatnio jakieś kłopoty finansowe. Marshall kiwnął głową.

— Wdał się w spekulacje. Uwierzył w obłąkańcze pomysły Barlinga.

— Będę szczery — powiedział cicho Poirot. — Czy miał pan jakieś podstawy do przypuszczeń, że Lytcham Roche podejrzewa pana o fałszowanie ksiąg rachunkowych?

Marshall spojrział na swego rozmówcę z takim niedowierzaniem, że Poirot nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Widzę, że jest pan zaskoczony, kapitanie Marshall.

— Owszem, bardzo. Ten pomysł jest niedorzeczny.

— Ach! Jeszcze jedno pytanie. Czy nie podejrzewał, że chce pan mu ukraść jego adoptowaną córkę?

— Och, więc pan już wie o mnie i o Di? — Marshall zaśmiał się z zażenowaniem.

— Zatem to prawda?

Młody człowiek przytaknął ruchem głowy.

— Ale staruszek nic o tym nie wiedział. Di nie chciała mu o tym wspominać. Chyba miała rację. Ekspłodowałyby jak... jak wiązka granatów. A ja straciłbym pracę i taki byłby koniec całej afery.

— Więc jakie mieliście plany?

— No cóż, *sir*, słowo daję, że nie wiem. Zostawiłem wszystko w rękach Di. Powiedziała, że to załatwi. Prawdę mówiąc, zacząłem się już rozglądać za jakąś posadą. Gdybym coś znalazł, odszedłbym stąd.

— I *mademoiselle* wyszłaby za pana? Ale przecież *monsieur* Lytcham Roche mógłby wstrzymać wypłacane jej apanaże. A *mademoiselle* chyba lubi pieniądze.

Marshall był dość zaniepokojony.

— Dołożyłbym wszelkich starań, by jej to wynagrodzić, *sir*.

Do pokoju wszedł Geoffrey Keene.

— Policjanci właśnie odjeżdżają i chcieliby się z panem zobaczyć, *monsieur* Poirot.

— Merci. Już idę.

W gabinecie zastał potężnie zbudowanego inspektora i lekarza policyjnego.

— Pan Poirot? — spytał inspektor. — Słyszeliśmy o panu, *sir*. Nazywam się Reeves.

— Jest pan niezwykle uprzejmy — powiedział Poirot, ściskając jego dłoń. — Nie potrzebujecie mojej współpracy, prawda? — Zaśmiał się krótko.

— Nie tym razem, *sir*. Wszystko jest zupełnie oczywiste.

— Więc sprawa nie budzi żadnych wątpliwości? — spytał Poirot.

— Absolutnie żadnych. Okno zaryglowane, a drzwi zamknięte na klucz, który denat miał w kieszeni. W ciągu kilku ostatnich dni zachowywał się bardzo dziwnie. Wiemy o tym z pewnego źródła.

— I nie ma w tym wszystkim niczego... niezwykłego? Lekarz odchrząknął.

— Musiał siedzieć pod piekielnie dziwnym kątem, gdyż kula trafiła w lustro. Ale samobójstwo jest dziwną sprawą.

— Znaleźliście kulę?

— Tak, oto ona. — Lekarz wyciągnął w stronę Poirota dłoń. — Pod lustrem, blisko ściany. Rewolwer należał do pana Lytchama Roche'a. Zawsze trzymał go w szufladzie swego biurka. Przypuszczam, że coś się za tym kryje, ale nigdy nie będziemy wiedzieli co.

Poirot kiwnął głową.

Ciało przeniesiono do sypialni. Policjanci już odjeżdżali. Poirot stał w drzwiach frontowych, patrząc za nimi. Usłyszał jakiś dźwięk i odwrócił się. Tuż za jego plecami pojawił się Harry Dalehouse.

— Czy nie ma pan przypadkiem mocnej latarki? — spytał go Poirot.

— Owszem, mam. Zaraz ją panu przyniosę. Wrócił w towarzystwie Joan Ashby.

— Jeśli chcecie, możecie państwo pójść ze mną — zaproponował uprzejmie Poirot.

Wyszedł przez frontowe drzwi i skręciwszy w prawo zatrzymał się pod francuskim oknem gabinetu. Oddzielało je od ścieżki jakieś sześć stóp trawnika. Poirot przykleknął, oświetlając latarką trawę. Później wyprostował się i potrząsnął głową.

— Nie — powiedział — nie tu.

Potem zawahał się i zastygł w bezruchu. Oba brzegi trawnika ograniczone były grządkami kwiatów. Jego uwagę przyciągnęła prawa grządka, porośnięta michałkami i daliami. Światło latarki padało na jej przednią część. Na miękkiej ziemi widoczne były wyraźne ślady stóp.

— Cztery — mruknął Poirot. — Dwa skierowane w stronę okna i dwa z powrotem.

— Może ogrodnik — zasugerowała Joan.

— Ależ nie, *mademoiselle*, absolutnie wykluczone. Proszę się przyjrzeć. To są ślady małych, zgrabnych damskich pantofli na wysokich obcasach. *Mademoiselle* Diana wspominała, że była w ogrodzie. Nie wie pani, czy zeszła na dół przed panią?

— Nie przypominam sobie — odparła Joan, potrząsając głową. — Strasznie się spieszyłam, gdyż zadzwieczał gong i byłam przekonana, że pierwszy słyszałam już wcześniej. Wydaje mi się, że kiedy przechodziłam obok jej pokoju, drzwi były otwarte, ale nie jestem tego pewna. Wiem natomiast, że drzwi sypialni pani Lytcham Roche były zamknięte.

— Rozumiem — powiedział Poirot.

W tonie jego głosu zabrzmiało coś, co sprawiło, że Harry uważnie na niego spojrział, ale Poirot zmarszczył tylko czoło. Na progu domu spotkali Dianę Cleves.

— Policja odjechała. Już po wszystkim — oznajmiła, wzdychając.

— Czy mógłbym prosić panią o chwilę rozmowy, *mademoiselle*?

Weszła do małego salonu, a Poirot podążył jej śladem, zamykając za sobą drzwi.

— O co chodzi? — Wydawała się lekko zaskoczona.

— Tylko jedno pytanie, *mademoiselle*. Czy była pani dziś wieczorem na grządce kwiatów znajdującej się pod oknem gabinetu?

— Owszem. — Kiwnęła głową. — Około siódmej, a potem tuż przed kolacją.

— Nie rozumiem — powiedział.

— Nie sądzę, by było tu coś do „rozumienia”, jak pan to określił — stwierdziła chłodno. — Zrywałam michałki... do przystrojenia stołu. Do mnie należy układanie kwiatów. To miało miejsce mniej więcej o godzinie siódmej.

— A później?

— Och, prawdę mówiąc, poplamiałam sobie suknię balsamem do włosów... tu, na ramieniu. Stało się to w chwili, kiedy byłam już gotowa, by zejść na dół. Nie miałam ochoty się przebierać. Przypomniałam sobie, że widziałam na grządce pączek jesiennej róży. Wybiegłam więc z domu, zerwałam kwiatek i przypięłam go w poplamionym miejscu. Niech pan spojrzy... — Podeszła do niego bliżej i uniosła pączek róży. Poirot dostrzegł pod nim niewielką tłustą plamę. Diana stanęła tak blisko niego, że niemal dotykała go ramieniem.

— Która była wtedy godzina?

— Och, jakieś dziesięć po ósmej.

— Czy nie... próbowała pani wrócić przez francuskie okno balkonowe w gabinecie?

— Chyba próbowałam. Tak, pomyślałam, że tą drogą będzie szybciej. Ale było zaryglowane.

— Rozumiem. — Poirot wziął głęboki oddech. — Gdzie pani była, kiedy rozległ się strzał? — spytał. — Nadal na grządce?

— Och, nie; strzał rozległ się w dwie czy trzy minuty później, tuż zanim weszłam do domu bocznymi drzwiami.

— Czy wie pani, co to jest, *mademoiselle*?

Wyciągnął w jej stronę dłoń, na której leżał małeńki, jedwabny pączek róży. Przyjrzała mu się ze spokojem.

— Wygląda jak pączek róży z mojej torebki. Gdzie pan go znalazł?

— Był w kieszeni smokingu pana Keene'a — odparł chłodnym tonem Poirot. — Czy to pani mu go dała, *mademoiselle*?

— A czy on to panu powiedział? Poirot uśmiechnął się.

— Kiedy mu go pani dała, *mademoiselle*?

— Wczoraj wieczorem.

— Czy tak kazał pani powiedzieć?

— O co panu chodzi? — spytała z gniewem.

Ale Poirot nie odpowiedział. Wyszedł z pokoju i podążył do salonu, w którym siedzieli Barling, Keene i Marshall.

— *Messieurs* — powiedział stanowczo, podchodząc do nich — proszę pójść za mną do gabinetu.

Wyszedł do holu.

— Państwo również — zwrócił się do Joan i Harry'ego.

— Czy ktoś mógłby poprosić *madame*? Dziękuję. Ach! Otóż i niezastąpiony Digby. Mamy do was pytanie, bardzo ważne pytanie. Czy panna Cleves układała michałki przed kolacją?

Lokaj był wyraźnie zdezorientowany.

— Owszem, *sir*, oczywiście.

— Jesteś tego pewien?

— Absolutnie pewien, *sir*.

— *Tres bien*. Zatem... chodźmy.

Kiedy wszyscy znaleźli się w gabinecie, Poirot stanął naprzeciwko nich.

— Poprosiłem państwa o przyjście tu z pewnego powodu. Sprawa została zamknięta, policjanci przyjechali i odjechali. Twierdzą, że pan Lytcham Roche sam się zastrzelił. Wszystko zakończone. — Zawahał się. — Ale ja, Herkules Poirot, uważam, że tak nie jest.

Kiedy oczy wszystkich zebranych, zaskoczonych jego słowami, skierowały się na niego, w drzwiach pokoju stanęła pani Lytcham Roche.

— Mówiłem właśnie, *madame*, że ta sprawa nie została zakończona. To kwestia psychologii. Pan Lytcham Roche miał *manie de grandeur*, był królem. Taki człowiek nie popełnia samobójstwa. Nie, nie, mógł oszaleć, ale nie popełnił samobójstwa. Pan Lytcham Roche z pewnością nie popełnił samobójstwa. — Zawahał się. — Został zamordowany.

— Zamordowany? — Marshall roześmiał się. — Sam jeden w pokoju, którego okno było zaryglowane, a drzwi zamknięte na klucz?

— Tak czy owak — powtórzył z uporem Poirot — został zamordowany.

— A potem zapewne wstał i zamknął drzwi na klucz lub zablokował okno — oznajmiła ironicznie Diana.

— Coś państwu pokażę — powiedział Poirot, podchodząc do okna. Przekreślił gałkę oszklonych drzwi, a potem delikatnie je pociągnął.

— Jak państwo widzicie, są otwarte. Teraz je zamknę, nie przekraczając gałki. Okno jest zamknięte, ale nie zaryglowane. — Szybkim ruchem uderzył we framugę i gałka przekreśliła się, a rygiel opadł na swoje miejsce.

— Widzicie państwo? — spytał cicho Poirot. — Ten mechanizm jest wyraźnie obluźowany. Równie łatwo można było zaryglować je od zewnątrz.

Odwrócił się z posępnym wyrazem twarzy.

— Kiedy dwanaście minut po ósmej padł strzał, w holu znajdowały się cztery osoby. Zatem te cztery osoby mają alibi. Gdzie były pozostałe trzy? Pani, *madame*? W swoim pokoju. A pan, panie Barling? Czy pan również przebywał w swoim pokoju?

— Owszem.

— A pani, *mademoiselle*, przyznała się, że była w ogrodzie.

— Nie rozumiem... — zaczęła Diana.

— Chwileczkę. — Odwrócił się do pani Lytcham Roche. — Proszę mi powiedzieć, *madame*, czy wie pani, komu mąż zapisał swoje pieniądze?

— Hubert czytał mi swój testament. Twierdził, że powinnam znać jego treść. Zapisał mi trzy tysiące funtów rocznie z dochodów, jakie przynosi majątek, oraz mały dom, położony niedaleko stąd lub rezydencję miejską, zależnie od mojego wyboru. Całą resztę zapisał Dianie. Zastrzegł jednak, że po ślubie jej mąż ma przyjąć nazwisko rodowe Lytcham Roche.

— Ach!

— Ale potem wprowadził pewien kodycył... to było przed kilku tygodniami.

— Tak, *madame*?

— Nadal pozostawiał to wszystko Dianie, ale pod warunkiem, że wyjdzie za pana Barlinga. Gdyby poślubiła kogoś innego, majątek miał przypaść w udziale jego siostrzeńcowi, Harry'emu Dalehouse'owi.

— Ale ten kodycył został wprowadzony zaledwie kilka tygodni temu — mruknął Poirot. — *Mademoiselle* mogła o nim nie wiedzieć. — Przybrał minę oskarżyciela i zrobił krok do przodu. — *Mademoiselle* Diano, pani chce wyjść za kapitana Marshalla, prawda? Czy może za pana Kenne'a?

Diana przeszła przez pokój i położyła dłoń na zdrowym ramieniu Marshalla.

— Proszę mówić dalej — powiedziała.

— Muszę wysunąć przeciw pani oskarżenie, *mademoiselle*. Kocha pani kapitana Marshalla. Kocha pani również pieniądze. Przybrany ojciec nigdy nie dopuściłby do pani ślubu z kapitanem Marshalllem, ale była pani pewna, że po jego śmierci odziedziczy pani wszystko. Więc wybiegła pani z domu, przekroczyła grządkę z kwiatami i podeszła do otwartego okna. Miała pani przy sobie rewolwer, który wyjęła pani z szuflady jego biurka. Zbliżyła się pani do swej ofiary, przemawiając do niej serdecznie. Strzeliła pani. Wytarła pani rewolwer, a następnie odcisnąwszy na nim ślady palców Lytchama Roche'a, upuściła go na podłogę tuż obok jego ręki. Wyszła pani tą samą drogą i szarpała oknem, dopóki rygiel nie opadł. Potem wróciła pani do domu. Czy tak to się odbyło? Pytam panią, *mademoiselle*.

— Nie — krzyknęła Diana. — Nie... nie!

Spojrzał na nią, a po chwili uśmiechnął się.

— Nie — powiedział — to nie było tak. Mogło tak być... to posiada pozory prawdopodobieństwa... ale tak nie było z dwóch powodów. Po pierwsze zrywała pani michałki o siódmej. Drugi powód związany jest z tym, co powiedziała mi panna Ashby. — Odwrócił się w stronę Joan, która popatrzyła na niego z wyraźnym zdumieniem, i wymownie kiwnął głową.

— Ależ tak, *mademoiselle*. Powiedziała mi pani, że spieszyła się pani na dół, przekonana, iż gong zabrzmiał już po raz drugi. — Rozejrzał się szybko po pokoju. — Czyż nie rozumiecie państwo, co to oznacza? — zawołał. — Nie rozumiecie. Spójrzcie! Spójrzcie! — Ruszył gwałtownie w kierunku fotela, w którym siedziała wcześniej ofiara. — Czy zauważyliście, w jakiej pozycji znaleźliśmy ciało? Denat nie siedział przodem do biurka... nie, siedział do niego bokiem, twarzą zwrócony w stronę okna. Czyż jest to naturalna pozycja dla samobójcy? *Jamais, jamais!* Taki człowiek pisze na kawałku papieru pożegnalne słowo „przepraszam”... otwiera szufladę, wyjmuje z niej rewolwer, przykłada go sobie do skroni i strzela. Tak postępuje samobójca. A teraz przypuśćmy, że było to morderstwo! Ofiara siedzi przy swym biurku, a morderca stoi obok niej... i coś mówi. Nie przestając mówić... strzela. Jaka zatem jest droga kuli? — Zawahał się. — Przeszywa czaszkę, wylatuje przez drzwi, o ile są one otwarte i... uderza w gong.

— Ach! Zaczynacie państwo rozumieć? To właśnie był pierwszy gong... usłyszała go jedynie *mademoiselle* Ashby, gdyż jej pokój znajduje się bezpośrednio nad gongiem. Co potem robi nasz morderca? Zatrzaszkuje drzwi, zamyka je na klucz, wsuwa klucz do kieszeni marynarki zmarłego, obraca ciało wraz z fotelem, odciska ślady palców denata na

rewolwerze, który następnie upuszcza obok niego, a w końcu ostatnim spektakularnym gestem rozbija wiszące na ścianie lustro — krótko mówiąc „pozoruje” samobójstwo. Później wychodzi przez oszklone drzwi i blokuje je, potrząsając framugą. Morderca nie stąpa po trawie, gdyż musiałby pozostawić tam wyraźne odciski stóp, lecz po grządce, gdzie można je zatrzeć. Następnie wraca do domu, a kiedy dwanaście po ósmej znajduje się sam w salonie, strzela z innego rewolweru przez okno i wybiegano holu. Czy tak właśnie pan to zrobił, panie Keene?

Sekretarz, jak zahipnotyzowany, utkwił wzrok w zbliżającym się do niego oskarżycielu. Potem ze zduszonym okrzykiem padł na podłogę.

— Sądzę, że uzyskałem odpowiedź — stwierdził Poirot. — Kapitanie Marshall, czy byłby pan tak łaskaw zatelefonować na policję? — Pochylił się nad leżącym. — Przypuszczam, że nie odzyska przytomności aż do ich przyjazdu.

— Geoffrey Keene — wyszeptała Diana. — Ale jaki był jego motyw?

— Jako sekretarz miał zapewne rozliczne możliwości... księgowość... czeki. Coś wzbudziło podejrzenia pana Lytchama Roche'a. Wezwał mnie.

— Dlaczego pana? Dlaczego nie zawiadomił policji?

— Sądzę, *mademoiselle*, że na to pytanie może pani sama odpowiedzieć. Pan Lytcham Roche podejrzewał, że coś łączy panią z tym młodym mężczyzną. By odwrócić uwagę od kapitana Marshalla, flirtowała pani otwarcie z panem Keene'em. Ależ tak, proszę nie zaprzeczać! Pan Keene dowiedział się o moim przyjeździe i postanowił działać szybko. Istota jego planu polegała na tym, by stworzyć pozory, że zbrodnia została popełniona o ósmej dwanaście, na którą to porę miał alibi. Był tylko jeden problem. Kula musiała leżeć w pobliżu gongu, a on nie zdążył jej wcześniej stamtąd usunąć. Podniósł ją w chwili, kiedy wszyscy podążaliśmy w kierunku gabinetu. Sądził, że w momencie tak wielkiego napięcia nikt tego nie zauważy. Ale ją zauważam wszystko! Zapytałem go o to. Zastanawiał się przez chwilę, a potem odegrał komedię! Twierdził, że przedmiotem, który podniósł z podłogi, był jedwabny pączek róży. Odegrał rolę młodego zakochanego mężczyzny, dbającego o honor damy swego serca. Och, to było bardzo sprytne i gdyby pani nie zbierała tych michałków...

— Nie rozumiem, co one mają z tym wspólnego.

— Doprawdy? Proszę posłuchać... na grządce były tylko cztery ślady stóp, a zbierając kwiaty musiała pani zostawić ich więcej. Zatem między pierwszym pani wyjściem po kwiaty, a drugim po pączek róży, ktoś musiał je zatrzeć. Nie zrobił tego ogrodnik, gdyż nie pracuje po godzinie siódmej. Więc musiał zrobić to winowajca... morderca... morderstwo zostało popełnione, zanim rozległ się strzał.

— Ale dlaczego nikt nie usłyszał tego prawdziwego strzału? — spytał Harry.

— Tłumik. Policjanci na pewno znajdą w krzakach tłumik i rewolwer.

— Cóż za ryzyko!

— Dlaczego ryzyko? Wszyscy przebierali się na górze do kolacji. To był bardzo dogodny moment. Jedyne problemy stanowiła kula, ale i tę trudność udało mu się, jak sądził, przezwyciężyć. Wrzucił ją pod lustro, kiedy obaj z panem Dalehouse staliśmy przy oknie.

— Och! — Diana odwróciła się do Marshalla. — Pobierzmy się, John, i zabierz mnie stąd.

— Droga Dianio — powiedział Barling, odchrząkując — zgodnie z warunkami testamentu mego przyjaciela...

— Nic mnie to nie obchodzi! — zawołała dziewczyna. — Możemy zarabiać, malując obrazki na chodnikach.

— Nie ma takiej potrzeby — powiedział Harry. — Podzielimy się po połowie, Di. Nie zamierzam brać wszystkiego tylko dlatego, że wuj był pomyłony.

Nagle rozległ się krzyk. Pani Lytcham Roche zerwała się na równe nogi.

— *Monsieur Poirot*... lustro... on chyba rozbił je rozmyślnie.

— Owszem, *madame*.

— Och! — Spojrzała na niego. — Ale to przynosi nieszczęście.

— Owszem, i przyniosło poważne nieszczęście panu Keene'owi — odparł pogodnie Poirot.

ŻÓŁTY IRYS

Herkules Poirot wyciągnął stopy w stronę elektrycznego grzejnika ściennego. Regularny układ rozgrzanej do czerwoności kratownicy sprawiał przyjemność jego precyzyjnemu umysłowi.

Płomienie pochodzące z palącego się węgla — pomyślał — są zawsze bezkształtne i przypadkowe! Nigdy nie osiągają symetrii.

Zabrzączał telefon. Poirot wstał i zerknął na zegarek. Dochodziło wpół do dwunastej. Zastanawiał się, kto dzwoni do niego o tej porze. Oczywiście mogła to być pomyłka.

— Może to też być — mruknął do siebie, uśmiechając się przewrotnie — wiadomość o jakimś magnacie prasowym, którego znaleziono martwego w bibliotece jego wiejskiej rezydencji z nakrapianą orchideą w lewej dłoni i z przypiętą na piersiach kartką wyrwaną z książki kucharskiej.

Z uśmiechem wywołanym tą atrakcyjną wizją podniósł słuchawkę.

Natychmiast rozległ się w niej głos — cichy, stłumiony, kobiecy głos, w którym rozbrzmiewały rozpaczliwe tony.

— Czy to *monsieur* Herkules Poirot? Czy to *monsieur* Herkules Poirot?

— Tak, przy telefonie.

— *Monsieur* Poirot... czy mógłby pan tu zaraz przyjechać... natychmiast... grozi mi niebezpieczeństwo... wielkie niebezpieczeństwo... wiem o tym...

— Kim pani jest? — spytał rzeczowo Poirot. — Skąd pani telefonuje?

Głos przycichł, ale stał się jeszcze bardziej nagły.

— Natychmiast... to sprawa życia lub śmierci... *Jardin des Cygnes*... niezwłocznie... stół z żółtymi irysami...

Głos w słuchawce zamilkł. Potem rozległo się dziwne, ciche westchnienie i połączenie zostało przerwane.

Herkules Poirot odwiesił słuchawkę. Na jego twarzy malowało się zaskoczenie.

— To jakaś bardzo dziwna sprawa — mruknął przez zaciśnięte zęby.

W drzwiach *Jardin des Cygnes* powitał go usłużnie gruby Luigi.

— *Buona sera, monsieur* Poirot. Czy życzy pan sobie stolik?

— Nie, nie, mój dobry Luigi. Szukam znajomych. Rozejrzę się nieco... być może jeszcze ich nie ma. Ach, chwileczkę, ten stół, tam, w rogu sali, z żółtymi irysami... d propos, nie chciałbym być niedyskretny, ale mam do ciebie pytanie. Na wszystkich innych stołach stoją tulipany — różowe tulipany — dlaczego więc na tym jednym są żółte irysy?

Luigi wymownie wzruszył ramionami.

— Polecenie, *monsieur*! Specjalne zamówienie! Z pewnością są to ulubione kwiaty którejs z dam. To stół pewnego niezwykle bogatego Amerykanina, pana Bartona Russella.

— Ach, trzeba dbać o kaprysy dam, prawda, Luigi?

— Jak zwykle ma pan rację, *monsieur* — odparł Luigi.

— Widzę, że przy tym stole siedzi mój znajomy. Pójdę z nim porozmawiać.

Poirot ostrożnie okrążył parkiet pełen roztańczonych par. Stół, który go interesował, był nakryty na sześć osób, ale w tej chwili siedział przy nim tylko jeden człowiek: młody mężczyzna, który wydawał się pogrążony w niewesołych rozważaniach i pił szampana.

Nie był on bynajmniej osobą, którą Poirot spodziewał się tu spotkać. Wydawało się rzeczą wręcz niemożliwą, by towarzystwo, do którego należał Tony Chapell, mogło mieć cokolwiek wspólnego z jakimś niebezpieczeństwem czy melodramatem.

Poirot zatrzymał się przy stoliku.

— Ach, czyżby to był mój przyjaciel Anthony Chapell?

— Cóż za cudowne spotkanie... Poirot, łowca przestępców! — zawołał młody człowiek.
— I nie mów do mnie Anthony, dla przyjaciół jestem po prostu Tony!

Uprzejmie wysunął krzesło.

— Usiądź ze mną. Porozmawiajmy o zbrodni! Posuńmy się dalej i wypijmy za zbrodnię.
— Nalał szampana do pustego kieliszka. — Ale cóż ty robisz w tym przybytku śpiewu, tańca i wszelkich uciech, drogi Poirot? Nie mamy ci do zaoferowania żadnych zwłok, zdecydowanie ani jednego trupa.

Poirot wypił mały łyk szampana.

— Wydajesz się bardzo rozbawiony, *mon cher*. —Rozbawiony? Jestem głęboko nieszczęśliwy... pograżony w rozpacz. Czy słyszysz tę melodię, którą właśnie grają?

Poznajesz ją?

— Może — zaryzykował Poirot — ma ona coś wspólnego z dziewczyną, która kogoś porzuciła?

— Całkiem trafne przypuszczenie — odparł młody człowiek. — Ale tym razem się mylisz. Jej tytuł brzmi: „Nic tak jak miłość nie pograży cię w rozpacz!”

— Ach, tak?

— To moja ulubiona melodia — oznajmił posepnie Tony Chapell. — Moja ulubiona restauracja i moja ulubiona orkiestra... a moja ukochana dziewczyna tańczy teraz z kimś innym.

— Więc stąd twoja melancholia? — spytał Poirot.

— Zgadza się. Widzisz, między Pauline a mną doszło — mówiąc trywialnie — do ostrej wymiany zdań. To znaczy, na każde sto słów na nią przypada dziewięćdziesiąt pięć, a na mnie pozostałe pięć. Moje pięć słów to: „Ależ, kochanie... mogę to wyjaśnić”. Wtedy ona znów wyrzuca z siebie swoje dziewięćdziesiąt pięć słów i nie posuwamy się dalej. Chyba się otruję — dodał ze smutkiem.

— Pauline? — mruknął Poirot.

— Pauline Weatherby. Szwagierka Barton Russella. Młoda, urocza i obrzydliwie bogata. To właśnie Barton Russell wydaje dzisiejsze przyjęcie. Znasz go? Wielki Biznes, typowy Amerykanin — ogromna energia i silna osobowość. Jego żona była siostrą Pauline.

— Kto jeszcze uczestniczy w tym przyjęciu?

— Poznasz ich za chwilę, kiedy orkiestra przestanie grać. Jest wśród nich Lola Valdez — wiesz, ta tancerka z Ameryki Południowej, która występuje w nowym wodewilu w Metropole, i Stephen Carter. Znasz Cartera? Pracuje w dyplomacji. Bardzo tajemniczy człowiek. Znany jako milczący Stephen. Z gatunku tych, którzy mawiają: „Nie jestem upoważniony do ujawnienia, itd., itd”. No proszę, właśnie nadchodzą.

Poirot wstał. Został przedstawiony Bartonowi Russellowi, Stephenowi Carterowi, Loli Valdez — ciemnowłosej, niezwykle efektownej kobiecie, i Pauline Weatherby — młodej, jasnej blondynce o oczach jak bławatki.

— Czyżby to był wielki *monsieur* Herkules Poirot? — zawołał Barton Russell. — Miło mi pana poznać, *sir*. Czy zechce pan usiąść z nami i dotrzymać nam towarzystwa? Chyba że...

— Chyba że — wtrącił Tony Chapell — ma obejrzeć jakieś zwłoki, rozwiązać tajemnicę ukrywającego się przed prawem finansisty lub odnaleźć wielki rubin radży Borriboolagahu?

— Ach, mój przyjacielu, czy sądzisz, że zawsze jestem na służbie? Czy, choć raz, nie mogę się po prostu zabawić?

— A może masz się tu spotkać z Carterem? Według ostatnich doniesień agencyjnych sytuacja międzynarodowa jest bardzo napięta. Jeśli nie znajdą się skradzione plany, jutro nastąpi wypowiedzenie wojny!

— Czy musisz się zachowywać jak kompletny idiota, Tony? — spytała z niesmakiem Pauline Weatherby.

— Przepraszam, Pauline.

Tony Chapell znów pogрузił się w posepny milczeniu.

— Surowa z pani kobieta, *mademoiselle*.

— Nie znoszę ludzi, którzy przez cały czas błaznują!

— Jak widzę, muszę się mieć na baczności. I rozmawiać jedynie o poważnych sprawach.

— Ależ nie, *monsieur* Poirot. Nie pana miałam na myśli — powiedziała, odwracając się do niego z uśmiechem. — Czy naprawdę jest pan kimś w rodzaju Sherlocka Holmesa i wspaniale posługuje się pan dedukcją?

— Ach, dedukcja! Niełatwo stosować ją w realnym życiu. Ale czy mógłbym spróbować? Zatem dedukuję... pani ulubionymi kwiatami są żółte irysy.

— Nie zgadł pan, *monsieur* Poirot. Konwalie lub róże. Poirot westchnął.

— Kompletnie fiasko. Spróbuję jeszcze raz. Dziś wieczorem, nie tak dawno temu, telefonowała pani do kogoś. Pauline roześmiała się i klasnęła w dłonie.

— Zgadza się.

— Było to niedługo po pani przyjściu tutaj?

— I to się zgadza. Zadzwońłam, kiedy tylko przekroczyłam próg tej restauracji.

— Ach... to niezbyt dobrze. Zatelefonowała pani, zanim podeszła pani do tego stołu?

— Owszem.

— Więc znów się pomyliłem.

— Ależ nie, uważam, że wykazał pan duże zdolności. Skąd pan wiedział, że do kogoś dzwoniłam?

— To, *mademoiselle*, pozostanie tajemnicą zawodową detektywa. Czy nazwisko lub imię osoby, do której pani telefonowała, zaczyna się od litery P... albo, być może, od litery H?

Pauline roześmiała się.

— Zupełnie źle. Dzwoniłam do mojej pokojówki z poleceniem, żeby wrzuciła do skrzynki kilka niezwykle ważnych listów, których nie wysłałam. Ma na imię Louise.

— Jestem zbity z tropu... zupełnie zbity z tropu.

Orkiestra znów zaczęła grać.

— Co ty na to, Pauline? — spytał Tony.

— Nie mam ochoty znów tańczyć po tak krótkiej przerwie, Tony.

— Czy to nie okropne? — spytał z goryczą Tony, zwracając się do wszystkich obecnych.

— Señora, nie ośmieliłbym się prosić pani do tańca — powiedział półgłosem Poirot do siedzącej obok niego dziewczyny. — Znadto przypominam zabytek.

— Ach, to co pan mówi, jest bez sensu! — oznajmiła Lola Yaldez. — Wciąż jest pan młody. Pańskie włosy są nadal czarne!

Poirot skrzywił się lekko.

— Pauline, jako twój szwagier i opiekun — powiedział poważnym tonem Barton Russell — zamierzam cię zmusić do wyjścia na parkiet! Grają walca, a walc to jedyny taniec, w którym naprawdę jestem dobry.

— Ależ, oczywiście, Barton, chodźmy .natychmiast.

— Grzeczna z ciebie dziewczynka, Pauline, to miło z twojej strony.

Ruszyli razem w kierunku parkietu. Tony odchylił się wraz z krzesłem do tyłu. Potem spojrział na Stephena Cartera.

— Rozmowny z ciebie jegomość, co, Carter? — spytał. — Zabaw towarzystwo swoją wesołą gadaniną, dobrze?

— Doprawdy, Chapell, nie wiem, o co ci chodzi.

— Och, co ty powiesz... naprawdę nie wiesz? — spytał Tony, parodiując jego napsuszony ton.

— Ależ mój drogi...

— Skoro nie masz ochoty na rozmowę, pij, człowieku, pij.

— Nie, dziękuję.

— Więc ja się napiję.
Stephen Carter wzruszył ramionami.
— Przepraszam, ale muszę porozmawiać z moim znajomym, który siedzi w drugim końcu sali. Byłem z nim w Eton.
Stephen Carter wstał i ruszył w kierunku oddalonego o kilka metrów stolika.
— Ktoś powinien był utopić absolwentów Eton w momencie ich narodzin — powiedział ponuro Tony.
Herkules Poirot nadal zabawiał rozmową siedzącą obok niego ciemnowłosą piękność.
— Czy wolno mi spytać — zagadnął cicho — jakie są pani ulubione kwiaty, *mademoiselle*?
— A właściwie dlaczego chciałby pan to wiedzieć? — spytała z szelmowskim uśmiechem Lola.
— *Mademoiselle*, jeśli posyłam damie kwiaty, zależy mi na tym, żeby były to kwiaty, jakie ona lubi.
— To bardzo miłe z pańskiej strony, *monsieur* Poirot. Powiem panu... uwielbiam duże, pasowe goździki... lub pasowe róże.
— Wspaniale... tak, wspaniale! Więc nie jest pani amatorką żółtych irysów?
— Żółte kwiaty... nie... nie pasują do mojego temperamentu.
— Rozsądna uwaga... Proszę mi powiedzieć, *mademoiselle*, czy dziś wieczorem, po przyjściu tutaj, telefonowała pani do kogoś?
— Ja? Czy do kogoś telefonowałam? Nie, cóż za dociekliwe pytanie!
— Cóż, ja jestem bardzo dociekliwym człowiekiem.
— Nie mam co do tego wątpliwości. — Spojrzała na niego zalotnie ciemnymi oczyma. — I bardzo niebezpiecznym człowiekiem.
— Skądże znowu, nie jestem niebezpieczny; powiedzmy, że jestem człowiekiem, który może być użyteczny... w razie jakiegoś niebezpieczeństwa! Rozumie pani?
Lola zachichotała, ukazując rząd równych, białych zębów.
— Ależ nie, nie — powiedziała ze śmiechem. — Pan jest niebezpieczny!
Herkules Poirot westchnął.
— Widzę, że pani nie rozumie. To wszystko jest bardzo dziwne.
— Lola, co powiesz na kilka tanecznych kroków? — spytał nagle Tony, otrząsnąwszy się z zamyślenia. — Chodź.
— Dobrze. Skoro *Monsieur* Poirot nie ma dość odwagi! Tony objął ją i ruszyli w stronę parkietu.
— Możesz teraz, przyjacielu, medytować o zbrodni, do której jeszcze nie doszło! — powiedział do Poirota, odwracając głowę.
— To bardzo słuszna uwaga — mruknął Poirot. — Tak, naprawdę bardzo słuszna...
Przez parę minut siedział pogrążony w myślach, a potem podniósł palec. Natychmiast podszedł do niego Luigi z szerokim uśmiechem na twarzy.
— *Mon vieux* — powiedział Poirot. — Potrzebuję kilku informacji.
— Zawsze do pańskich usług, *monsieur*.
— Chciałbym się dowiedzieć, które z siedzących przy tym stole osób korzystały dzisiejszego wieczora z telefonu.
— Mogę to panu powiedzieć, *monsieur*. Ta młoda dama w białej sukni dzwoniła natychmiast po przyjściu. Potem, kiedy poszła oddać swój płaszcz, ta druga dama wyszła z szatni i zamknęła się w kabinie telefonicznej.
— A więc jednak señora do kogoś dzwoniła! Czy miało to miejsce, zanim weszła do sali restauracji?
— Tak, *monsieur*.
— Ktoś jeszcze?

— Już nikt, *monsieur*.

— Wszystko to, Luigi, daje mi do myślenia!

— Doprawdy, *monsieur*?

— Owszem. Sądzę, Luigi, że tej nocy bardziej niż kiedykolwiek muszę zachować przytomność umysłu! Coś się wydarzy, Luigi, a ja zupełnie nie wiem co.

— Jeśli mogę się na coś przydać, *monsieur*...

Poirot dał mu znak ręką. Luigi dyskretnie się oddalił. Stephen Carter wrócił do stołu.

— Nadal jesteśmy sami, panie Carter — zauważył Poirot.

— Och... eee... na to wygląda — odparł Carter.

— Czy dobrze pan zna pana Bartona Russella?

— Owszem, znam go od dość dawna.

— Jego szwagierka, panna Weatherby, to niezwykle czarująca młoda dama.

— Tak, ładna dziewczyna.

— Czy ją również dobrze pan zna?

— Nieźle.

— Och, nieźle, nieźle — powtórzył Poirot. Carter utkwiał w nim zdziwiony wzrok.

Muzyka ucichła i reszta towarzystwa wróciła do stołu.

— Jeszcze jedna butelka szampana... ale szybko! — zawołał do kelnera Barton Russell. Uniósł swój kieliszek. — Posłuchajcie, moi drodzy. Poproszę was, żebyśmy wzniesli toast. Prawdę powiedziawszy, istnieje powód, dla którego wydałem dziś to skromne przyjęcie. Jak wiecie, zamówiłem stół na sześć osób. Przyszło nas tylko pięcioro. Pozostało więc jedno wolne miejsce. Potem, niezwykłym zbiegiem okoliczności, przechodził tędy *monsieur* Herkules Poirot, więc poprosiłem go, by się do nas przyłączył. Nawet nie wiecie, jaki to szczęśliwy zbieg okoliczności. Widzicie, to puste miejsce symbolizuje pewną damę... damę, której pamięci poświęcone jest dzisiejsze przyjęcie. Zaprosiłem was tu, panie i panowie, by uczcić pamięć mojej drogiej żony Iris w czwartą rocznicę jej śmierci, która wypada dokładnie dziś!

Goście poruszyli się niespokojnie. Barton Russell z kamiennym wyrazem twarzy uniósł swój kieliszek.

— Wypijmy więc za jej pamięć. Iris!

— Iris? — powtórzył z niepokojem Poirot.

Zerknął na kwiaty. Barton Russell, uchwyciwszy jego spojrzenie, nieznacznie kiwnął głową. Dał się słyszeć cichy szmer głosów.

— Iris... Iris...

Wszyscy wydawali się wstrząśnięci i zaniepokojeni. Barton Russell mówił dalej, akcentując wyraźnie słowa w typowy dla Amerykanów sposób.

— Może wam się wydać dziwne, że postanowiłem uczcić rocznicę śmierci wydając prośną kolację w eleganckiej restauracji. Ale mam po temu powód... tak, mam powód. Na użytek *monsieur* Poirota wyjaśnię to.

Odwrócił głowę w stronę Poirota.

— Dokładnie cztery lata temu, *monsieur* Poirot, odbyło się przyjęcie w Nowym Jorku. Uczestniczyli w nim: moja żona i ja, pan Stephen Carter, który był wówczas pracownikiem ambasady w Waszyngtonie, pan Anthony Chapell, który przez kilka tygodni gościł w naszym domu, oraz señoira Valdez, która w owym czasie zachwycała swym tańcem cały Nowy Jork. Mała Pauline — poklepał ją po ramieniu — miała zaledwie szesnaście lat, ale w drodze wyjątku została również zaproszona na tę kolację. Pamiętasz, Pauline?

— Owszem... pamiętam — odparła drżącym głosem.

— Otóż, *monsieur* Poirot, tego właśnie wieczora doszło do tragedii. Uderzono w bębny i rozpoczęły się występy kabaretu. Światła zgasły — wszystkie z wyjątkiem umieszczonego

pośrodku parkietu reflektora. Kiedy się zapaliły znowu, *monsieur* Poirot, moja żona siedziała pochylona do przodu, z twarzą opartą na stole. Była martwa... martwa jak głaz.

Na dnie jej kieliszka z winem odkryto ślady cyjanku potasu, a w torebce znaleziono opróżnioną do połowy paczkę trucizny.

— Popelniła samobójstwo? — spytał Poirot.

— Tak orzeczono... Byłem załamany, *monsieur* Poirot. Być może jej czyn był czymś umotywowany... tak przynajmniej uważali policjanci. A ja pogodziłem się z ich decyzją.

Nagle uderzył pięścią w stół.

— Ale nie byłem przekonany... Nie, przez cztery lata zastanawiałem się i rozmyślałem... i nadal nie jestem przekonany: nie wierzę, że Iris popełniła samobójstwo. Uważam, *Monsieur* Poirot, że została zamordowana... przez jedną z siedzących przy tym stole osób.

— Ależ, *sir*... — Tony Chapell zerwał się z krzesła.

— Uspokój się, Tony — powiedział Russell. — Jeszcze nie skończyłem. Zrobiło to któreś z nich... teraz jestem tego pewien. Ktoś, kto pod osłoną ciemności wsunął do torebki Iris opróżnioną do połowy paczkę cyjanku. Myślę, że wiem, kto popełnił tę zbrodnię. Zamierzam odkryć prawdę...

— Oszalałeś! — krzyknęła piskliwym głosem Lola. — Zwariowałeś... któżby chciał ją skrzywdzić? Tak, jesteś szalony. Nie zostanę tu... — Urwała.

Rozległ się huk bębnow.

— Kabaret — oznajmił Barton Russell. — Wrócimy do tego później. Zostańcie wszyscy na swoich miejscach. Pójdę porozmawiać z orkiestrą. Zawarłem z nimi pewien układ.

Wstał i odszedł od stołu.

— Zadziwiająca sprawa — skomentował Carter. — Ten człowiek oszalał.

— Tak, on zwariował — powiedziała Lola. Światła przygasły.

— Niewiele brakowało, żebym się stąd wyniósł — oznajmił Tony.

— Nie! — zawołała cicho Pauline. Po chwili wyszeptala: — O Boże... och, mój Boże...

— O co chodzi, *mademoiselle*? — spytał półgłosem Poirot.

— To okropne! — odparła niemal szeptem. — Jest dokładnie tak jak tamtego wieczora...

— Ciii! Ciii! — zaczęli ich uciszać siedzący przy innych stolikach goście.

Poirot zniżył głos.

— Powiem pani coś na ucho. — Szeptał przez chwilę, a potem poklepał ją po ramieniu. — Wszystko będzie dobrze — zapewnił.

— Mój Boże, posłuchajcie! — krzyknęła Lola.

— O co chodzi, señora?

— To ta sama piosenka... ta sama melodia, którą grali owej nocy w Nowym Jorku. Z pewnością zamówił ją Barton Russell. To mi się nie podoba.

— Odwagi... odwagi...

Obecni na sali goście znów zaczęli ich uciszać.

Na środku parkietu pojawiła się czarna jak smoła dziewczyna. Miała błyszczące oczy i lśniące białe zęby. Zaczęła śpiewać głębokim, sugestywnym głosem:

*Zapomniałam już
Twojego głosu dźwięk,
Ciepło twoich ust —
Nie pamiętam cię.
Zapomniałam też
Twoich oczu żar,
Dziś już nie chcę cię,
Pryśł miłości czar.
Wyrzuciłam precz*

*Wspomnień zeschnięty liść
I nie będę już
O przeszłości śnić.*

*Teraz już twój los
Nie obchodzi mnie,
Teraz rób co chcesz —
Nie pamiętam cię...
Nie pamiętam cię...*

Wzruszająca melodia i głęboki, aksamitny głos Murzynki wywarły na słuchaczach silne wrażenie. Zahipnotyzowały ich — rzuciły na nich czar. Odczuli to nawet kelnerzy. Cała sala utkwiała wzrok w piosenkarce, urzeczona jej ekspresyjnym śpiewem.

Kelner bezszelestnie okrążył stolik, napełniając kieliszki, ale uwaga wszystkich skupiona była na jasnej plamie światła. Murzynka, której przodkowie pochodzili z Afryki, śpiewała swym głębokim głosem:

*Zapomniałam już...
Och, nie, nie wierz mi —*

*Pragnę kochać cię
Po kres moich dni...¹*

Rozległy się frenetyczne oklaski. Zapalono światła. Barton Russell wrócił do stołu i wślizgnął się na swoje miejsce.

— Ta dziewczyna jest wspaniała!... — zawołał Tony. Ale jego słowa przerwał cichy okrzyk Loli.

— Spójrzcie... spójrzcie...

Wszyscy zobaczyli, że Pauline Weatherby bezwładnie opada na stół.

— Ona nie żyje! — krzyknęła Lola. — Dokładnie tak samo jak Iris... jak Iris w Nowym Jorku.

Poirot zerwał się z krzesła, gestem dłoni nakazując obecnym pozostanie na miejscach. Pochylił się nad Pauline, bardzo delikatnie uniósł jej bezwładną rękę i namacał palcami puls.

Na jego bladej twarzy malowała się powaga. Wszyscy uważnie go obserwowali. Siedzieli nieruchomo jakby w transie.

Poirot wolno pokiwał głową.

— Tak, nie żyje... *la pauvre petite*. A ja siedziałem obok niej! Ach! Ale tym razem mordercy nie uda się uciec.

Twarz Bartona Russella poszarzała.

— Dokładnie jak Iris... — wymamrotał. — Ona coś zauważyła... Pauline zauważyła coś tamtego wieczora... Ale nie była pewna... powiedziała mi, że nie jest pewna... Musimy wezwać policję... O Boże, mała Pauline.

— Gdzie jest jej kieliszek? — spytał Poirot. — Tak, czuję wyraźny zapach cyjanku — oznajmił, przytknąwszy go do nosa. — Woń gorzkich migdałów... ta sama metoda... ta sama trucizna... — Wziął do rąk torebkę Pauline. — Zobaczmy, co jest w środku.

— Chyba nie wierzy pan, że to również jest samobójstwo? — krzyknął Barton Russell. — To niemożliwe!

¹ Przetłoczyła Ewa Rojewska—Olejarczuk.

— Proszę poczekać! — powiedział rozkazującym tonem Poirot. — Nie, nic w niej nie ma. Zbyt szybko zapalono światła, więc morderca nie zdążył. Zatem nadal ma on truciznę przy sobie.

— Lub ona — powiedział Carter, spoglądając na Lolę Valdez.

— Do czego zmierzasz? — krzyknęła Lola. — Co ty wygadujesz? Że ja ją zabiłam... to nieprawda... nieprawda... dlaczego miałabym to zrobić!

— Wtedy w Nowym Jorku kokietowałaś Bartona. Słyszałem takie plotki. Powszechnie wiadomo, że argentyńskie piękności są piekielnie zazdrosne.

— To stek kłamstw. A ja nie pochodzę z Argentyny. Pochodzę z Peru. Ach... jesteś obrzydliwy. Ja... — Zaczęła mówić po hiszpańsku.

— Proszę o ciszę! — krzyknął Poirot. — Teraz ja będę mówił.

— Trzeba wszystkich przeszukać — powiedział z naciskiem Barton Russell.

— Nie, nie — odparł spokojnie Poirot. — To nie jest konieczne.

— Co to znaczy, nie jest konieczne?

— Ja, Herkules Poirot, wiem. Widzę oczyma duszy. I będę mówił! Panie Carter, czy zechciałby pan pokazać nam paczkę znajdującą się w górnej kieszeni pańskiej marynarki?

— Niczego nie mam w kieszeni. Co, do cholery...

— Tony, przyjacielu, bądź tak uprzejmy.

— Niech cię diabli! — zawołał Carter.

Tony zręcznym ruchem wyciągnął paczkę, zanim Carter zdążył mu przeszkodzić.

— Oto i ona, *monsieur* Poirot, jest dokładnie tak, jak przewidziałeś!

— To wierutne kłamstwo! — krzyknął Carter.

Poirot wziął paczkę i przeczytał napis na etykiecie:

— Cyjanek potasu. Sprawa jest zakończona.

— Carter! — zawołał ochryplym głosem Barton Russell. — Zawsze cię podejrzewałem. Iris była w tobie zakochana. Zamierzała z tobą wyjechać. Ale ty nie chciałeś dopuścić do skandalu z uwagi na swą drogocenną karierę, więc ją otrułeś. Zawisniesz za to na szubienicy, ty draniu!

— Spokój! — zażądał stanowczym, autorytatywnym głosem Poirot. — Sprawa nie jest jeszcze zakończona. Ja, Herkules Poirot, mam coś do powiedzenia. Kiedy się tu zjawiłem, mój przyjaciel Tony Chapell stwierdził, że zapewne przyszedłem w poszukiwaniu zbrodni. Było to po części prawdą. Kierowała mną myśl o zbrodni... ale przybyłem tu po to, by jej zapobiec. I zapobiegłem jej. Morderca miał niezły plan... ale Herkules Poirot wyprzedził go o krok. Kiedy światła zgasły, musiałem naprędce coś wymyślić, i szybko przekazałem to na ucho *mademoiselle*. *Mademoiselle* Pauline jest bardzo inteligentna i pojętna, więc świetnie odegrała swoją rolę. *Mademoiselle*, czy zechciałaby pani udowodnić nam, że bynajmniej nie jest pani martwa?

Pauline podniosła głowę znad stołu.

— Zmartwychwstanie Pauline — powiedziała z niepewnym uśmiechem.

— Pauline... kochanie!

— Tony!

— Moja najdroższa!

— Aniele!

Barton Russell wciągnął głęboko powietrze.

— Ja... ja nie rozumiem...

— Pomogę panu zrozumieć, panie Russell. Pański plan spalił na panewce.

— Mój plan?

— Owszem, pański plan. Kto jest jedyną osobą, która zapewniła sobie alibi, kiedy zgasły światła? Człowiek, który odszedł od stołu — pan, panie Russell. Wrócił pan pod osłoną ciemności, okrążył stół nalewając szampana, wsypał pan cyjanek do kieliszka Pauline, a

paczkę z resztką trucizny wsunął pan do kieszeni Cartera, pochylając się nad nim, by wziąć jego kieliszek. Och, tak, łatwo odegrać rolę kelnera w ciemności, kiedy uwaga wszystkich skupiona jest na czymś innym. To był prawdziwy powód, dla którego wydał pan dzisiejsze przyjęcie. W tłumie ludzi najłatwiej jest bezkarnie popełnić morderstwo.

— Dlaczego... dlaczego, do diabła, miałbym zabijać Pauline?

— Być może to kwestia pieniędzy. Po śmierci pańskiej żony pan został prawnym opiekunem jej siostry. Wspomniał pan o tym dzisiejszego wieczora. Pauline ma dwadzieścia lat. Kiedy skończy dwadzieścia jeden lub wyjdzie za mąż, będzie pan musiał złożyć jej sprawozdanie z okresu zarządzania majątkiem. Podejrzewam, że nie będzie pan w stanie tego zrobić. Spekulował pan jej pieniędzmi. Nie wiem, panie Russell, czy zabił pan swoją żonę w taki sam sposób, czy też jej samobójstwo podsunęło panu pomysł tej zbrodni, ale wiem na pewno, że dziś wieczorem to pan usiłował popełnić morderstwo. Tylko od panny Pauliny zależy, czy zostanie pan postawiony w stan oskarżenia.

— Nie — powiedziała Pauline. — Może zniknąć z moich oczu i wyjechać z tego kraju. Nie chcę skandalu.

— Najlepiej będzie, jeśli pan się szybko stąd wyniesie, panie Russell, i radzę panu, żeby zachował pan w przyszłości ostrożność.

Barton Russell wstał. Mięśnie jego twarzy nerwowo drgały.

— Niech cię diabli, ty wścibski, małostkowy, zarozumiały Belgu!

Ze złością wyszedł z restauracji. Pauline westchnęła.

— *Monsieur Poirot*, jest pan niezrównany...

— To pani, *mademoiselle*, była wspaniała. Zręcznie wylała pani swego szampana i znakomicie odegrała rolę denatki.

— Brrr — zadrżała — przyprawia mnie pan o dreszcze.

— To pani do mnie telefonowała, prawda? — spytał łagodnie.

— Owszem.

— Dlaczego?

— Sama nie wiem. Dręczył mnie niepokój i... strach, choć nie miałam pojęcia, czego właściwie się boję. Barton powiedział mi, że wydaje to przyjęcie, by uczcić pamięć Iris. Zdawałam sobie sprawę, że ma w związku z tym jakiś plan... ale nie chciał mi go zdradzić. Widząc jego dziwne podniecenie poczułam lęk, że może wydarzyć się coś strasznego... ale, oczywiście, nie przyszło mi do głowy, że zamierza... pozbyć się mnie.

— A więc, *mademoiselle*?

— Słyszałam, co ludzie o panu mówią. Pomyślałam więc, że jeśli ściągnę pana tutaj, powstrzyma pan bieg wydarzeń. Sądziłam, że pan... jako cudzoziemiec... że jeśli do pana zadzwonię, udając, iż grozi mi niebezpieczeństwo i... zabrzmi to tajemniczo...

— Przypuszczała pani, że zainteresuje mnie melodramat? To właśnie mnie zaintrygowało. Sama wiadomość... była wyraźną mistyfikacją... po prostu nie brzmiała prawdziwie. Ale przerażenie w głosie było autentyczne. Więc się zjawiłem, a pani dała mi do zrozumienia, że wcale pani do mnie nie telefonowała.

— Musiałam tak zrobić. Poza tym nie chciałam, aby pan wiedział, że to właśnie ja.

— Ach, ale ja byłem tego zupełnie pewien! No, nie od samego początku. Ale dość szybko zdałem sobie sprawę, że tylko dwie osoby mogły wiedzieć o tych żółtych irysach: pani i pan Barton Russell.

Pauline kiwnęła głową.

— Słyszałam, jak je zamawiał — wyjaśniła. — Wybrał te kwiaty i zarezerwował stół na sześć osób, choć miało nas być tylko pięcioro... wszystko to wzbudziło moje podejrzenia...

— Urwała, zaciskając usta.

— Jakie podejrzenia, *mademoiselle*?

— Podejrzewałam... — odparła powoli — że coś może się przytrafić... panu Carterowi.

Stephen Carter odchrząknął. Bez pośpiechu, lecz zdecydowanie wstał od stołu.

— Eee... hmm... chciałbym... eee... podziękować panu, panie Poirot. Jestem panu wielce zobowiązany. Z pewnością wybaczycie mi, jeśli was opuszczę. Wydarzenia dzisiejszej nocy były... dość wyczerpujące.

— Nie cierpię go — powiedziała gwałtownie Pauline, patrząc za nim. — Zawsze uważałam, że to... z jego powodu Iris popełniła samobójstwo. Albo też, być może... zabił ją Barton. Och, to wszystko jest takie ohydne...

— Proszę o tym zapomnieć, *mademoiselle*... zapomnieć o przeszłości... Niech pani myśli jedynie o chwili obecnej...

— Tak... — mruknęła Pauline — ma pan rację... Poirot odwrócił się do Loli Valdez.

— Señora, z upływem wieczoru staję się coraz odważniejszy. Jeśli teraz zechce pani ze mną zatańczyć...

— Och, tak, chętnie. Jest pan bardzo atrakcyjnym mężczyzną, *monsieur* Poirot. Wręcz nalegam na taniec z panem.

— Jest pani niezwykle uprzejma, señora.

Tony i Pauline zostali sami. Nachylili się ku sobie ponad stołem.

— Kochana Pauline.

— Och, Tony, przez cały dzień zachowywałam się wobec ciebie jak wstrętna, dokuczliwa, złośliwa jędrza. Czy kiedykolwiek będziesz w stanie mi to wybaczyć?

— Najdroższa! Znów grają naszą melodię. Chodźmy na parkiet.

Tańczyli, uśmiechając się do siebie i cicho nucąc:

Nic tak jak miłość nie pogrąży cię w rozpacz,

Nic tak jak miłość cię boleścią nie osaczy,

Będziesz niepewny

I opętany,

Będziesz tęsknotą

Wieczną targany.

Bo kiedy trafisz w miłości szpony,

Jesteś zgubiony.

Nic tak jak miłość cię bez reszty nie opęta,

Bo gdy w miłości się zagubisz, zapamiętasz,

Będziesz szaleńcem,

Będziesz zbrodniarzem,

O własnej śmierci

Nagle zamarzysz.

Bo kiedy trafisz w miłości szpony,

Jesteś zgubiony...²

² Przetłoczyła Ewa Rojewska—Olejarczuk.

SERWIS DO HERBATY „ARLEKIN”

Pan Satterthwaite dwukrotnie cmoknął ze złości. Czy miał rację, czy też nie, nabierał coraz większego przekonania, że obecnie samochody psują się znacznie częściej niż dawniej. Ufał jedynie starym, przyjaznym pojazdom, które przetrwały próbę czasu. Wprawdzie miały swoje drobne narowy, ale właściciel znał je, był w stanie je przewidzieć i w porę zapobiec ich skutkom. Ale te dzisiejsze auta! Nowe wynalazki, różne okna, nowoczesne tablice rozdzielcze z lśniącego drewna, na których trzeba szukać przełącznika świateł przeciwmgielnych, wycieraczek, ssania i tak dalej, i tak dalej, gdyż wszystkie gałki znajdują się w najbardziej nieoczekiwanych miejscach! A kiedy błyszczący nowy nabytek zaczynał zawodzić, miejscowy mechanik nieodmiennie powtarzał irytujące frazesy w rodzaju: „Choroba okresu ząbkowania, *sir*. Te kabriolety super superbos są naprawdę doskonałe i nowoczesne, ale muszą od czasu do czasu przejść ząbkowanie. Cha! Cha! Cha!” Zupełnie jakby samochód był dzieckiem.

Pan Satterthwaite, mężczyzna w zaawansowanym wieku, żywił głębokie przekonanie, że nowy samochód powinien być całkowicie dorosły. Że nabywca ma prawo zakładać, iż jego pojazd został dokładnie sprawdzony i ma już za sobą wszystkie choroby okresu ząbkowania.

Jechał właśnie z wizytą na wieś do przyjaciół, u których miał spędzić weekend. W drodze z Londynu jego nowy samochód zaczął zdradzać pewne niepokojące objawy i został wstawiony do warsztatu. Jego właściciel czekał na diagnozę oraz na orzeczenie, jak długo potrwa naprawa i kiedy będzie mógł wyruszyć w dalszą podróż. Szofer naradzał się z mechanikami. Satterthwaite siedział, usiłując uzbroić się w cierpliwość. Poprzedniego wieczoru zapewnił telefonicznie swych gospodarzy, że przybędzie do nich w porze podwieczorku. Zamierzał dotrzeć do Doverton Kingsbourne przed godziną czwartą.

Znów cmoknął z niezadowoleniem i próbował skupić myśli na czymś przyjemnym. Czuł się nieswojo siedząc tak rozdrażniony, bez przerwy zerkając na zegarek, cmokając i wyglądając jak kura, która zniosła jajo i jest dumna ze swego bohaterskiego czynu.

Tak. Coś przyjemnego. Przypomniał sobie, że podczas jazdy dostrzegł coś, co przyciągnęło jego uwagę. Niezbyt dawno temu. Coś, co spodobało mu się i obudziło jego emocje. Ale zanim dotarło to do jego świadomości, niedomagania samochodu nasiliły się jeszcze bardziej, więc wizyta w najbliższym warsztacie okazała się nieunikniona.

Co zwróciło moją uwagę? — spytał sam siebie. Po lewej stronie... nie, po prawej... Tak, dostrzegłem to po prawej stronie ulicy, kiedy wolno jechaliśmy przez miasteczko... Obok urzędu pocztowego. Tak, jestem tego zupełnie pewny. Obok poczty, ponieważ jej widok podsunął mi pomysł zatelefonowania do Addisonów i zawiadomienia ich, że mogę się trochę spóźnić... Urząd pocztowy... Miejscowy urząd pocztowy... A obok... tak, zdecydowanie obok... jeśli nie w sąsiednim budynku to w następnym... Coś, co obudziło moje wspomnienia... coś, co chciałem mieć... cóż to takiego było?... O Boże, zaraz sobie przypomnę... Kojarzy mi się to z jakimś kolorem... Wieloma kolorami... Tak, z jednym albo z wieloma kolorami... A może było to słowo... Jakieś słowo, które poruszyło wspomnienia, wyobraźnię, sprawiło chwilową przyjemność i podnieciło mnie, przywołując na pamięć jakiś ostry, żywy obraz... Byłem nie tylko widzem... Nie, byłem czymś więcej... Brałem w tym udział... Ale w czym brałem udział, dlaczego i gdzie to było?... Mogło to być w różnych miejscach... Chyba wiem... W różnych miejscach... Na jakiejś wyspie?... Na Korsyce?... W Monte Carlo, kiedy przyglądałem się krupierowi puszczającemu w ruch koło ruletki?... W jakimś domu na wsi?... W różnych miejscach... Prócz mnie był tam ktoś jeszcze... Tak, ktoś jeszcze... Ktoś, z kim to wszystko się wiąże... Mam... Gdybym tylko mógł...

W tym momencie jego rozmyślania przerwał szofer, który wraz z mechanikiem podszedł do okna.

— To nie potrwa już długo, *sir* — zapewnił Satterthwaite’a pocieszającym tonem. — To kwestia jakichś dziesięciu minut. Nie więcej.

— Nic poważnego — oznajmił mechanik niskim, ochrypłym głosem wieśniaka. — Można by to nazwać chorobą okresu ząbkowania.

Tym razem Satterthwaite nie cmoknął, tylko zazgrzytał zębami. Była to reakcja, o której często czytał w książkach i która na starość weszła mu w zwyczaj, może dlatego, że jego górna sztuczna szczęka nieco się obluźowała.

Do diabła, pomyślał. Okres ząbkowania. Ból zębów. Zgrzytanie zębami. Sztuczne zęby. Całe życie człowieka koncentruje się wokół zębów!

— Doverton Kingsbourne jest zaledwie o kilka mil stąd — powiedział szofer — i tu można wynająć taksówkę. Niech pan więc pojedzie sam, *sir*, a ja przyprowadzę samochód, kiedy tylko zostanie naprawiony.

— Nie! — zawołał Satterthwaite.

Ten nagły wybuch zaskoczył zarówno szofera, jak i mechanika. Oczy Satterthwaite’a błyszczały, a jego głos brzmiał wyraźnie i stanowczo. W końcu przypomniał sobie to, o co mu chodziło.

— Zamierzam — powiedział — wrócić piechotą do miasteczka, przez które przed chwilą przejeżdżaliśmy. Kiedy samochód będzie gotowy, podjedziesz tam po mnie. Będę czekał w Cafe Arlekin.

— To niezbyt odpowiednie miejsce dla pana, *sir* — uprzedził go mechanik.

— Tam właśnie będę — oznajmił Satterthwaite władcym, nie znoszącym sprzeciwu tonem.

Energicznym krokiem ruszył w drogę. Obaj mężczyźni patrzyli za nim.

— Nie mam pojęcia, co go ugryzło — powiedział szofer. — Nigdy przedtem nie widziałem, żeby się tak zachowywał.

Miasteczko Kingsbourne Ducis nie zasługiwało na swą majestatycznie brzmiącą nazwę. Ta mała dziura miało tylko jedną ulicę, przy której stało kilka budynków. Niektóre domy zostały przerobione na sklepy, a niektóre sklepy na domy mieszkalne, co potęgowało wrażenie chaosu.

Nie było więc to piękne, staroświeckie miasteczko, lecz skromna, bezbarwna osada. Być może właśnie dlatego wzrok Satterthwaite’a przyciągnęła owa barwna plama.

Dotarł w końcu do poczty, przed którą stała skrzynka na listy, a w witrynie leżało kilka gazet i kartek pocztowych. Tuż obok niej Satterthwaite dostrzegł szyld. Cafe Arlekin. Ogarnął go niepokój. Doszedł do wniosku, że zbyt się starzeje. Że ma urojenia. Dlaczego ta nazwa poruszyła jego serce? Arlekin Cafe.

Mechanik miał absolutną rację. Cafe Arlekin nie sprawiało wrażenia miejsca, w którym chciałoby się zjeść posiłek. Najwyżej jakąś przekąskę. Albo wypić poranną kawę. Więc dlaczego? Nagle uświadomił sobie przyczynę. Budynek, który mieścił kawiarnię, składał się z dwóch części. W jednej stały otoczone krzesłami stoły, przeznaczone dla gości, którzy przychodzili tu na posiłki. Drugą zaś zajmował sklepik z porcelaną. Nie był to antykwariat. Nie było w nim małych półek zastawionych kryształowymi wazami czy pucharami. W tym sklepiku sprzedawano wyroby współczesne, a wychodząca na ulicę wystawa tonęła teraz we wszystkich odcieniach tęczy. Satterthwaite dostrzegł na niej serwis do herbaty, składający się z dość dużych filiżanek i spodków. Każdy z elementów tego kompletu utrzymany był w innym kolorze. Błękit, czerwień, żółć, zieleń, róż, purpura. Pomyślał, że to cudowna feeria barw. Nic dziwnego, że przyciągnęła jego wzrok, kiedy przejeżdżał tędy wolno w poszukiwaniu jakiegoś warsztatu lub stacji obsługi samochodów. Obok serwisu leżała kartka z napisem *Serwis do herbaty „Arlekin”*.

To właśnie słowo „arlekin” utkwiło w zakamarkach pamięci Satterthwaite’a, na tyle głęboko, że nie potrafił go z niczym skojarzyć. Jaskrawe kolory. Kolory stroju arlekina. Pod

wpływem nagłego impulsu uznał to słowo za wezwanie. Za wezwanie skierowane specjalnie do niego. Wpadł na absurdalny pomysł, że być może zastanie tu swojego starego przyjaciela, Harleya Quina, który będzie jadł posiłek lub kupował filiżanki i spodki. Zastanawiał się, ile lat minęło od ich ostatniego spotkania. Wiele, wiele lat. Czy było to wtedy, kiedy Quin wyszedł od niego i podążył wiejską dróżką, którą nazywali Ścieżką Zakochanych? Miał wówczas nadzieję, że będzie widywał Quina przynajmniej raz w roku. Może dwa razy. Ale nie. Tak się nie stało.

I właśnie dzisiaj niespodziewanie przyszła mu do głowy cudowna myśl, że tu, w miasteczku Kingsbourne Ducis, może znów odnaleźć Harleya Quina.

— To niedorzeczne — powiedział do siebie — całkiem niedorzeczne. Doprawdy, cóż za pomysły przychodzą człowiekowi do głowy na starość!

Tęsknił za Quinem. Tęsknił za czymś, co w ostatnich latach było jedną z najbardziej emocjonujących spraw w jego życiu. Za kimś, kto mógł zjawić się gdziekolwiek, a jego zjawienie się zawsze było zapowiedzią jakiegoś wydarzenia. Za czymś, co miało przytrafić się jemu. Nie, to niezbyt ściśle. Nie jemu, lecz za jego pośrednictwem. Była to podniecająca rola. Działo się tak za sprawą wypowiedzianych przez Quina słów. Słowa. Sprawy, które mu uświadamiał, rodziły w umyśle Satterthwaite'a nowe pomysły. Dostrzegał rzeczy, pojmował je i odkrywał. Był w stanie rozwiązywać problemy, które wymagały rozwiązania. A Quin siedział naprzeciw niego, uśmiechając się z aprobatą. To, o czym mówił Quin, uruchamiało potok myśli, wzmagalo jego własną aktywność. Jego — Satterthwaite'a. Człowieka, który miał tylu przyjaciół. Człowieka, który miał przyjaciół wśród księżnych, biskupów, ludzi liczących się. Sam musiał przyznać, że zwłaszcza wśród ludzi liczących się sferach towarzyskich. Ponieważ Satterthwaite mimo wszystko zawsze był snobem. Miał słabość do księżnych, lubił poznawać stare rodziny, które od wielu pokoleń należały do angielskiej szlachty. Ale interesowali go również młodzi ludzie, niekoniecznie liczący się w towarzystwie. Młodzi ludzie, którzy znaleźli się w kłopotach, byli zakochani, nieszczęśliwi i potrzebowali pomocy. A dzięki Quinowi Satterthwaite mógł udzielić im tej pomocy.

A teraz jak jakiś idiota zaglądał niepewnie do niezbyt atrakcyjnej prowincjonalnej kawiarni i sklepu ze współczesną porcelaną, serwisami do herbaty oraz kamiennymi rondelkami.

Tak czy owak — powiedział do siebie — muszę wejść do środka. Postąpiłem już i tak wystarczająco głupio wracając tu, więc muszę wejść po prostu... no cóż, tylko na wszelki wypadek. Naprawa samochodu potrwa chyba dłużej niż twierdzą. Na pewno więcej niż dziesięć minut. Może w środku znajdę coś interesującego.

Raz jeszcze spojrzął na wystawę. Nagle zdał sobie sprawę, że serwis jest starannie wykonany, a porcelana w dobrym gatunku. Że to ładne, współczesne wyroby. Cofnął się pamięcią w przeszłość. Przypomniawszy sobie księżną Leith. — Cóż to była za wspaniała stara dama — pomyślał. — Taka życzliwa dla swojej pokojówki podczas rejsu na Korsykę, po wzburzonym morzu. Opiekowała się nią z anielską dobrocią, a dopiero następnego dnia odzyskała swój autokratyczny, despotyczny sposób bycia, który służba przyjmowała w owych czasach bez żadnych oznak buntu.

Maria. Tak, tak właśnie miała na imię księżna. Kochana, stara Maria Leith. No cóż. Umarła przed kilku laty. Pamiętał, że miała serwis śniadaniowy „Arlekin”. Tak. Duże, okrągłe filiżanki w różnych kolorach. Czarne. Żółte, czerwone i jaskrawocynobrowe. Doszedł do wniosku, że cynober musiał być ulubionym kolorem księżnej. Przypomniawszy sobie, że w jej serwisie do herbaty z Rockingham dominował ozdobiony złotem cynober.

— Ach — westchnął Satterthwaite — to były czasy. Chyba wejść do środka. Może zamówię filiżankę kawy albo coś innego. Pewnie będzie z mlekiem i już posłodzona. Ale muszę jakoś zabić czas.

Wszedł. Kawiarnia była niemal pusta.

Chyba jest jeszcze zbyt wcześnie — pomyślał — żeby ktoś miał ochotę na filiżankę herbaty. Zresztą w dzisiejszych czasach mało kto pije herbatę. Może jedynie starsi państwo we własnych domach.

Stolik przy oknie zajmowała jakaś młoda para, a pod ścianą siedziały dwie zagadane kobiety.

— Powiedziałam jej — trąkotała jedna — powiedziałam, że nie powinna robić tego rodzaju rzeczy. Że tego nie zniosę. To samo powiedziałam Henry’emu, a on przyznał mi rację.

Panu Satterthwaite’owi przemknęła przez głowę myśl, że ów Henry musi mieć dość ciężkie życie i że bez względu na to, o co chodziło, zapewne przyznał rację swej rozmówczyni, nieatrakcyjnej kobiecie, podobnie zresztą jak jej przyjaciółka. Skierował uwagę na drugą część sali.

— Czy mogę się trochę rozejrzeć? — spytał cicho.

— Oczywiście, *sir* — odparła uprzejma sprzedawczyni. — Mamy sporo interesujących przedmiotów.

Satterthwaite popatrzył na kolorowe filiżanki, parę z nich wziął do ręki, a potem z rozważą obejrzał dzbanek na mleko, porcelanową figurkę w kształcie zebry i kilka popielniczek ozdobionych dość ładnym wzorem. Usłyszał za sobą odgłos przesuwania krzeseł, więc odwrócił głowę i zauważył, że dwie panie w średnim wieku, nie przestając narzekać, zapłaciły już rachunek i właśnie opuszczają kawiarnię. Kiedy zniknęły za drzwiami, do środka wszedł wysoki mężczyzna w ciemnym ubraniu. Usiadł przy stole, który przed chwilą zwolniły. Był odwrócony tyłem do Satterthwaite’a, który widział tylko jego muskularne plecy, ponieważ w kawiarni panował półmrok. Znowu spojrzał na popielniczki.

Mógłbym kupić jedną z nich, żeby nie sprawić zawodu właścicielce sklepu, pomyślał. Kiedy dokonywał swego zakupu, wyszło słońce.

Nie zdawał sobie sprawy, że sklep wydaje się ciemny z powodu braku słońca, które od pewnego czasu było ukryte za chmurą. Przypomniał sobie, że zaczęło się już chmurzyć, kiedy dojeżdżali do warsztatu. Teraz promienie wdarły się nagle do wnętrza. Uwydatniły barwy porcelany i kolory witrażowego okna, które musiało — jak domyślił się Satterthwaite — być reliktem dawnego wiktoriańskiego wystroju. Mroczna kawiarnia również była zalana światłem, w którym Satterthwaite dostrzegł wyraźnie siedzącego przy stoliku mężczyznę. Jego ciemna sylwetka nabrała jaskrawych barw, wśród których dominowała czerwień, błękit i żółć. Satterthwaite uświadomił sobie nagle, że intuicja go nie zawiodła.

Wiedział, kto siedzi przy stoliku. Wiedział to tak dobrze, że nie musiał zaglądać mu w twarz. Wrócił do kawiarni, obszedł okrągły stół i zajął miejsce naprzeciw mężczyzny.

— Pan Quin — powiedział. — Wiedziałem, że to pan.

— Pan wie tak wiele rzeczy — odparł Quin z uśmiechem.

— Dawno pana nie widziałem — oświadczył Satterthwaite.

— Czy czas ma jakieś znaczenie? — spytał Quin.

— Może i nie. Najprawdopodobniej ma pan rację. Być może nie.

— Czy mogę zaproponować panu coś do picia?

— A czy mają tu coś takiego? — mruknął Satterthwaite z powątpiewaniem. — Choć przypuszczani, że taki był cel pańskiej wizyty w tym lokalu.

— Nikt nigdy nie jest całkiem pewny swego celu, prawda? — spytał Quin.

— Cieszę się, że znowu pana widzę — oznajmił Satterthwaite. — Niemal zapomniałem. Zapomniałem, jak pan mówi i co pan mówi. Zawsze pobudza mnie pan do myślenia i do działania.

— Ja... pobudzam pana do działania? Bardzo się pan myli. Zawsze pan wiedział, co i dlaczego chce pan zrobić, i dobrze zdawał pan sobie sprawę z tego, że jest to konieczne.

— Doznaję tego uczucia tylko wtedy, kiedy jest pan obok mnie.

— Och, nie — zaprzeczył łagodnie Quin. — Nie mam z tym nic wspólnego. Ja jedynie... jak niejednokrotnie panu mówiłem... jedynie tędy przechodzę. To wszystko.

— A dzisiaj przechodził pan przez Kingsbourne Ducis.

— Ale pan nie przechodził. Pan zmierza do określonego miejsca. Czy mam rację?

— Jadę z wizytą do mojego bliskiego przyjaciela. Przyjaciela, którego od wielu lat nie widziałem. Jest już stary. I częściowo sparaliżowany. Miał wylew. Rekonwalescencja przebiegła bardzo pomyślnie, ale nigdy nic nie wiadomo.

— Czy mieszka sam?

— Na szczęście, teraz już nie. Jego pozostali przy życiu krewni wrócili z zagranicy i od kilku miesięcy mieszkają razem z nim. Cieszę się, że znów ich wszystkich zobaczę. To znaczy tych, których poznałem wcześniej, i tych, których jeszcze nie znam.

— Ma pan na myśli dzieci?

— Dzieci i wnuki. — Satterthwaite westchnął. Przez chwilę było mu smutno, że on sam nie ma dzieci, wnuków ani prawnuków. Zazwyczaj wcale tego nie żałował.

— Mają tu specjalną turecką kawę — powiedział Quin. — Naprawdę wyśmienitą. Prawdę mówiąc, wszystko inne, jak pan się domyślił, jest niesmaczne. Ale zawsze można wypić filiżankę tureckiej kawy, prawda? Więc zrobmy to, bo jak sądzę niebawem będzie pan musiał wyruszyć w swą dalszą wędrówkę.

W drzwiach kawiarni pojawił się mały czarny pies. Podbiegł do ich stolika, usiadł i spojrzał na Quina.

— To pański pies? — spytał Satterthwaite.

— Tak. Przedstawiam panu Hermesa. — Poglaskał psa po czarnej głowie. — Kawa — rozkazał. — Powiedz Alemu.

Pies wybiegł na zaplecze. Satterthwaite i Quin usłyszeli jego krótkie, ostre szczeknięcie. Po chwili wrócił z młodym a bardzo śniadym mężczyzną w zielonym swetrze.

— Kawa, Ali — zamówił Quin. — Dwie kawy.

— Tureckie, prawda, *sir*? — Mężczyzna uśmiechnął się i odszedł.

Pies znów usiadł obok stolika.

— Proszę mi powiedzieć — zaczął Satterthwaite — gdzie pan bawił, co pan robił i dlaczego od tak dawna pana nie widziałem.

— Mówiłem już panu, że czas nie ma w istocie znaczenia. Dobrze pamiętam nasze ostatnie spotkanie i przypuszczam, że pan również je pamięta.

— Doszło do niego w bardzo tragicznych okolicznościach — odparł Satterthwaite. — Nie chcę nawet o tym myśleć.

— Z powodu śmierci? Ale śmierć nie zawsze bywa tragedią. Mówiłem to już panu wcześniej.

— No tak — przytaknął Satterthwaite — być może ta śmierć... ta, o której obaj myślimy... nie była tragedią. Ale mimo wszystko...

— Ale mimo wszystko naprawdę liczy się tylko życie. Ma pan, oczywiście, całkowitą słuszność — powiedział Quin. — Całkowitą. Tylko życie się liczy. Jest nam przykro, gdy umiera ktoś młody, ktoś, kto jest szczęśliwy lub mógłby być szczęśliwy. Dlatego właśnie musimy ratować ludzkie życie, kiedy tylko nadchodzą polecenia.

— Czy ma pan jakieś polecenie dla mnie?

— Ja... dla pana? — Pośpną, smutną twarz Harleya Quina rozjaśnił dziwnie urzekający uśmiech. — Nie mam dla pana żadnych poleceń, panie Satterthwaite. I nigdy nie miałem. Pan sam ocenia każdą sytuację, wie, co zrobić, i robi to. Ja nie mam z tym nic wspólnego.

— Och, owszem, ma pan — zaoponował Satterthwaite. — Nie zmieni pan mojego zdania na ten temat. Ale proszę mi powiedzieć, gdzie pan spędził ten zbyt krótki okres, by nazwać go czasem?

— No cóż, bywałem tu i ówdzie. W różnych krajach, różnych klimatach. Miałem różne przeżycia. Ale wszędzie bywałem głównie przejazdem. Myślę, że to raczej pan powinien mi powiedzieć, nie tylko, co pan robił, lecz również, co pan zamierza. Dokąd się pan wybiera. Z kim się pan spotka. Jacy są pańscy przyjaciele.

— Oczywiście, że panu powiem, ponieważ sam rozmyślałem o przyjaciółach, do których jadę. Odnawianie starych przyjaźni z osobami, których nie widziało się od dłuższego czasu i nie utrzymywało z nimi bliższych kontaktów, zawsze naraża człowieka na napięcie nerwowe.

— Ma pan zupełną rację — przyznał Quin.

Ali przyniósł turecką kawę w małych filiżankach ozdobionych orientalnym wzorem. Uśmiechając się, postawił je na stole i odszedł.

— Słodka jak miłość, czarna jak noc i gorąca jak piekło — powiedział Satterthwaite, sącząc ją z aprobatą. — To stare arabskie powiedzenie, prawda?

Harley Quin uśmiechnął się i kiwnął potakująco głową.

— Tak — zaczął Satterthwaite. — Powiem panu, dokąd jadę, choć co tam będę robił, nie ma chyba znaczenia. Zamierzam odnowić stare przyjaźnie, poznać młodsze pokolenie.

Jak wspominałem, Tom Addison jest moim bardzo serdecznym przyjacielem. W młodości dokonaliśmy razem wielu rzeczy. Później, jak to często bywa, życie nas rozdzieliło. On pracował w służbie dyplomatycznej i spędził wiele lat na placówkach zagranicznych. Czasami go odwiedzałem, a czasami spotykaliśmy się, kiedy przyjeżdżał do Anglii. Na początku jego kariery wysłano go do Hiszpanii. Ożenił się tam z piękną, ciemnowłosą Hiszpanką imieniem Pilar. Bardzo ją kochał.

— Mieli dzieci?

— Dwie córki. Jasnowłosą, podobną do ojca Lily i młodszą Marię, która odziedziczyła po matce typowo hiszpańską urodę. Byłem ojcem chrzestnym Lily. Niestety niezbyt często widywałem obie dziewczynki. Dwa lub trzy razy w roku wydawałem przyjęcie na cześć Lily albo odwiedzałem ją w szkole. Była słodką i uroczą istotą. Oboje z ojcem byli bardzo do siebie przywiązani. Ale między tymi naszymi spotkaniami, tymi krótkimi okresami ożywionej przyjaźni, przeżywaliśmy ciężkie chwile. Wie pan o tym równie dobrze jak ja. W okresie wojny ludziom z mojego pokolenia trudno było utrzymywać ze sobą kontakty. Lily wyszła za wojskowego pilota. Pilota myśliwców. Dopiero parę dni temu przypomniałem sobie jego nazwisko. Simon Gilliatt. Dowódca eskadry Gilliatt.

— Zginął w czasie wojny?

— Ależ nie. Nie. Wyszedł z niej cało. Po wojnie wycofał się ze służby w lotnictwie i oboje z Lily wyjechali do Kenii. Osiedlili się tam i żyli bardzo szczęśliwie. Mieli synka imieniem Roland. Później, gdy chłopiec chodził do szkoły w Anglii, parokrotnie go spotykałem. Kiedy widziałem go po raz ostatni, miał chyba dwanaście lat. Miły chłopiec. Odziedziczył po ojcu rude włosy. Od tamtej pory go nie widziałem, więc cieszę się na to dzisiejsze spotkanie. Teraz musi mieć dwadzieścia trzy, a może dwadzieścia cztery lata. Czas tak szybko płynie.

— Czy jest żonaty?

— Nie. Jeszcze nie.

— Aha. Więc planuje małżeństwo?

— No cóż, Tom Addison wspomniał w swym liście o jakiejś kuzynce. Młodsza córka Toma, Maria, wyszła za miejscowego lekarza. Nigdy dobrze jej nie poznałem. To było okropne. Umarła przy porodzie. Jej córeczce dano na imię Inez. To rodzinne imię, które wybrała dla niej jej hiszpańska babka. Tak się złożyło, że odkąd dorosła, widziałem ją tylko jeden raz. Ma ciemne włosy, hiszpański typ urody i jest niezwykle podobna do swej babki. Ale chyba zanudzam pana swą opowieścią.

— Bynajmniej. Z przyjemnością jej słucham. Bardzo mnie interesuje.

— Ciekaw jestem, dlaczego — powiedział Satterthwaite, patrząc na Quina nieco podejrzliwie. — Dlaczego chce pan wiedzieć wszystko o tej rodzinie?

— Żebym mógł ją sobie wyobrazić.

— Otóż dom, do którego jadę, nazywa się Doverton Kingsbourne. To piękna stara posiadłość. Nie na tyle okazała, by zapraszać tam turystów czy w wyznaczone dni udostępniać ją zwiedzającym. Po prostu skromna wiejska rezydencja, w sam raz dla Anglika, który służył swemu krajowi i wrócił, by na emeryturze cieszyć się spokojnym życiem. Tom zawsze lubił wieś. Uwielbiał łowić ryby i dobrze strzelał. W dzieciństwie przeżyliśmy razem wiele bardzo szczęśliwych dni w jego rodzinnym domu. Jako chłopiec spędziłem niejedne wakacje w Doverton Kingsbourne. I przez całe życie noszę ten obraz w pamięci. Nie było takiego miejsca jak Doverton Kingsbourne. Żaden inny dom mu nie dorównywał. Ilekroć przejeżdżałem w pobliżu, zbaczałem z drogi, by zobaczyć w prześwicie między drzewami ten dom i biegnącą przed nim długą aleję, by rzucić przelotne spojrzenie na rzekę, w której łowiliśmy ryby. Przypominałem sobie wtedy wszystko, co robiliśmy razem z Tomem. On był człowiekiem czynu. Człowiekiem aktywnym. A ja... ja byłem po prostu starym kawalerem.

— Był pan kimś więcej — powiedział Quin. — Potrafił pan zyskać sobie przyjaciół, miał ich pan wielu i służył im pan pomocą.

— No cóż, chciałbym tak myśleć. Chyba jest pan zbyt uprzejmy.

— Bynajmniej. Poza tym jest pan świetnym kompanem. Umie pan opowiadać o rzeczach, które pan widział, o miejscach, które pan odwiedzał, o niezwykłych wydarzeniach, które przytrafiły się w pańskim życiu. Mógłby pan napisać o tym książkę.

— Gdybym to zrobił, uczyniłbym pana głównym jej bohaterem.

— Nie, nie — zaprotestował Quin. — Ja jestem tylko przechodniem. To wszystko. Ale proszę mówić dalej.

— No cóż, opowiadam panu po prostu dzieje pewnej rodziny. Jak już wspominałem, czasami nie widywałem żadnego z nich przez całe lata. Ale zawsze uważałem ich za swych dobrych przyjaciół. Spotykałem się z Tomem i Pilar aż do jej śmierci — niestety umarła dość młodo — z moją chrześniaczką, Lily, z Inez, córką skromnego lekarza, która mieszka wraz z nim w miasteczku...

— Ile ma lat?

— Dziewiętnaście albo dwadzieścia. Z przyjemnością się z nią na nowo zaprzyjaźnię.

— Więc w sumie to szczęśliwa rodzina?

— Nie całkiem. Moja chrześniaczką Lily... ta, która wyjechała z mężem do Kenii... zginęła tam w wypadku samochodowym, pozostawiając niespełna roczne dziecko, małego Rolanda. Simon, jej mąż, zupełnie się załamał. Tworzyli wyjątkowo dobraną parę. Ale przydarzyło mu się chyba najlepsze, co mogło mu się przydarzyć... Ożenił się powtórnie z młodą wdową po swym dowódcy eskadry, która również została z małym dzieckiem. Między Timothyem a Rolandem jest różnica zaledwie dwóch czy trzech miesięcy. Przypuszczam, że małżeństwo Simona było dość udane, choć nie miałem z nimi kontaktu, ponieważ nadal mieszkali w Kenii. Chłopcy zostali wychowani jak bracia. Chodzili do tej samej szkoły w Anglii, a wakacje zazwyczaj spędzali w Kenii. Od wielu lat ich nie widziałem. No cóż, wie pan, co się działo w Kenii. Niektórym udało się tam pozostać. Inni pojechali wraz ze swymi rodzinami do Australii i tam się osiedlili. Jeszcze inni wrócili do Anglii. Simon Gilliatt z żoną i dwoma synami opuścili Kenię. Wszystko się tam zmieniło, więc wrócili do kraju i przyjęli w końcu ponawiane przez Toma Addisona każdego roku zaproszenie. I tak w Doverton Kingsbourne zamieszkał zięć Toma z żoną i dwoma dorastającymi chłopcami lub raczej młodzieńcami. Tworzą teraz szczęśliwą rodzinę. Jak już wspominałem, wnuczka Toma, Inez Horton, mieszka w miasteczku ze swym ojcem lekarzem. Podobno spędza sporo czasu w Doverton Kingsbourne z dziadkiem, który jest do niej bardzo przywiązany. Chyba wszyscy są tam bardzo szczęśliwi. Tom kilkakrotnie nalegał, żebym ich odwiedził. Więc w końcu przyjąłem zaproszenie. Tylko na weekend. Poniekąd smutno mi będzie zobaczyć po latach kochanego, starego Toma, który jest częściowo sparaliżowany i być może nie ma przed sobą

zbyt długiego życia, ale — z tego, co mogę wywnioskować — nadal jest pogodny i wesoły. I znów zobaczę Doverton Kingsbourne. Dom związany z moimi wspomnieniami z lat chłopięcych. Kiedy czyjeś życie nie było zbyt urozmaicone, nie obfitowało w przeżycia osobiste — a tak jest w moim przypadku — wszystko, co pozostaje, to przyjaciele, domy, rzeczy, które robiło się w dzieciństwie, w latach chłopięcych i w młodości. Niepokoi mnie tylko jedno.

— Całkiem niepotrzebnie. A co pana niepokoi?

— Że mogę się... rozczarować. Że dom, który znów zobaczę, nie będzie tym domem, który pamiętam i widzę w moich snach. Może dobudowano nowe skrzydło, przerobiono ogród, wszystko jest możliwe. Upłynęło wiele lat od mojej ostatniej wizyty.

— Myślę, że pańskie wspomnienia będą panu towarzyszyć — powiedział Quin. — Cieszę się, że pan tam jedzie.

— Mam pewien pomysł — oznajmił Satterthwaite. — Niech pan się ze mną tam wybierze. Do Doverton Kingsbourne. Na pewno będzie pan tam mile widziany. Kochany Tom Addison jest najbardziej gościnnym człowiekiem na świecie. Każdy mój przyjaciel od razu staje się jego przyjacielem. Niech pan ze mną jedzie. Musi pan. Nalegam.

Satterthwaite gwałtownie gestykułując omal nie stracił ze stołu swojej filiżanki. Złapał ją w ostatniej chwili.

W tym momencie drzwi frontowe otworzyły się i zadźwięczał umocowany do nich staroświecki dzwonek. Do środka weszła drobna kobieta w średnim wieku. Była trochę zdyszana i zgrzana, ale wyglądała nobliwie ze swymi bujnymi, kasztanowymi włosami tu i ówdzie przetykanymi siwizną, i jasną cerą koloru kości słoniowej, która tak często towarzyszy rudym włosom i niebieskim oczom. Obrzuciła przelotnym spojrzeniem kawiarnię i skreśliła do sklepu z porcelaną.

— Och! — zawołała — ma pani jeszcze trochę filiżanek z serwisu „Arlekin”.

— Owszem, pani Gilliatt, wczoraj mieliśmy nową dostawę.

— Och, to wspaniale. Bardzo się martwiłam. Przyjechałam tu w pośpiechu. Wzięłam motorower jednego z chłopców. Oni gdzieś przepadli i nie mogłam ich znaleźć. Ale musiałam coś przedsięwziąć. Dziś rano stłukło się parę filiżanek, a po południu mamy gościa na podwieczorku i na kolacji. Proszę więc podać mi niebieską filiżankę i zieloną, a może, na wszelki wypadek, wezmę też czerwoną. To jest najgorsze z tymi wszystkimi kolorowymi filiżankami, prawda?

— No cóż, mówią, że to ich wada, bo nie zawsze można odkupić brakujący kolor.

Satterthwaite odwrócił głowę i patrzył z ciekawością na to, co dzieje się w sklepie.

Pani Gilliatt, pomyślał. Tak powiedziała sprzedawczyni. Ależ, oczywiście. Teraz dotarło to do jego świadomości. — Przecież to musi być... Wstał z krzesła, lekko się zawahał, a potem wszedł do sklepu.

— Proszę mi wybaczyć — zaczął — ale czy pani jest panią Gilliatt z Doverton Kingsbourne?

— Tak. Nazywam się Beryl Gilliatt. Czy pan... to znaczy...? — Spojrzała na niego, lekko marszcząc brwi.

— Atrakcyjna kobieta — pomyślał Satterthwaite. — Ma ostre rysy, ale wygląda na osobę, która wie, czego chce. A więc to jest druga żona Simona Gilliatta. Nie ma urody Lily, ale wydaje się pociągająca, miła i zdecydowana.

Nagle na twarzy pani Gilliatt pojawił się uśmiech.

— Z całą pewnością... ależ tak, oczywiście. Mój teść, Tom, ma pańską fotografię, więc musi być pan gościem, którego spodziewamy się dziś po południu. Pan Satterthwaite, prawda?

— We własnej osobie — potwierdził Satterthwaite. — Tak właśnie się nazywam. Muszę przeprosić za spore spóźnienie. Ale niestety zepsuł mi się samochód. Naprawiają go teraz w warsztacie.

— Och, to przykre. I taki kłopot. Ale to jeszcze nie pora podwieczorku. Proszę się nie martwić. Tak czy owak zjemy go później. Jak pan zapewne usłyszał, przyjechałam tu, by odkupić kilka filiżanek, które pechowo spadły dziś rano ze stołu. Ilekroć ktoś ma gości na lunchu, podwieczorku czy kolacji, zawsze przytrafia się coś takiego.

— Proszę, pani Gilliatt — powiedziała sprzedawczyni. — Zapakuję je tutaj. Czy mam je włożyć do jakiegoś pudełka?

— Nie, wystarczy zawinąć je w papier i umieścić w mojej torbie na zakupy.

— Jeśli wraca pani do Doverton Kingsbourne — oznajmił Satterthwaite — mogę podwieźć panią swoim samochodem. Szofer lada chwila powinien przyprowadzić go z warsztatu.

— To bardzo miło z pańskiej strony. Naprawdę chętnie przyjąłabym tę propozycję, ale muszę odstawić motorower na miejsce. Gdybym tego nie zrobiła na czas, chłopcy byłiby niepokieszeni. Dziś wieczorem dokądś się wybierają.

— Czy mogę pani przedstawić... — spytał pan Satterthwaite. Odwrócił się w stronę Quina, który wstał już z krzesła i podszedł do nich. — To mój stary przyjaciel, pan Harley Quin, którego spotkałem tutaj przypadkiem. Próbowałem namówić go, by pojechał ze mną do Doverton Kingsbourne. Jak pani sądzi, czy Tom mógłby przemocować jeszcze jednego gościa?

— Och, nie mam co do tego żadnych wątpliwości — oznajmiła Beryl Gilliatt. — Jestem pewna, że ucieszy go wizyta pańskiego przyjaciela. Być może pan Quin jest również jego przyjacielem.

— Nie — odparł Quin. — Nigdy nie spotkałem pana Addisona, ale wiele o nim słyszałem od pana Satterthwaite'a.

— Proszę więc, niech pan przyjedzie razem z nim. Będzie nam niezmiernie miło.

— Ogromnie mi przykro — oznajmił Quin. — Niestety, jestem umówiony. Co więcej — zerknął na zegarek — muszę natychmiast wyruszać. Już jestem spóźniony... oto co się dzieje, kiedy spotykamy starych przyjaciół.

— Bardzo proszę, pani Gilliatt — powiedziała sprzedawczyni. — Jestem pewna, że w tej torbie nic im się nie stanie.

Beryl Gilliatt ostrożnie wsunęła paczkę do torby.

— No cóż, do zobaczenia niebawem — zwróciła się do Satterthwaite'a. — Podwieczorek nie będzie podany wcześniej niż kwadrans po piątej, więc proszę się nie niepokoić. Ogromnie się cieszę, że w końcu pana poznałam. Tyle o panu słyszałam zarówno od Simona, jak i od mojego teścia.

Pospiesznie pożegnała się z Quinem i wyszła ze sklepu.

— Strasznie się spieszy — powiedziała sprzedawczyni — ale z nią tak zawsze. Załatwia w ciągu dnia mnóstwo spraw.

Z ulicy dobiegł warkot zapalnego silnika motoroweru.

— Oto kobieta o silnej osobowości, prawda? — oznajmił Satterthwaite.

— Na to wygląda — odparł Quin.

— Naprawdę nie uda mi się pana namówić?

— Ja tylko tędy przechodzę — oświadczył Quin.

— Kiedy znów pana zobaczę?

— Och, niedługo — odparł Quin. — Sądzę, że kiedy to nastąpi, rozpozna mnie pan bez trudu.

— Czy nie ma pan mi nic więcej... do powiedzenia? Czy nie chce mi pan czegoś wyjaśnić?

— Na przykład czego?

— Dlaczego pana tu spotkałem.

— Jest pan człowiekiem o rozległej wiedzy — oświadczył Quin. — Jedno słowo może mieć dla pana pewne znaczenie. Myślę, że okaże się ono przydatne.

— Jakie słowo?

— Daltonizm — odparł Quin i uśmiechnął się.

— Nie sądzę... — Satterthwaite zmarszczył brwi. — Owszem. Tak, z pewnością je znam, ale nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć...

— Na razie żegnam — powiedział Quin. — Oto pański pojazd.

W tym momencie samochód zatrzymał się przed pocztą. Satterthwaite ruszył w jego kierunku. Nie chciał tracić więcej czasu i narażać swych gospodarzy na niepotrzebne oczekiwanie. Ale mimo wszystko z zalem rozstawał się z przyjacielem.

— Czy jest coś, co mógłbym dla pana zrobić? — spytał niemal ze smutkiem.

— Dla mnie nie.

— Więc dla kogoś innego?

— Tak sądzę. To bardzo prawdopodobne.

— Mam nadzieję, że wiem, co pan ma na myśli.

— Darzę pana bezgranicznym zaufaniem — powiedział Quin. — Jest pan bardzo spostrzegawczy i pojmuje znaczenie rzeczy. Zapewniam pana, że się pan nie zmienił.

Przez chwilę trzymał dłoń na ramieniu Satterthwaite'a, a potem energicznym krokiem ruszył przez miasteczko w przeciwnym kierunku do Doverton Kingsbourne. Satterthwaite wszedł do samochodu.

— Mam nadzieję, że nie będziemy już mieli żadnych kłopotów — powiedział.

— To bardzo blisko, *sir* — uspokoił go szofer. — Najwyżej trzy lub cztery mile, a silnik wspaniale teraz pracuje.

Przejechali główną ulicą miasteczka, a potem skręcili na szosę.

— Tylko trzy lub cztery mile — powtórzył szofer.

— Daltonizm — mruknął Satterthwaite. To słowo nadal nic mu nie mówiło, ale czuł, że już je wcześniej słyszał. — Doverton Kingsbourne — wyszeptał czule. Ta nazwa wciąż miała dla niego to samo znaczenie co zawsze. Oznaczała miejsce radosnych spotkań, miejsce, do którego chciał jak najszybciej dotrzeć. Wiedział, że przyjemnie spędzi czas w tym domu, choć nie zastanie w nim wielu osób, które znał. Ale będzie tam Tom. Jego stary przyjaciel Tom. Znowu przypomniał sobie łąkę, jezioro, rzekę i wszystko, co razem robili jako chłopcy.

Podwieczorek przygotowano w ogrodzie. Od oszklonych drzwi salonu biegły schody do miejsca, w którym duży czerwony buk z jednej strony i libański cedr z drugiej tworzyły oprawę do popołudniowej sceny. Na trawniku ustawiono dwa drewniane białe stoły. Proste krzesła przykryto kolorowymi poduszkami, a nad leżakami, na których można było rozsiąść się wygodnie i zapaść w drzemkę, rozpostarto daszki chroniące przed promieniami słońca.

Było piękne popołudnie, a trawa miała odcień soczystej ciemnej zieleni. Przez gałęzie czerwonego buka sączyło się złociste światło, a na tle różowawożółtego nieba rysowały się pięknie gałązki cedru.

Tom Addison czekał na swego gościa siedząc z wyciągniętymi nogami na długim wyplatany fotelu. Satterthwaite z lekkim rozbawieniem zauważył, że jego przyjaciel, jak zwykle, źle dobrał wygodne, miękkie pantofle, które miał na swych spuchniętych od podagry stopach. Jeden był czerwony, a drugi zielony.

Pocciwy stary Tom, pomyślał Satterthwaite, w ogóle się nie zmienił. Wciąż jest taki sam. I nagle doznał olśnienia. Cóż ze mnie za idiota. Wiem oczywiście, co znaczy to słowo. Dlaczego od razu nie przyszło mi to do głowy?

— Myślałem, że już nigdy się nie zjawisz, stary draniu — powitał go Tom Addison.

Mimo swego wieku nadal był bardzo przystojny. Miał wyrazistą twarz, w której błyszcząły głęboko osadzone szare oczy, a szerokie ramiona nadawały mu wygląd silnego mężczyzny. Nawet liczne zmarszczki dowodziły, że często się uśmiecha i zachowuje pogodę ducha.

On się wcale nie zmienia, pomyślał Satterthwaite.

— Nie mogę wstać na twoje powitanie — powiedział Tom Addison. — Żeby postawić mnie na nogi, trzeba dwóch silnych mężczyzn i laski. Czy znasz naszą gromadkę? Oczywiście znasz Simona.

— Tak, naturalnie. Minęło sporo lat od naszego ostatniego spotkania, ale niewiele się zmieniło.

Simon Gilliatt był szczupłym, przystojnym mężczyzną o bujnych rudych włosach.

— Żałuję, że nigdy pan nas nie odwiedził w Kenii — powiedział. — Spodobałoby się tam panu. Pokazalibyśmy panu wiele ciekawych rzeczy. Ale cóż, trudno przewidzieć, co może przynieść przyszłość. Myślałem, że złożę swoje kości w tamtym kraju.

— Mamy tu bardzo ładny cmentarz — oznajmił Tom Addison. — Nie zniszczono dotychczas naszego kościoła, odnawiając go, a wokół niego niewiele się buduje, więc na cmentarzu jest wciąż mnóstwo miejsca. Nie musieliśmy go powiększać, by pomieścić nowe groby.

— Prowadzicie okropnie przygnębiającą rozmowę — powiedziała Beryl Gilliatt z uśmiechem. — To są nasi synowie, ale przecież pan już ich zna, prawda?

— Tak, chociaż nie sądzę, bym poznał ich teraz — odparł pan Satterthwaite.

Po raz ostatni widział chłopców w dniu, w którym odbierał ich ze szkoły podstawowej. Choć nie byli ze sobą spokrewnieni — mieli różnych ojców i matki — często brano ich za braci. Byli mniej więcej tego samego wzrostu i obaj mieli rude włosy. Roland zapewne odziedziczył je po swym ojcu, a Timothy po matce. Wydawało się też, że łączy ich coś w rodzaju przyjaźni.

A jednak bardzo się od siebie różnią, pomyślał Satterthwaite. Teraz, kiedy mają po dwadzieścia kilka lat, ta różnica stała się wyraźniejsza. Nie widzę w Rolandzie podobieństwa do dziadka. A gdyby nie rude włosy, w niczym nie przypominałby z wyglądu swego ojca.

Pan Satterthwaite zastanawiał się niekiedy, czy Roland odziedziczy jakieś cechy urody po swej zmarłej matce Lily. Ale dostrzegał tylko niewielkie podobieństwo. Timothy zdecydowanie bardziej wyglądał na syna Lily niż Roland. Miał jasną cerę, wysokie czoło i delikatną budowę ciała.

Obok Satterthwaite'a stanęła jakaś młoda kobieta.

— Jestem Inez — powiedziała cichym, niskim głosem. — Nie sądzę, żeby mnie pan pamiętał. Od dość dawna pana nie widziałam.

Piękna brunetka, przyznał w duchu pan Satterthwaite. Powrócił myślami do owego dnia przed wielu laty, kiedy to był świadkiem na ślubie Toma Addisona z Pilar. Widać, że w jej żyłach płynie hiszpańska krew. Jej ojciec, doktor Hor—ton, znacznie się postarzał od naszego ostatniego spotkania. To miły i życzliwy człowiek. Niezły lekarz, skromny, ale godny zaufania. Musi być bardzo przywiązany do swej córki i ogromnie z niej dumny.

Ogarnęło go uczucie wielkiego szczęścia. Miał wrażenie, że wszyscy ci ludzie, nawet dopiero co poznani, są jego przyjaciółmi. Ciemnowłosa piękna dziewczyna, dwaj rudzi młodzieńcy, Beryl Gilliatt, która krzątała się przy stołach, rozstawiając filiżanki oraz talerzyki i wołając na pokojówkę, żeby przyniosła ciastka i półmiski z kanapkami. Wspaniały podwieczorek. Krzesła przysunięto do stołów, więc można było wygodnie spożyć posiłek. Chłopcy zajęli swoje miejsca i poprosili Satterthwaite'a, by usiadł między nimi.

Sprawiło mu to przyjemność. Już wcześniej doszedł do wniosku, że w pierwszej kolejności powinien porozmawiać właśnie z nimi, by się przekonać, na ile będą mu przypominać Toma Addisona z dawnych czasów.

Lily, pomyślał. Jakżebym chciał, żeby Lily była razem z nami. Powróciły wspomnienia z lat chłopięcych. Kiedy tu przyjeżdżałem, rodzice Toma zawsze serdecznie mnie witali. Była tu również jakaś ciotka, stryjeczny dziadek i krewni. A teraz, no cóż, wprawdzie nie jest to już tak liczna rodzina jak wtedy, ale zawsze rodzina. Stary Tom w swych miękkich pantoflach — jednym czerwonym, a drugim zielonym — nadal jest pogodny i szczęśliwy. Cieszy go obecność bliskich. A Doverton wcale lub prawie wcale się nie zmieniło. Może nie jest w zbyt dobrym stanie, ale trawniki są starannie utrzymane. Choć drzew jest więcej niż niegdyś, nadal widać w prześwicie między nimi jasną wstęgę rzeki. Dom, być może, wymaga odmalowania, ale nie wygląda tak źle. Bądź co bądź Tom Addison jest zamożny. Ma zapewniony byt jako właściciel sporej posiadłości ziemskiej. To człowiek o skromnych potrzebach. Wydaje tyle, by żyć na odpowiedniej stopie, ale nie jest bynajmniej rozrzutny. Rzadko teraz podróżuje lub wyjeżdża za granicę, ale lubi przyjmować gości. Nie urządza dużych przyjęć, lecz podejmuje swych przyjaciół. Zazwyczaj są to przyjaciele z dawnych lat. Miły, gościnny dom.

Odsunął swoje krzesło od stołu i ustawił je bokiem, by mieć lepszy widok na rzekę. W dole stał młyn, a dalej, po drugiej stronie, rozciągały się pola. Na jednym dostrzegł z rozbawieniem stracha na wróble, groźną postać w słomianym kapeluszu, który obsiadły ptaki. Przez chwilę wydawało się panu Satterthwaite'owi, że przypomina mu on Harleya Quina.

Być może, pomyślał, to jest mój przyjaciel Harley Quin. Ależ to absurdalny pomysł, bo jeśli nawet ktoś usiłowałby upodobnić jakiegoś stracha na wróble do Harleya Quina, to nadałby mu wykwintną elegancję, jakiej większość strachów na wróble nie posiada.

— Przygląda się pan naszemu strachowi na wróble? — spytał Timothy. — Wie pan, nadaliśmy mu imię. Nazywamy go Pan Harley Barley.

— Naprawdę? — powiedział Satterthwaite. — To interesujące.

— Dlaczego? — spytał ciekawie Roly.

— Ponieważ przypomina mi on pewnego mojego znajomego, który nazywa się właśnie Harley. To znaczy tak ma na imię.

Chłopcy zaczęli śpiewać:

*Harley Barley stoi na warcie,
W słońcu i w deszczu stoi uparcie.
Pilnuje stogów i strzeże siana,
odstrasza wszystkich intruzów od rana.*

— Kanapkę z ogórkiem, panie Satterthwaite? — spytała Beryl Gilliatt. — A może woli pan sandwicza z domowym pasztetem?

Pan Satterthwaite wybrał pasztet. Beryl postawiła przed nim filiżankę w kolorze cynobru, który tak zachwycił go w sklepie. Serwis do herbaty ożywił stół swymi barwami. Żółć, czerwień, błękit, zieleń i tak dalej... Satterthwaite był ciekaw, czy każdemu przypadł w udziale jego ulubiony kolor. Zauważył, że przed Timothyem stoi czerwona filiżanka, a przed Rolandem żółta. Obok nakrycia Timothy'ego leżał jakiś przedmiot, którego Satterthwaite nie mógł z początku rozpoznać. Potem zorientował się, że jest to fajka z morskiej pianki. Od bardzo dawna nie widział takiej fajki. Roland zauważył, że Satterthwaite jej się przygląda.

— Tim przywiózł ją z Niemiec — wyjaśnił. — Pali bez przerwy tę fajkę, jakby chciał nabawić się raka.

— A ty nie palisz?

— Nie. Nie jestem zwolennikiem palenia. Nie palę ani papierosów, ani marihuany.

Inez podeszła do stołu i usiadła obok Rolanda. Młodzieńcy podawali jej jedzenie wśród wesołych przekomarzań.

Satterthwaite czuł się bardzo szczęśliwy wśród tych młodych ludzi. Traktowali go uprzejmie, lecz nie zwracali na niego szczególnej uwagi. Ale chętnie słuchał ich rozmowy.

Chciał też wyrobić sobie o nich własne zdanie. Był już niemal pewien, że obaj młodzieńcy są zakochani w Inez. Nie dziwiło go to. Tak często bywa wśród bliskich sąsiadów. Chłopcy rezydowali u swego dziadka, a piękna Inez, cioteczna siostra Rolanda, mieszkała tuż obok. Pan Satterthwaite odwrócił głowę. Widział jej dom w prześwicie między drzewami, które rosły za bramą wjazdową, osłaniając go od drogi. Kiedy przed siedmiu czy ośmiu laty Satterthwaite po raz ostatni odwiedził Doverton Kingsbourne, doktor Horton zajmował ten sam budynek.

Zerknął na Inez. Zastanawiał się, którego z młodych ludzi darzy większą sympatią. A może ulokowała już swe uczucia gdzie indziej? Nie było powodu, dla którego miałyby zakochać się w jednym z tych atrakcyjnych przedstawicieli rodzaju męskiego.

Pan Satterthwaite jadł niewiele, ale czuł się usatysfakcjonowany. Przesunął swoje krzesło do tyłu, zmieniając nieco kąt jego ustawienia, by mieć całe towarzystwo w zasięgu wzroku.

Pani Gilliatt wciąż była w ruchu.

Gra rolę pani domu, pomyślał, ale robi zbyt wiele zamieszania. Bezustannie podsuwa wszystkim ciastka, zbiera filiżanki, by je ponownie napełnić, i roznosi różne smakołyki. Byłoby chyba przyjemniej i mniej oficjalnie, gdyby pozwoliła każdemu zadbać o siebie.

Spojrzał w kierunku Toma Addisona, który leżał wygodnie na swym fotelu. On również obserwował Beryl Gilliatt.

Nie lubi jej, pomyślał Satterthwaite. Tak. Tom jej nie lubi. No cóż, można się było tego spodziewać. Bądź co bądź, Beryl zajęła miejsce jego córki Lily, pierwszej żony Simona Gilliatta. Mojej cudownej Lily. Zaczął się zastanawiać, dlaczego odczuwa jej obecność na tym podwieczorku, choć nie uczestniczy w nim nikt, kto byłby do niej podobny.

— Sądzę, że kiedy człowiek się starzeje, zaczyna fantazjować — mruknął pod nosem. — Ale w końcu, dlaczego Lily nie miałyby tu być i przyglądać się swemu synowi.

Spojrzał czule na Timothy'ego, a potem nagle zdał sobie sprawę, że nie patrzy na syna Lily. Przecież synem Lily był Roland, a Timothy synem Beryl.

— Lily chyba wie, że tu jestem. Myślę, że chciałyby ze mną porozmawiać — powiedział do siebie. — Mój Boże, mój Boże, nie powinienem popuszczać wodzów mojej oszalałej fantazji.

Z jakiegoś powodu jego wzrok znów przyciągnął strach na wróble. Teraz nie wyglądał jak strach na wróble, lecz jak Harley Quin.

— Złudzenie optyczne — mruknął pan Satterthwaite. — To refleksy zachodzącego słońca dodają mu życia i kolorów, a ten czarny pies, który goni ptaki, jest bardzo podobny do Hermesa.

Kolory, pomyślał i znów spojrzał na serwis do herbaty i na ludzi siedzących przy podwieczorku. Dlaczego tu jestem? Dlaczego tu jestem i co powinienem zrobić? Istnieje jakiś powód...

Teraz już wiedział, czuł wyraźnie, że wszyscy obecni, a może tylko niektórzy, stoją w obliczu jakiegoś kryzysu. Beryl Gilliatt, pani Gilliatt. Jest czymś zdenerwowana. U kresu wytrzymałości nerwowej. A Tom? Z Tomem wszystko w porządku. Jest spokojny, szczęśliwy, że ma piękną rezydencję oraz wnuka, który odziedziczy ją po jego śmierci. Wszystko będzie należało do Rolanda. Czy Tom ma nadzieję, że Roland ożeni się z Inez? Czy też martwi się ewentualnością ślubu ciotecznego rodzeństwa? Choć znane są w dziejach przypadki małżeństw braci z siostrami, które nie przyniosły ujemnych następstw. Nie może się stać nic złego. Nie może się stać nic złego. Muszę temu zapobiec.

Doszedł do wniosku, że jego myśli są myślami szaleńca. Przecież był świadkiem sielankowej sceny. Spojrzał na wielobarwny serwis do herbaty, a potem na białą fajkę, leżącą obok czerwonej filiżanki. Beryl Gilliatt powiedziała coś do Timothy'ego, a on kiwnął głową, wstał z krzesła i ruszył w kierunku domu. Beryl zebrała ze stołu kilka pustych talerzy,

ustawiła równo parę krzeseł i szepnęła coś na ucho Rolandowi, który zaniósł panu Hortonowi lukrowane ciastko.

Satterthwaite bacznie jej się przyglądał. Musiał ją obserwować. Beryl, przechodząc obok stołu, zrobiła zamaszty ruch ręką i rękawem strąciła czerwoną filiżankę, która roztrzaskała się o żelazną nogę krzesła. Wydała krótki okrzyk i zaczęła zbierać z ziemi kawałki porcelany. Potem podeszła do tacy z zastawą, wzięła z niej jasnoniebieską filiżankę oraz spodek i postawiła je na stole. Przesunęła fajkę bliżej tego nakrycia. Następnie przyniosła imbryk i napelniwszy herbatą jasnoniebieską filiżankę, oddaliła się.

Przy stole nie było nikogo. Nawet Inez odeszła, by porozmawiać z dziadkiem.

— Nie rozumiem — powiedział pan Satterthwaite do siebie. — Coś się wydarzy. Ale co?

Znów spojrzął na stół zastawiony różnokolorowymi filiżankami i na połyskujące w słońcu rude włosy Timothy'ego. Jego rude włosy miały ten sam odcień i tak samo układały się w fale jak włosy Simona Gilliatta.

Timothy podszedł do stołu, stał przez chwilę patrząc nieco zdziwionym wzrokiem na zastawę, a potem usiadł przed jasnoniebieską filiżanką, obok której leżała jego fajka.

Później wróciła Inez. Nagle roześmiała się głośno.

— Timothy, pijesz herbatę z niewłaściwej filiżanki — powiedziała. — Niebieska jest moja. Twoja jest czerwona.

— Nie bądź niemądra, Inez — odparł Timothy. — Poznaje swoją filiżankę. Jest w niej cukier, a ty przecież nie słodzisz herbaty. Pleciesz głupstwa. To moja filiżanka. Poza tym obok niej leży moja fajka.

Pan Satterthwaite doznał nagle olśnienia i wstrząsu. Czyżby oszalał? Czyżby miał urojenia? Czyżby tracił kontakt z rzeczywistością?

Zerwał się z krzesła i szybkim krokiem ruszył w kierunku stołu.

— Nie pij tego! — krzyknął, kiedy Timothy podnosił do ust niebieską filiżankę. — Powiadam ci, nie pij tego!

Timothy spojrzął na niego ze zdziwieniem. Satterthwaite odwrócił głowę. Dość zaskoczony doktor Horton wstał ze swego miejsca i podszedł do niego bliżej.

— O co chodzi, Satterthwaite?

— O tę filiżankę. Coś mi się w niej nie podoba — odparł pan Satterthwaite. — Nie pozwólcie mu z niej pić.

Horton przyjrzał się naczyniu.

— Ależ mój drogi...

— Wiem, co mówię. On miał czerwoną filiżankę — oświadczył pan Satterthwaite — ale czerwona filiżanka się stłukła. Zastąpiono ją niebieską. A on nie odróżnia czerwieni od błękitu, prawda?

Doktor Horton wydawał się zakłopotany.

— Czy masz na myśli... chcesz powiedzieć, że... tak jak Tom?

— Zgadza się. Tom nie rozróżnia kolorów. Wiesz o tym, prawda?

— Och, tak, oczywiście. Wszyscy o tym wiemy. Dlatego właśnie włożył dzisiaj różne pantofle. Nie widzi różnicy między czerwienią a zielenią.

— Z tym chłopcem jest tak samo.

— Ależ nie... z całą pewnością nie. W każdym razie nic nigdy na to nie wskazywało... w przypadku Rolanda.

— Choć mogło tak być, czyż nie? — powiedział pan Satterthwaite. — Nie myślę się, twierdząc, że to... daltonizm. Tak to nazywają, prawda?

— Owszem.

— Kobieta tego nie dziedziczy, ale może to przekazywać. Lily nie była daltonistką, ale jej syn może nim być.

— Ależ, drogi Satterthwaite, Timothy nie jest synem Lily. Jej synem jest Roly. Wiem, że chłopcy są do siebie podobni. Ten sam wiek, ten sam kolor włosów i tak dalej, ale... no cóż, być może nie pamiętasz.

— Owszem, pamiętam — powiedział pan Satterthwaite. — A teraz już wiem. Dostrzegam też podobieństwo. Roland jest synem Beryl. Kiedy Simon ponownie się ożenił, chłopcy byli niemowlętami. Mogła to łatwo zrobić ich piastunka, zwłaszcza że obaj mają rude włosy. Synem Lily jest Timothy, a Roland — synem Beryl. Beryl i Christophera Edenów. Nie ma żadnego powodu, dla którego on miałby być daltonistą. Mówię ci, wiem to. Wiem z całą pewnością!

Doktor Horton spojrział kolejno na obu chłopców. Timothy, nie rozumiejąc o czym mówią, stał zdziwiony z niebieską filiżanką w ręku.

— Widziałem, jak ją kupowała — powiedział pan Satterthwaite. — Posłuchaj, człowieku. Musisz mnie wysłuchać. Znasz mnie od wielu lat. Wiesz, że kiedy twierdzę coś z całą stanowczością, nigdy się nie mylę.

— To prawda. Nie pamiętam, byś kiedykolwiek popełnił jakiś błąd.

— Weź od niego tę filiżankę — polecił Satterthwaite. — Zabierz ją do swego gabinetu albo oddaj jej zawartość do analizy i zbadaj, co w niej jest. Widziałem, jak ta kobieta kupowała tę filiżankę w miejscowym sklepie w miasteczku. Już wtedy zamierzała rozbić czerwoną i zastąpić ją niebieską. Wiedziała, że Timothy nie odróżni tych kolorów.

— Chyba oszalałeś, Satterthwaite. Ale mimo wszystko zrobię to, o co prosisz. — Doktor Horton podszedł do stołu. — Czy pozwolisz mi ją obejrzeć, Timothy? — spytał, wyciągając rękę w stronę niebieskiej filiżanki.

— Oczywiście — odparł Timothy ze zdziwieniem.

— Ta porcelana ma chyba jakąś skazę. To dość ciekawy przypadek.

Beryl pospiesznie do nich podeszła.

— Co robicie? O co chodzi? Co tu się dzieje?

— Nic takiego — odparł doktor Horton pogodnym tonem. — Chcę tylko zademonstrować chłopcom pewne doświadczenie, do którego potrzebna mi jest filiżanka herbaty.

Przyglądał się badawczo Beryl i dostrzegł na jej twarzy wyraz przerażenia, wręcz panicznego strachu. Satterthwaite również zauważył, że Beryl zupełnie straciła pewność siebie.

— Pójdiesz ze mną, Satterthwaite? Chcę po prostu przeprowadzić pewne doświadczenie. Współczesna porcelana ma różne cechy szczególne. Ostatnio dokonano bardzo interesującego odkrycia. — Z tymi słowami ruszył przez trawnik. Satterthwaite poszedł w jego ślady, a za nim podążyli dwaj młodzieńcy.

— O co chodzi doktorowi, Roly? — spytał Timothy.

— Nie mam pojęcia — odparł Roland. — Wygląda na to, że ma jakiś niezwykły pomysł. Sądzę, że i tak dowiemy się o tym później. Chodźmy po nasze motorowery.

Beryl Gilliatt gwałtownie się odwróciła i szybkim krokiem podążyła w kierunku domu.

— Czy coś się stało, Beryl? — zawołał do niej Tom Addison.

— Nie, po prostu o czymś zapomniałam — odparła.

Tom Addison spojrział pytająco na Simona Gilliatta.

— Czy z twoją żoną coś jest nie w porządku? — spytał.

— Z Beryl? Och — nie, o ile wiem, to nie. Chyba o czymś zapomniała. Czy mogę ci w czymś pomóc, Beryl? — zawołał.

— Nie. Nie, zaraz wrócę. — Odwróciła głowę i spojrzała na staruszkę, leżącego na swym fotelu. — Ty stary głupcze! — wybuchnęła nagle. — Dziś znów włożyłeś różne pantofle. Nie pasują do siebie. Czy zdajesz sobie sprawę, że jeden jest czerwony, a drugi zielony?

— Ach, doprawdy? — powiedział Tom Addison. — Wiesz, mnie wydają się dokładnie takie same. Może to dziwne, ale tak właśnie jest.

Minęła go i przyspieszyła kroku.

Satterthwaite i doktor Horton dotarli do bramy wychodzącej na drogę. Usłyszeli warkot pędzącego motoroweru.

— Odjechała — stwierdził doktor Horton. — Wzięła nogi za pas. Chyba powinniśmy byli ją zatrzymać. Sądziś, że wróci?

— Nie — odparł Satterthwaite. — Nie sądzę. Być może — powiedział z zadumą — tak jest lepiej.

— Co masz na myśli?

— To stary dom — powiedział pan Satterthwaite. — I stara, zacna rodzina. Należy do niej wielu porządnym ludzi. Nie powinno się narażać ich na przykrości, a tym bardziej na skandal. Może lepiej, że odjechała.

— Tom Addison nigdy jej nie lubił — oznajmił doktor Horton. — Nigdy. Zawsze był dla niej uprzejmy i miły, ale nie lubił jej.

— Poza tym trzeba pomyśleć o chłopcu — powiedział Satterthwaite.

— Chłopcu? O kogo ci chodzi?

— O tego drugiego chłopca. O Rolanda. W ten sposób nie dowie się o zamiarach swojej matki.

— Ale dlaczego ona to zrobiła? Dlaczego, na miłość boską, to zrobiła?

— Widzę, że teraz nie masz już co do tego wątpliwości — powiedział Satterthwaite.

— Nie. Nie mam żadnych wątpliwości. Kiedy patrzyła na mnie, dostrzegłem wyraz jej twarzy. Wtedy doszedłem do wniosku, że to, co mówisz, jest prawdą. Ale co ją do tego skłoniło?

— Zachłanność — odparł pan Satterthwaite. — Przypuszczam, że nie ma własnych pieniędzy. Podobno jej mąż, Christopher Eden, był człowiekiem sympatycznym, lecz niezbyt zamożnym. A wnuk Toma Addisona odziedziczył mnóstwo pieniędzy. Duży majątek. Posiadłości w tej okolicy ogromnie zyskały na wartości. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że Tom Addison zostawił w całości swą fortunę wnukowi. Beryl pragnęła, by przypadła ona w udziale jej własnemu synowi, a poprzez niego, oczywiście i jej samej. Jest zachłanną kobietą.

— Coś się pali! — zawołał Satterthwaite, gwałtownie odwracając głowę.

— O mój Boże, rzeczywiście. Och, to ten strach na wróble. Pewnie podpaliły go jakieś dzieci. Ale nie ma powodów do niepokoju. Nigdzie w pobliżu nie ma stogów siana. Po prostu wypali się do końca.

— Tak — przyznał pan Satterthwaite. — No cóż, a więc weź się do pracy, doktorze. Nie potrzebujesz mojej pomocy przy swoich badaniach.

— Nie mam żadnych wątpliwości, co odkryję. Nie chodzi mi o konkretną substancję, ale doszedłem do przekonania, że ta niebieska filiżanka zawiera w sobie śmierć.

Satterthwaite zawrócił w bramie i ruszył w kierunku płonącego na tle zachodu słońca stracha na wróble. Zachód słońca był wspaniały. Rozpalone feerią kolorów niebo rzuciło wielobarwne światło na stracha.

— Więc w ten sposób postanowiłeś odejść — mruknął Satterthwaite do siebie.

Nagle ogarnął go lęk, ponieważ w pobliżu płomieni dostrzegł postać wysokiej, szczupłej kobiety. Miała na sobie jasny strój w kolorze masy perłowej. Zmierzała w jego kierunku. Zatrzymał się w miejscu i czekał.

— Lily — szepnął. — Lily.

Teraz widział ją już całkiem wyraźnie. To Lily zmierzała w jego stronę. Była zbyt daleko, by mógł dostrzec jej twarz, ale doskonale wiedział, że to ona. Przez moment zastanawiał się, czy widzi ją ktoś jeszcze, czy też ten widok przeznaczony jest wyłącznie dla niego.

— Wszystko w porządku, Lily, twój syn jest bezpieczny — wyszeptał.

Kobieta zatrzymała się. Uniosła rękę do ust. Choć Satterthwaite nie mógł dostrzec tego, wiedział, że się uśmiecha. Przesłała mu dłonią pocałunek i odwróciła się. Ruszyła z powrotem w kierunku miejsca, w którym strach na wróble zamieniał się w kupkę popiołu.

— Znów odchodzi — powiedział pan Satterthwaite do siebie. — Odchodzi razem z nim. Należą do tego samego świata. Tacy ludzie zjawiają się jedynie wtedy, kiedy sprawa dotyczy miłości lub śmierci... albo jednego i drugiego.

Nie przypuszczał, by jeszcze kiedyś miał zobaczyć Lily, ale zastanawiał się, ile czasu upłynie, nim znów spotka Harleya Quina. Odwrócił się i ruszył w kierunku stołu zastawionego serwisem do herbaty „Arlekin”. Czekał tam na niego jego stary przyjaciel, Tom Addison. Był pewien, że Beryl nie wróci. Niebezpieczeństwo, które wisiało nad Doverton Kingsbourne, zostało zażegnane.

Przez trawnik pędził w podskokach mały czarny pies. Dysząc i machając ogonem podbiegł do Satterthwaite’a. Za jego obrożę wetknięta była kartka papieru. Pan Satterthwaite schylił się, wziął kartkę, a potem rozprostował ją i przeczytał napisaną na niej różnokolorowymi literami wiadomość:

GRATULACJE! DO NASZEGO NASTĘPNEGO SPOTKANIA
H.Q.

— Dziękuję, Hermes — powiedział i patrzył, jak czarny pies pędzi po łące w kierunku dwóch postaci, których Satterthwaite już nie widział, ale zdawał sobie sprawę z ich obecności.

GWIAZDA ZARANNA

— Bardzo przyjemne miejsce — stwierdził z aprobatą Isaac Pointz, wyjmując cygaro z ust.

Pochwaliwszy tymi słowami przystań w Dartmouth, znów zaciągnął się cygarem i rozejrzał wokół siebie z miną człowieka zadowolonego z własnego wyglądu, swego otoczenia oraz życia w ogóle.

Isaac Pointz miał pięćdziesiąt osiem lat. Cieszył się dobrym zdrowiem i kondycją, choć od czasu do czasu dokuczała mu wątroba. Nie był może zbyt otyły, ale wyglądał zażywnie, a strój żeglarski, który właśnie miał na sobie, niezbyt pasował do mężczyzny w średnim wieku z tendencją do tycia. Pointz, nienaganny w każdym calu, prezentował się bardzo dobrze. Jego śniada, nieco orientalna twarz promieniała pod daszkiem żeglarskiej czapki. W rejsie towarzyszyli mu: wspólnik Leo Stein, *sir* George i lady Marrowayowie, amerykański przedsiębiorca pan Samuel Leathern z córką w wieku szkolnym imieniem Ewa, pani Rustington oraz Evan Llewellyn.

Rano całe towarzystwo oglądało regaty, a teraz wszyscy opuścili jacht Pointza „Merrimaid” i zeszli na ląd, by rozerwać się w wesołym miasteczku. Chcieli zobaczyć kobietę-gumę, salon luster i magików, a potem przejechać się na karuzeli. Niewątpliwie wszystkie te atrakcje sprawiały największą radość Ewie Leathern. Kiedy w końcu Pointz stwierdził, że nadszedł czas, by udać się na kolację do Royal George, tylko ona była temu przeciwna.

— Och, panie Pointz... tak bym chciała, żeby powróżyła mi prawdziwa Cyganka z wozu cyrkowego.

Pointz miał wątpliwości, czy wspomniana osoba naprawdę jest Cyganką, ale uległ prośbie Ewy.

— Ewa ma bzika na punkcie wesołego miasteczka — powiedział jej ojciec przepraszającym tonem. — Ale proszę nie zwracać na to uwagi, jeśli chce pan, żebyśmy już stąd wyszli.

— Mamy mnóstwo czasu — oznajmił dobrotliwie Pointz. — Pozwólmy panience dobrze się zabawić. Chodź, Leo, ogram cię w strzałki.

— Wygrywa ten, kto zdobędzie co najmniej dwadzieścia pięć punktów — wołał śpiewnym, wysokim, nosowym głosem właściciel strzelnicy.

— Założę się o pięć funtów, że zdobędę więcej punktów niż ty — oznajmił Pointz.

— Zgoda — odparł ochotczo Stein.

Po chwili obaj zapomnieli o całym świecie i wdali się w zażartą walkę.

— Ewa nie jest jedynym dzieckiem w naszym towarzystwie — szepnęła lady Marroway do Evana Llewellyna.

Llewellyn skwitował jej uwagę nikłym uśmiechem.

Przez cały dzień był roztargniony. Kilkakrotnie udzielał odpowiedzi, które nie miały nic wspólnego z omawianym tematem.

Pamela Marroway zostawiła go samego.

— Ten młody człowiek czymś się martwi — powiedziała do swego męża.

— A może kimś? — mruknął *sir* George, obrzucając szybkim spojrzeniem Janet Rustington.

Lady Marroway zmarszczyła brwi. Była wysoką, bardzo zadbaną kobietą o ciemnych czujnych oczach. Jej czerwone paznokcie harmonizowały z ciemnoczerwonymi kolczykami z koralu. *Sir* George udawał beztroskiego „rubasznego angielskiego dżentelmena”, ale jego błyszczące niebieskie oczy miały w sobie ten sam wyraz czujności.

Isaac Pointz i Leo Stein zajmowali się handlem brylantami w firmie Hatton Garden. *Sir* George i lady Marroway należeli do innego świata — świata Antibes i Juan les Pins — gry w golfa w St. Jean-de-Luz — świata zimowych kąpiel wód wśród skał na Maderze.

Sprawiali wrażenie ludzi, którzy nigdy w życiu nie splamili się pracą, ale być może nie było to do końca prawdą. Można przecież pracować na różne sposoby.

— Dziecko już wraca — powiedział Evan Llewellyn do pani Rustington.

Był to młody człowiek o śniadej cerze, a w jego wyglądzie było coś, co sprawiało, że przypominał wygłodniałego wilka. Niektóre kobiety uważały go za atrakcyjnego mężczyznę.

Trudno powiedzieć, czy pani Rustington podzielała ich zdanie. Nigdy nie wyjawiała swoich uczuć. Młodo wyszła za mąż, a po niecałym roku jej małżeństwo skończyło się katastrofą. Od tej pory trudno było zgadnąć, co Janet myśli o kimkolwiek czy czymkolwiek. Zawsze zachowywała się tak samo — z wdziękiem, ale z wyraźną rezerwą.

Ewa Leathern podbiegła do nich w podskokach, potrząsając prostymi jasnymi włosami. Była niezdarną, ale bardzo żywą piętnastolatką.

— Zanim skończę siedemnaście lat, będę już mężatką — zawołała, z trudem łapiąc oddech. — Wyjdę za bardzo bogatego mężczyznę i będziemy mieli sześcioro dzieci, a wtorek i czwartek to moje szczęśliwe dni i zawsze powinnam ubierać się na zielono lub na niebiesko, a szmaragd przynosi mi szczęście i...

— Ale, ale, kochanie, chyba musimy już iść — przypomniał jej ojciec.

Samuel Leathern był wysokim blondynem o posepnym wyrazie twarzy. Sprawiał wrażenie człowieka zgryźliwego.

Pointz i Stein wracali właśnie ze strzelnicy. Pointz chichotał, a Stein miał dość ponurą minę.

— To tylko kwestia szczęścia — mówił.

Pointz z zadowoleniem poklepał się po kieszeni.

— Ograłem cię na pięć funtów. To wprawa, przyjacielu, wprawa. Mój stary ojciec był pierwszorzędnym graczem w strzałki. No cóż, moi kochani, chodźmy. Przepowiedziano ci przyszłość, Ewo? Czy masz się wystrzegać bruneta?

— Brunetki — poprawiła go Ewa. — Ona ma złe oko i zrobi mi krzywdę, jeśli tylko dam jej okazję. I mam wyjść za mąż, zanim skończę siedemnaście lat...

Szczebiotała radośnie, kiedy wszyscy szli w kierunku restauracji Royal George.

Zapobiegliwy Pointz zamówił wcześniej kolację, a więc usłużny kelner zaprowadził ich na pierwsze piętro do sali dla specjalnych gości, w której stał okrągły, nakryty już stół. Z dużego, otwartego okna wykuszowego rozciągał się widok na przystań. Dobiegał przez nie zgiełk wesołego miasteczka i ochryply zgrzyt trzech wirujących karuzel.

— Jeśli chcemy nawzajem się słyszeć, lepiej zamknijmy to okno — powiedział Pointz i wprowadził swe słowa w czyn.

Kiedy zajęli miejsca wokół stołu, Pointz uśmiechnął się serdecznie do swych gości. Czuł, że sprawia im przyjemność, a bardzo to lubił. Przyglądał się każdemu po kolei. Piękna lady Marroway nie była w gruncie rzeczy wielką damą; zdawał sobie doskonale sprawę, że państwo Marroway nie należą do prawdziwej elity towarzyskiej, ale wiedział również, że prawdziwa elita towarzyska nie ma pojęcia o jego, Pointza, istnieniu. Tak czy owak, lady Marroway była niezwykle elegancką kobietą i wybaczał jej nawet to, że oszukiwała go przy grze w brydża. Znacznie mniej lubił, gdy robił to *sir* George. Ten człowiek wyraźnie gotów był zarabiać pieniądze wszelkimi dostępnymi sposobami, ale Pointz zamierzał mieć się na baczności i nie pozwolić mu zarobić na sobie zbyt wiele.

Stary Leathern nie był złym człowiekiem. Jak większość Amerykanów odznaczał się gadulstwem i lubił opowiadać rozwlekłe anegdoty. Uciążliwe było również to, że ciągle domagał się ścisłych i wyczerpujących informacji na różne tematy. Ilu mieszkańców ma Dartmouth? W którym roku zbudowano Wyższą Szkołę Morską? I tak dalej. Uważał swego

gospodarza za coś w rodzaju chodzącego bedekera. Ewa była miłą, wesołą dziewczynką. Pointz lubił się z nią przekomarzać. Miała głos jak derkacz, ale była rozgarniętym, bystrym dzieckiem.

Młody Llewellyn wydawał się dość milczący. Najwyraźniej czymś się martwił. Pewnie miał jakieś kłopoty finansowe. Pisarze zazwyczaj je mają. Wyglądało na to, że podkochuje się w Janet Rustington, która była miłą, atrakcyjną i inteligentną. Ale ona nie zanudzała nikogo swoją twórczością literacką. Pisała uczone dzieła, choć słysząc jej wypowiedzi trudno było posądzić ją o zamiłowania intelektualne. I kochany Leo! Nie odmłodził ani nie zeszczipłał. Pointz, nie podejrzewając, że jego wspólnik myśli o nim w tej chwili dokładnie to samo, wyjaśnił panu Leathernowi, że sardynki łowi się u wybrzeży Devonu, a nie Kornwalii, a potem z rozkoszą zabrał się do kolacji.

— Panie Pointz — powiedziała Ewa, kiedy kelnerzy postawili przed nimi talerze ze smażoną makrelą i wyszli z pokoju.

— Słucham, młoda damo.

— Czy ma pan przy sobie ten duży brylant? Ten, który pokazał nam pan wczoraj wieczorem, mówiąc, że zawsze nosi go pan ze sobą?

— Tak — oznajmił Pointz, chichocząc. — Nazywam go swoją maskotką. Owszem, mam go przy sobie.

— To chyba okropnie niebezpieczne. Przecież w ścisłości panującym w wesołym miasteczku ktoś mógłby go panu ukraść.

— Ależ skądże — odparł Pointz. — Zawsze strzegę go jak oka w głowie.

— Ale istnieje taka możliwość — powiedziała z uporem Ewa. — Przecież w Anglii są gangsterzy, podobnie jak u nas, prawda?

— Nie zabiorą mi Gwiazdy Zarannej — oznajmił Pointz. — Po pierwsze trzymam ją w specjalnej wewnętrznej kieszeni. A poza tym... stary Pointz wie co robi. Nikomu nie uda się ukraść Gwiazdy Zarannej.

— Cha! Cha! Cha! — zaśmiała się Ewa. — Założę się, że mnie udałoby się ją ukraść!

— A ja idę o zakład, że nie — odparł Pointz, mrugając do niej porozumiewawczo.

— No dobrze, a ja się założę, że jednak mogłabym to zrobić. Myślałam o tym wczorajszej nocy, leżąc w łóżku... przypomniałam sobie, jak puścił pan brylant wokół stołu, by wszyscy mogli go obejrzeć. I przyszedł mi do głowy naprawdę sprytny sposób.

— Mianowicie jaki?

Eve przechyliła głowę na bok, potrząsając jasnymi włosami.

— Tego panu nie powiem... przynajmniej teraz. O co się pan założy?

W pamięci Pointza odżyły wspomnienia z młodości.

— Stawiam pół tuzina par rękawiczek — powiedział.

— Rękawiczek! — zawołała Ewa z oburzeniem. — Kto nosi rękawiczki?

— No cóż... a czy nosisz nylony?

— Czemu nie? W moich najlepszych poszły dziś rano oczka.

— A więc dobrze. Pół tuzina par pończoch z najdelikatniejszego nylonu...

— Hmm — bąknęła Ewa z zadowoleniem. — A co będzie, jeśli pan wygra?

— Potrzebny mi nowy kapciuch na tytoń.

— Zgoda. Umowa stoi. Ale nie dostanie pan tego kapciucha. A teraz powiem, co ma pan zrobić. Musi pan puścić kamień wokół stołu tak jak wczorajszego wieczora...

Urwała, ponieważ do pokoju weszli dwaj kelnerzy, by uprzątnąć talerze.

— Zapamiętaj, młoda damo — powiedział Pointz, kiedy zaczęli jeść następne danie, pieczone kurczęta — że jeśli popełnisz prawdziwą kradzież, wezwę policję i zostaniesz zrewidowana.

— Zgoda. Ale nie musi pan traktować całej sprawy aż tak poważnie, by wciągać w nią policję. Przecież rewizję może przeprowadzić lady Marroway lub pani Rustington.

— A więc dobrze — powiedział Pointz. — Za kogo ty się uważasz? Za pierwszorzędnego złodzieja klejnotów?

— Może zaczęłabym uprawiać ten proceder zawodowo... o ile byłby rzeczywiście opłacalny.

— Kradzież Gwiazdy Zarannej z pewnością byłaby opłacalna. Nawet po powtórnych oszlifowaniu ten kamień byłby wart ponad trzydzieści tysięcy funtów.

— Nie do wiary! — zawołała Ewa pod wrażeniem tak wysokiej sumy. — Ile to jest w dolarach?

— Och! — krzyknęła lady Marroway. — I nosi pan przy sobie tak drogocenny klejnot? — powiedziała z wyrzutem. — Trzydzieści tysięcy funtów. — Zatrzepotała przyciemnionymi tuszem rzęsami.

— To sporo pieniędzy... — stwierdziła cicho pani Rustington. — A ponadto ten kamień sam w sobie jest fascynujący...

Piękny okaz.

— To tylko kawałek węgla — oznajmił Evan Llewellyn.

— Zawsze uważałem, że największym wrogiem złodziei klejnotów jest paser — powiedział *sir* George. — Przecież on zgarnia lwią część zysków... czy nie mam racji?

— No, zaczynajmy — zawołała Ewa, podniecona. — Niech pan wyjmie brylant i powtórz to, co mówił pan wczoraj wieczorem.

— Bardzo przepraszam za moją córkę — powiedział Leathern głębokim, melancholijnym głosem. — Ona łatwo się do wszystkiego zapala...

— Przestań, tatusiu — poprosiła Ewa. — A zatem, panie Pointz...

Pointz, uśmiechając się, poszperał w wewnętrznej kieszeni swej marynarki i wyciągnął z niej jakiś przedmiot, który spoczywał teraz na jego dłoni połyskując w świetle.

— Brylant... — szepnęli obecni.

Pointz, dość zwieźle, ale w miarę wiernie odtworzył mowę, którą wygłosił poprzedniego wieczora na jachcie „Merrimaid”.

— Być może, panie i panowie, chcielibyście obejrzeć ten wyjątkowo piękny kamień? Nazywam go Gwiazdą Zaranną i jest niejako moją maskotką... wszędzie noszę go ze sobą. Czy macie ochotę go zobaczyć?

Wręczył brylant lady Marroway, która pochwalwszy jego urodę, podała go panu Leathernowi.

— Ładne cacko... naprawdę piękne — powiedział Leathern nieco sztucznym tonem i przekazał kamień panu Llewellynowi.

W tym momencie weszli kelnerzy, zakłócając zabawę. Kiedy zniknęli, Evan rzekł: „Wspaniały okaz” i podał go Leo Steinowi, który bez komentarza wręczył szybko brylant Ewie.

— Jaki śliczny! — zawołała Ewa cienkim, afektowanym głosem. — Och! — krzyknęła z przerażeniem, kiedy kamień wyślizgnął się z jej ręki. — Upuściłam go.

Odsunęła krzesło i w poszukiwaniu zguby weszła pod stół. Siedzący po jej prawej stronie *sir* George również się schylił. W zamieszaniu ktoś strącił kieliszek. Stein, Llewellyn i pani Rustington pospieszyli z pomocą. W końcu przyłączyła się do nich lady Marroway.

Jedynie Pointz nie wziął udziału w poszukiwaniach. Pozostał na swym miejscu, sącząc wino i uśmiechając się sardonicznie.

— O Boże! — powiedziała Ewa swym afektowanym głosem. — To straszne! Gdzie on się potoczył? Nigdzie nie mogę go znaleźć.

Pozostali poszukiwacze kolejno podnosili się z kolan.

— Zniknął bez śladu, Pointz — oświadczył *sir* George z uśmiechem.

— Dobra robota — pochwalił Pointz, z aprobatą kiwając głową. — Okazałaś się znakomitą aktorką, Ewo. Nasuwa się jedno pytanie: czy schowałaś gdzieś ten brylant, czy też masz go przy sobie?

— Proszę mnie zrewidować — oznajmiła Ewa dramatycznym tonem.

Wzrok Pointza przyciągnął duży parawan stojący w rogu pokoju.

Wskazał go ruchem głowy, a potem spojrział na lady Marroway i panią Rustington.

— Gdyby panie były tak uprzejme...

— Ależ oczywiście — odparła lady Marroway z uśmiechem. Obie panie wstały z miejsc.

— Proszę się nie obawiać, panie Pointz — powiedziała lady Marroway. — Przeszukamy ją dokładnie.

Wszystkie trzy zniknęły za parawanem.

W pokoju było bardzo gorąco, więc Evan Llewellyn otworzył okno. Zobaczył przechodzącego ulicą sprzedawcę gazet. Cisnął mu pod nogi monetę, a mężczyzna odrzucił mu gazetę.

— Sytuacja na Węgrzech bynajmniej nie jest dobra — oświadczył Evan, rozkładając dziennik.

— Czy to lokalny brukowiec? — spytał *sir* George. — Dziś na torze w Haldon miał biec koń, który mnie interesuje... nazywa się Natty Boy.

— Leo — powiedział Pointz. — Zamknij drzwi na klucz. Nie chcę, żeby kręcili się tu ci przekłeci kelnerzy, dopóki nie zakończymy tej sprawy.

— Natty Boy wygrał. Płacono trzy do jednego — oznajmił Evan.

— Kiepska wypłata — stwierdził *sir* George.

— Głównie wiadomości z regat — mruknął Evan, przerzucając kolejne strony.

Trzy młode kobiety wyszły z za parawanu.

— Ani śladu brylantu — oświadczyła Janet Rustington.

— Zapewniam was, że nie ma go przy sobie — oznajmiła Lady Marroway.

Pointz gotów był jej uwierzyć. Mówiła stanowczym tonem, więc nie miał wątpliwości, że rewizja została przeprowadzona skrupulatnie.

— Chyba go nie połknęłaś, Ewo? — spytał Leathern z niepokojem. — Mogłoby ci to zaszkodzić.

— Zauważyłbym to — powiedział cicho Leo Stein. — Obserwowałem ją. Niczego nie wkładała do ust.

— Nie byłabym w stanie połknąć tak dużego przedmiotu — oznajmiła Ewa. Wzięła się pod boki i spojrzała na Pointza. — I co pan na to? — spytała.

— Zostań tam gdzie jesteś i nie ruszaj się z miejsca — polecił jej Pointz.

Mężczyźni uprzątnęli wszystko ze stołu i odwrócili go do góry nogami. Pointz zbadał go cal po calu. Potem obejrzał krzesło, na którym uprzednio siedziała Ewa, oraz dwa stojące w jego bezpośrednim sąsiedztwie.

Poszukiwania przeprowadzone były w sposób bardzo staranny. Wszyscy obecni przyłączyli się do Pointza. Ewa Leathern stała pod ścianą obok parawanu i śmiała się z rozbawieniem.

Po pięciu minutach Pointz, cicho stękając, podniósł się z kolan i ze smutkiem otrzepał spodnie. Jego niewzruszona pogoda ducha została nieco nadszarpnięta.

— Ewo — oznajmił. — Chylę przed tobą czoło. Jesteś najlepszym złodziejem klejnotów, z jakim kiedykolwiek miałem do czynienia. Zupełnie nie wiem, co zrobiłaś z tym kamieniem. Skoro nie masz go przy sobie, to moim zdaniem musi znajdować się gdzieś w tym pokoju. Poddaję się.

— Czy pończochy są już moje?

— Oczywiście, młoda damo.

— Ewo, moje dziecko, gdzie schowałaś ten kamień? — spytała ciekawie pani Rustington.

Ewa zrobiła krok do przodu.

— Pokażę wam. Ale będziecie na siebie wściekli. Podeszła do stolika, na którym leżały sterty brudnych naczyń, i wzięła z niego swoją małą czarną torebkę.

— Dokładnie na waszych oczach. Dokładnie... — Jej wesoły i pełen triumfu głos nagle przygasł. — Och — wymamrotała. — Och...

— Co się stało, kochanie? — spytał jej ojciec.

— On zniknął... — wyszeptała — ... zniknął...

— Co to ma znaczyć? — spytał Pointz, podchodząc do niej. Ewa gwałtownie odwróciła się do niego.

— To było tak. W klamrze mojej torebki umocowany był duży sztuczny kamień. Ubiegłego wieczora wypadł, a kiedy pokazywał pan nam ten brylant, zauważyłam, że niewiele różni się on od niego wielkością. W nocy wpadłam na wspaniały pomysł kradzieży pańskiego klejnotu. Pomyślałam, że mogłabym umocować go kawałkiem plasteliny w otworze po moim kamyku. Byłam pewna, że nikt go nie zauważy. To właśnie zrobiłam dzisiaj. Upuściłam brylant na podłogę, schyliłam się po niego z torebką w rękę i przykleiłam go plasteliną, którą miałam już wcześniej przygotowaną, a później położyłam torebkę na stole i nadal udawałam, że go szukam. Sądziłam, że będzie tak jak z tym „skradzionym listem”, wie pan, że będzie sobie leżał w widocznym miejscu, tuż pod waszymi nosami i wyglądał na kawałek zwykłego kryształu górskiego. To był dobry plan... żadne z was nie zwróciło na niego uwagi.

— Nie jestem pewien — bąknął Stein.

— Co pan powiedział?

Pointz wziął torebkę Ewy i obejrzał pusty otwór, w którym nadal tkwił kawałek plasteliny.

— Brylant mógł wypaść — powiedział powoli. — Poszukajmy go jeszcze raz.

Tym razem odbywało się to w milczeniu. W pokoju panowało napięcie.

W końcu wszyscy dali za wygraną i spojrzeli na siebie bezradnie.

— Nie ma go w tym pokoju — oświadczył Stein.

— Ale przecież nikt stąd nie wychodził — powiedział *sir* George.

Zapadło milczenia. Ewa wybuchnęła płaczem.

— No dobrze, już dobrze — mruknął jej ojciec z zakłopotaniem, klepiąc ją po ramieniu.

— Panie Stein — powiedział *sir* George. — Przed chwilą bąknął pan coś pod nosem. Kiedy poprosiłem, by pan to powtórzył, odparł pan, że to nic ważnego. Ale ja usłyszałem, co pan powiedział. Panna Ewa oznajmiła, że nikt z nas nie zauważył, gdzie ukryła brylant, a pan mruknął: „Nie jestem pewien”. Jest więc wielce prawdopodobne, że ktoś to zauważył i że ta osoba znajduje się w tym pokoju. Sądzę, że dla wszystkich tu obecnych jedynym słusznym i honorowym rozwiązaniem jest poddanie się rewizji osobistej. Brylant nie mógł opuścić tego pomieszczenia.

Nikt nie potrafił grać roli starego angielskiego dżentelmena lepiej niż *sir* George. W jego głosie brzmiało szczere oburzenie.

— Cała ta sprawa jest dość nieprzyjemna — powiedział Pointz niechętnie.

— To wszystko moja wina — szlochała Ewa. — Nie chciałam...

— Nie przejmuj się, mała — powiedział łagodnie Stein. — Nikt nie ma do ciebie pretensji.

— Nie mam wątpliwości — zaczął Leathern swym powolnym, pedantycznym głosem — że propozycja *sir* George’a spotka się z pełną aprobatą ze strony wszystkich obecnych. Ja się zgadzam.

— Ja również — oznajmił Evan Llewellyn.

Pani Rustington zerknęła na lady Marroway, która lekko skinęła głową na znak zgody. Obie panie zniknęły za parawanem, a Ewa, wciąż szlochając, podążyła za nimi.

Kiedy kelner zapukał do drzwi, kazano mu odejść.

W pięć minut później wszyscy obecni w pokoju patrzyli na siebie z niedowierzaniem.

Gwiazda Zaranna rozplynęła się w przestrzeni...

Parker Pyne przyglądał się z zadumą śniademu, podnieconemu młodemu człowiekowi, który siedział naprzeciw niego.

— Oczywiście — powiedział. — Jest pan Walijczykiem, panie Llewellyn.

— A co to ma z tym wszystkim wspólnego?

— Przyznaję, że absolutnie nic — odparł Parker Pyne, machając swą dużą, wypielegnowaną dłonią. — Interesuję się klasyfikacją emocjonalnych reakcji na przykładzie zachowań różnych typów etnicznych. To wszystko. Wróćmy do rozważań na temat pańskiego konkretnego przypadku.

— Naprawdę nie wiem, dlaczego zwróciłem się z tym do pana — powiedział Evan Llewellyn. Zaciskał nerwowo ręce, a na jego twarzy malowało się zmęczenie. Nie patrzył na Parkera Pyne'a, ponieważ jego badawcze spojrzenie budziło w nim niepokój. — Nie wiem, dlaczego zwróciłem się z tym do pana — powtórzył. — Ale do kogo, u diabła, mogłem się zwrócić? I co, u diabła, mogłem zrobić? Najgorsze jest to poczucie bezsilności... Zobaczyłem pańskie ogłoszenie i przypomniałem sobie pewnego człowieka, który wychwalał skuteczność pańskich działań... Więc... przyszedłem! Chyba zwariowałem. Przecież w tej sprawie nikt nie może mi pomóc.

— Ależ bynajmniej — powiedział Parker Pyne. — Zwrócił się pan do właściwej osoby. Jestem specjalistą od zmartwień. Ta sprawa z pewnością przysporzyła panu niemało cierpienia. Czy na pewno przedstawił mi pan dokładnie wszystkie fakty?

— Sądzę, że niczego nie pominąłem. Pointz wyjął brylant z kieszeni i puścił go w koło. Potem ten wstrętny amerykański bachor przylepił go do swojej groteskowej torebki, a kiedy w końcu obejrzelismy tę torebkę, brylantu już tam nie było. Nikt nie miał go przy sobie... nawet stary Pointz został zrewidowany... co zresztą sam zaproponowałem... i mógłbym przysiąc, że tego klejnotu nie było nigdzie w pokoju! A z pokoju nikt nie wychodził...

— A kelnerzy? — spytał Parker Pyne.

Llewellyn potrząsnął głową.

— Wynieśli się, zanim ta dziewczyna zaczęła robić sztuki z brylantem, a potem Pointz zamknął drzwi na klucz, żeby nam nie przeszkadzali. Nie, ma go któreś z nas.

— Na to istotnie wygląda — przyznał Parker Pyne z zadumą.

— Niech diabli wezmą tę gazetę — powiedział Evan Llewellyn z goryczą. — Oni najwyraźniej doszli do wniosku... że to był jedyny sposób...

— Proszę raz jeszcze opowiedzieć mi, co się dokładnie wydarzyło.

— To całkiem proste. Otworzyłem okno, zagwizdałem na gazeciarza, cisnąłem mu pensa, a on odrzucił mi gazetę. Sam pan widzi, że tylko w ten jedyny sposób brylant mógł zniknąć z pokoju... Że tylko ja mogłem rzucić go czekającemu na ulicy współnikowi.

— Nie, nie jedyny — powiedział Parker Pyne.

— A jaki inny sposób przychodzi panu na myśl?

— Skoro nie wyrzucił go pan przez okno, musi istnieć jakiś inny sposób.

— Och, rozumiem. Miałem nadzieję, że chodzi panu o coś bardziej konkretnego. No cóż, mogę tylko powiedzieć, że ja nie wyrzuciłem go przez okno. Nie sądzę, by pan mi uwierzył... ani pan, ani nikt inny.

— Ależ tak, wierzę panu — oświadczył Parker Pyne.

— Doprawdy? Dlaczego?

— Nie jest pan typem przestępcy — powiedział Parker Pyne. — To znaczy, nie jest pan typem złodzieja klejnotów. Oczywiście, istnieją przestępstwa, których mógłby pan się dopuścić... ale nie będziemy się rozwodzić na ten temat. Tak czy owak, nie wyobrażam sobie pana jako złodzieja Gwiazdy Zarannej.

— Ale oni są innego zdania — westchnął z goryczą Llewellyn.

— Rozumiem — powiedział Parker Pyne.

— Patrzyli na mnie w dziwny sposób. Marroway wziął gazetę i zerknął na to okno. Nie odezwał się ani słowem. Ale Pointz wystarczająco szybko zorientował się w sytuacji! Widziałem, o czym myślą. Nie wysunięto przeciwko mnie jawnego oskarżenia i to było okropne.

— To jest jeszcze gorsze — powiedział Parker Pyne, kiwając ze współczuciem głową.

— Tak. Chodzi o podejrzenie. Kręcił się wokół mnie jakiś typ i zadawał mi pytania — nazwał to rutynowym dochodzeniem. Jeden z tych eleganckich młodych policjantów. Zachowywał się taktownie i nie robił żadnych aluzji. Interesował go jedynie fakt, że byłem splukany i nagle los się do mnie uśmiechnął.

— A czy tak istotnie było?

— Owszem... poszczyściło mi się w paru gonitwach. Niestety grałem na torze... więc nie jestem w stanie udokumentować źródła tych pieniędzy. A oni oczywiście nie mogą tego podważyć... ale jest to typowy wybieg, jakim posłużyłby się człowiek, który nie chce ujawnić, skąd pochodzą jego pieniądze.

— Zgadzam się. Niemniej jednak to nie wystarczy, by pana posądzać o dokonanie tego przestępstwa.

— Och! Nie boję się, że mnie aresztują i oskarżą o kradzież. W pewnym sensie byłaby to dla mnie dogodniejsza sytuacja — wiedziałbym przynajmniej, na czym stoję. Ale okropne jest to, że wszyscy ci ludzie są przekonani o mojej winie.

— Czy ma pan na myśli jakąś konkretną osobę?

— Do czego pan zmierza?

— To tylko sugestia... nic więcej. — Parker Pyne znów pomachał swą wypielegnowaną dłonią. — W grę wchodzi jednak pewna konkretna osoba, prawda? Powiedzmy, pani Rustington?

Na śniadej twarzy Llewellyna pojawił się rumieniec.

— Dlaczego wybrał pan właśnie ją?

— Och, proszę pana... istnieje najwyraźniej pewna osoba, z której zdaniem pan się bardzo liczy... zapewne kobieta. A jakie kobiety wchodzi w rachubę? Amerykański podlotek? Lady Marroway? Gdyby dokonał pan tej mistrzowskiej kradzieży, zyskałby pan tylko w jej oczach, nie zaś odwrotnie. Coś niecoś o niej słyszałem. A więc najwyraźniej chodzi o panią Rustington.

— Ona... — zaczął Llewellyn z pewnym wysiłkiem — ... miała dość przykre doświadczenia. Jej mąż był skończonym draniem. Od tego czasu nikomu nie ufa. Jeśli ona... sądzi, że... — Nie był w stanie dokończyć zdania.

— No właśnie — powiedział Parker Pyne. — Widzę, że to ważna sprawa. Trzeba ją wyjaśnić.

Evan zaśmiał się krótko.

— Łatwo powiedzieć.

— I równie łatwo zrobić — oznajmił Parker Pyne.

— Tak pan sądzi?

— Och, tak. Ponieważ wiele rozwiązań tej zagadki już wyeliminowałem, pozostaje ich zaledwie kilka. Odpowiedź musi być szalenie prosta. Co więcej, mam niejasne przeczucie...

Llewellyn spojrział na niego z niedowierzaniem.

Parker Pyne przysunął do siebie blok papieru i wziął do ręki pióro.

— Proszę mi podać krótki opis obecnych tam osób.

— Czyż nie zrobiłem tego wcześniej?

— Ich wygląd... kolor włosów i tak dalej.

— Ale, panie Pyne, co to może mieć wspólnego z tą sprawą?

— Bardzo wiele, młody człowieku, bardzo wiele. Klasyfikacja i tak dalej.

Evan bez większego przekonania scharakteryzował uczestników rejsu.

Parker Pyne zrobił parę notatek, a potem odsunął blok i powiedział:

— Doskonale. Nawiasem mówiąc, wspomniał pan, że ktoś rozbił kieliszek do wina, prawda?

Evan znów spojrzał na niego badawczo.

— Owszem, został strącony ze stołu, a potem niechcący rozdeptany.

— Odłamki szkła są niebezpieczne — stwierdził Parker Pyne. — Czyj to był kieliszek?

— Chyba tej dziewczynki... Ewy.

— Ach!... a kto siedział po jej prawej stronie?

— *Sir* George Marroway.

— Nie zauważył pan, które z nich strąciło kieliszek?

— Niestety nie. Czy to ma jakieś znaczenie?

— Właściwie nie. To pytanie było zbyteczne. No cóż — wstał — do widzenia panu. Proszę wpaść do mnie za trzy dni, dobrze? Sądzę, że do tej pory znajdę zadowalające pana rozwiązanie.

— Czy pan żartuje, panie Pyne?

— Drogi panie, nigdy nie żartuję w sprawach zawodowych. To wzbudziłoby nieufność moich klientów. Czekam na pana... powiedzmy w piątek o wpół do dwunastej, dobrze? Dziękuję panu za wizytę.

W piątek rano Evan, wyraźnie podniecony, wszedł do biura Parkera. Nadzieja walczyła w nim ze sceptycyzmem. Parker Pyne powitał go promiennym uśmiechem.

— Dzień dobry, panie Llewellyn. Proszę usiąść. Papierosa? Llewellyn odmówił gestem.

— I co? — spytał.

— Wszystko w najlepszym porządku — odparł Parker Pyne. — Wczoraj wieczorem policja aresztowała szajkę złodziei.

— Szajkę? Jaką szajkę?

— Szajkę Amalfiego. Gdy zrelacjonował mi pan tę historię, od razu o nich pomyślałem. Rozpoznałem ich metody działania, a kiedy opisał pan gości, no cóż, nie miałem już żadnych wątpliwości.

— Kto należy do szajki Amalfiego?

— Ojciec, syn i synowa... to znaczy, o ile Pietro i Maria są istotnie małżeństwem, w co niektórzy wątpią.

— Nie rozumiem.

— To całkiem proste. Nazwisko jest włoskie i z pewnością stary Amalfi ma włoskie pochodzenie, ale urodził się w Ameryce. Zazwyczaj stosuje takie same metody. Podaje się za wielkiego biznesmena, poznaje jakąś ważną osobistość handlującą klejnotami w jakimś europejskim kraju, a potem przystępuje do dzieła. W tym przypadku upatrzył sobie Gwiazdę Zaranną. Ludzie z tej branży dobrze znają nawyki Pointza. Maria Amalfi przekonująco odegrała rolę córki (ta zdumiewająca, co najmniej dwudziestosiedmioletnia kobieta niemal zawsze udaje szesnastolatkę).

— Ewa? — zawołał Llewellyn z trudem łapiąc powietrze.

— Właśnie ona. Trzeci członek szajki zatrudnił się w restauracji Royal George jako kelner... proszę pamiętać, że był to okres wakacji i potrzebowali tam dodatkowego personelu. Mógł nawet przekupić etatowego kelnera, żeby nie pokazywał się w pracy. Miejsce akcji zostało przygotowane. Ewa prowokuje starego Pointza, a on przyjmuje wyzwanie. Puszczą w koło brylant, tak jak zrobił to poprzedniego wieczora. Kiedy kelnerzy wchodzą do pokoju, Leathern przetrzymuje kamień, czekając aż wyjdą. Wraz z ich zniknięciem znika również brylant, starannie przyklejony kawałkiem gumy do żucia do spodu talerza, który Pietro wynosi z pokoju. To bardzo proste!

— Ale ja go widziałem później.

— Nie, bynajmniej, widział pan kopię na tyle dobrą, że na pierwszy rzut oka nie różniła się od oryginału. Wspominał pan, że Stein ledwie na nią spojrział. Ewa upuszcza kamień, strąca ze stołu kieliszek i rozdeptuje jednocześnie oba przedmioty. Cudowne zniknięcie brylantu. Można było rewidować Ewę i Leathera w nieskończoność.

— No cóż... jestem... — Evan, nie znajdując słów, potrząsnął głową. — Twierdzi pan, że rozpoznał pan szajkę na podstawie mojego opisu. Czy już wcześniej stosowali tę sztuczkę?

— Niedokładnie taką samą... ale to ich metoda działania. Oczywiście, ta dziewczyna, Ewa, od razu zwróciła moją uwagę.

— Dlaczego? Nie podejrzewałem jej... nikt jej nie podejrzewał. Wydawała się takim... takim dzieckiem.

— To szczególnie talent Marii Amalfi. Potrafi zachowywać się bardziej infantylnie niż jakiegokolwiek dziecko! I do tego ta plastelina! Owa młoda dama miała ją przy sobie, choć koncepcja zakładu zrodziła się rzekomo spontanicznie. To dowodzi premedytacji. Moje podejrzenia od razu padły na nią.

— No cóż, panie Pyne — powiedział Llewellyn, wstając — jestem panu nieskończenie wdzięczny.

— Klasyfikacja — mruknął Parker Pyne. — Interesuje mnie klasyfikacja typów przestępczych.

— Proszę mnie zawiadomić, ile... hmm...

— Moje honorarium będzie dość umiarkowane — oznajmił Parker Pyne. — Nie uszczupli przesadnie pańskich... hmm... dochodów z wyścigów. Niemniej jednak, młody człowieku, sądzę, że w przyszłości powinien pan dać sobie spokój z końmi. To bardzo niepewne zwierzęta.

— Ma pan rację — odparł Evan.

Uścisnął dłoń Parkera Pyne'a i wyszedł z biura. Zatrzymał taksówkę i podał kierowcy adres mieszkania Janet Rustington.

Czuł, że jest w stanie stawić czoło całemu światu.

DETEKTYWI W SŁUŻBIE MIŁOŚCI

Pan Satterthwaite spojrział z rozwągą na swego gospodarza. Przyjaźń łącząca tych dwóch mężczyzn była dość dziwna. Pułkownik był zwykłym właścicielem ziemskim, który namiętnie lubił sport. Z niechęcią wspominał kilka tygodni, które musiał spędzić w Londynie. Satterthwaite przeciwnie, był typowym przedstawicielem londyńskiego towarzystwa. Znał się na francuskiej kuchni, damskich strojach i wiedział wszystko o najnowszych skandalach. Do jego pasji należało zgłębianie ludzkiej natury. Był też ekspertem w szczególnej dziedzinie — obserwacji życia.

Mogło więc się wydawać, że on i pułkownik Melrose mają niewiele wspólnego, ponieważ tego ostatniego nie interesowały sprawy jego sąsiadów i czuł wstręt do wszelkiego rodzaju emocji. Dwaj mężczyźni przyjaźnili się głównie dlatego, że ich ojcowie byli przyjaciółmi. Zнали tych samych ludzi i mieli podobnie reakcyjne poglądy na temat *nouveaux riches*.

Dochodziło wpół do ósmej. Panowie siedzieli w przytulnym gabinecie pułkownika Melrose, z żywym entuzjazmem myśliwego, opowiadał o biegu za lisem, który odbył się ubiegłej zimy. Satterthwaite, którego znajomość koni ograniczała się do niedzielnych odwiedzin w stajni, co należało do obowiązku w starych dworach, słuchał z niewzruszoną uprzejmością.

Opowieść pułkownika przerwał ostry dzwonek telefonu. Gospodarz podszedł do biurka i podniósł słuchawkę.

— Halo, tak... tu pułkownik Melrose. O co chodzi? — Jego zachowanie nagle zupełnie się zmieniło. Stał się sztywny i oficjalny. Zaczął przemawiać jak urzędnik, a nie jak myśliwy. Słuchał przez chwilę, a potem powiedział lakonicznie:

— Dobrze, Curtis. Zaraz tam będę. — Odwiesił słuchawkę i odwrócił się do swego gościa. — *Sir James Dwigton* został znaleziony w swojej bibliotece... ktoś go zamordował.

— Słucham? — spytał z zainteresowaniem Satterthwaite.

— Muszę natychmiast udać się do Alderway. Czy zechciałbyś mi towarzyszyć?

Satterthwaite przypomniał sobie, że pułkownik jest naczelnikiem policji w hrabstwie.

— Jeśli nie będę przeszkadzał... — Zawahał się.

— Bynajmniej. Telefonował inspektor Curtis. To zacny człowiek, ale niezbyt bystry. Cieszyłbym się, gdybyś ze mną pojechał, Satterthwaite. Mam wrażenie, że sprawa okaże się paskudna.

— Czy złapali już sprawcę?

— Nie — odparł krótko Melrose.

Wrażliwy słuch pana Satterthwaite'a wychwycił w tym lakonicznym zaprzeczeniu cień rezerwy. Zaczął przypominać sobie wszystko, co wiedział o Dwigtonach.

Świętej pamięci *sir James* był starym, nadętym jegomościem o obcesowym sposobie bycia. Człowiekiem, który z łatwością mógł przysporzyć sobie wrogów. Dobijał sześćdziesiątki, miał siwe włosy i rumianą twarz. Uchodził za potwornego skąpca.

Myśli Satterthwaite'a przeskoczyły na panią Dwigton. W jego pamięci pojawił się jej obraz: młoda, szczupła kobieta o kasztanowych włosach. Przypomniał sobie krążące na jej temat rozmaite pogłoski, aluzje, dziwne strzępki plotek. Zaczął podejrzewać, że odegrała ona jakąś rolę w tym dramacie... To mogłoby tłumaczyć posępną minę Melrose'a... Po chwili doszedł jednak do wniosku, że ponosi go wyobraźnia.

W pięć minut później pan Satterthwaite siedział już obok swego gospodarza w jego małym, dwuosobowym samochodzie. Ruszyli w ciemność nocy.

Pułkownik był człowiekiem małomównym. Zanim się odezwał, ujechali niemal półtorej mili.

— Przypuszczam, że ich znasz? — spytał nagle.

— Państwa Dwigton? Oczywiście, wiem o nich wszystko.

— Czy był ktoś, o kim Satterthwaite nie wiedziałby wszystkiego? — Jego spotkałem chyba raz, a ją widywałem trochę częściej.

— Ładna kobieta — zauważył Melrose.

— Piękna — przyznał Satterthwaite.

— Tak uważasz?

— Czysto renesansowy typ urody — oznajmił z ożywieniem Satterthwaite. — Zeszłej wiosny występowała w amatorskich przedstawieniach na cele dobroczynne. Zrobiła na mnie duże wrażenie. Nie ma w sobie nic z nowoczesności... czysty relikwyt dawnych czasów. Można wyobrazić ją sobie w pałacu dożów albo jako Lukrecję Borgię.

Pułkownik szarpnął nerwowo kierownicą, a pan Satterthwaite nagle zamilkł. Zastanawiał się, co za fatalny zbieg okoliczności przywiódł mu na usta imię Lukrecji Borgii. W tej sytuacji...

— Dwigton nie został chyba otruty, prawda? — spytał. Melrose spojrział na niego z ukosa, nieco zdziwiony.

— Dlaczego o to pytasz?

— Och... sam nie wiem. — Pan Satterthwaite był speszony.

— Ja... po prostu przyszło mi to do głowy.

— Nie, nie został otruty — powiedział Melrose pośpiesznie. — Jeśli chcesz wiedzieć, to roztrząskano mu czaszkę.

— Tęym narzędziem — mruknął Satterthwaite, kiwając głową.

— Nie mów tak, jak w tych cholernych powieściach detektywistycznych, Satterthwaite. Dwigton został uderzony statuetką z brązu.

— Och — powiedział pan Satterthwaite i znów zamilkł.

— Czy wiesz coś na temat człowieka, który nazywa się Paul Delangua? — spytał Melrose po chwili.

— Owszem. Przystojny młodzieniec.

— Zapewne kobiety za takiego go uważają — mruknął pułkownik.

— Nie lubisz go?

— Nie.

— Moim zdaniem powinieneś go lubić. Przecież bardzo dobrze jeździ konno.

— Jak cudzoziemiec na pokazie hipicznym. Zna mnóstwo zręcznych sztuczek.

Satterthwaite stłumił uśmiech. Biedny, stary Melrose miał tak bardzo brytyjskie poglądy. Sam uważał się za kosmopolitę i ksenofobia jego rodaków często budziła w nim odruch protestu.

— Czy przebywa gdzieś w tych stronach? — spytał.

— Zatrzymał się u Dwigtonów w Alderway. Mówią, że przed tygodniem *sir* James go wyrzucił.

— Dlaczego?

— Podobno przyłapał go in flagranti ze swoją żoną. Co, u diabła...

Samochód gwałtownie zjechał na pobocze i w coś uderzył.

— To najbardziej niebezpieczne skrzyżowanie w Anglii — oznajmił Melrose. — Tak czy owak ten drugi kierowca powinien był nacisnąć klakson. Jesteśmy na głównej drodze. Mam wrażenie, że jego samochód ucierpiał bardziej niż nasz.

Wyskoczył z samochodu i podszedł do człowieka, który wysiadł z drugiego pojazdu. Do uszu Satterthwaite'a dotarły urywki rozmowy.

— To wyłącznie moja wina — mówił nieznajomy. — Ale niezbyt dobrze znam tę okolicę, a tam nie ma absolutnie żadnego znaku informującego, że wjeżdża się na główną drogę.

Udobruchany pułkownik zdobył się na uprzejmą odpowiedź. Obaj panowie pochylili się nad samochodem nieznanego, który oglądał już jego szofer. Rozmowa stała się bardzo fachowa.

— Obawiam się, że naprawa potrwa z pół godziny — powiedział w końcu nieznanomy. — Ale nie chcę pana zatrzymywać. Cieszę się, że pański samochód umknął większych uszkodzeń.

— W gruncie rzeczy... — zaczął pułkownik, i przerwał. Pan Satterthwaite energicznie wyskoczył z samochodu i uściśnął dłoń nieznanego.

— No proszę! Wydawało mi się, że rozpoznaję pański głos — rzekł podniecony. — Cóż za niezwykle spotkanie. Cóż za zadziwiający zbieg okoliczności.

— Jak to...? — wykrztusił pułkownik Melrose.

— Pan Harley Quin. Pułkownik Melrose. Z pewnością wielokrotnie wspominałem ci o panu Quinie?

Pułkownik Melrose zdawał się nie pamiętać tego faktu, ale z uprzejmym zainteresowaniem śledził dalszy przebieg rozmowy.

— Nie widziałem pana od... — paplał radośnie Satterthwaite — niech pomyślę...

— Od wieczora, który spędziliśmy Pod Błazeńską Czapką — odparł Quin.

— Pod Błazeńską Czapką? — spytał pułkownik.

— To gospoda — wyjaśnił pan Satterthwaite.

— Cóż za niezwykła nazwa dla gospody.

— Bardzo stara nazwa — oznajmił Quin. — Proszę pamiętać, że w dawnych czasach było w Anglii więcej błaznów niż dziś.

— Myślę, że ma pan rację — powiedział wymijająco Melrose, mrużąc oczy. Blask świateł obu samochodów sprawił, że przez moment miał wrażenie, iż Quin ubrany jest w błazeński strój. Ale było to tylko złudzenie.

— Nie możemy zostawić pana tu, na środku drogi — ciągnął Satterthwaite. — Pojedźcie pan z nami. W zupełności wystarczy miejsca dla nas trzech, prawda, Melrose?

— Oczywiście — odparł z wahaniem pułkownik. — Chodzi tylko o to, że mamy do załatwienia pewną sprawę. Prawda, Satterthwaite?

Satterthwaite stał bez ruchu. Przyszedł mu na myśl pewien pomysł. Nerwowo kiwnął głową.

— Nie — zawołał. — Powinienem był to wiedzieć! W sprawach, które dotyczą pana, Quin, nie ma przypadków. Nieprzypadkowo spotkaliśmy się dziś na tym skrzyżowaniu.

Pułkownik Melrose spojrział ze zdziwieniem na swego przyjaciela. Satterthwaite złapał go za ramię.

— Pamiętasz, co ci mówiłem... o naszym znajomym, Dereku Capelu? O motywie jego samobójstwa, którego nikt nie był w stanie odgadnąć? To właśnie pan Quin rozwiązał tę zagadkę... a od tamtej pory jeszcze wiele innych. Odkrywa fakty, które rzucają się w oczy, ale nikt ich nie dostrzega. Jest wspaniały.

— Drogi Satterthwaite, zawstydza mnie pan — powiedział Quin z uśmiechem. — O ile pamiętam, to pan dokonał wszystkich tych odkryć, a nie ja.

— Zostały dokonane dzięki pańskiej obecności — odparł Satterthwaite z głębokim przekonaniem.

— No cóż — powiedział pułkownik Melrose, odchrząkując. — Nie traćmy już czasu. Ruszajmy.

Usiadł za kierownicą. Nie był zbyt zadowolony z towarzystwa nieznanego, które narzucił mu Satterthwaite, ale nie miał żadnej przekonującej wymówki, a poza tym chciał jak najprędzej dotrzeć do Alderway.

Satterthwaite nakłonił Quina, by usiadł obok kierowcy, a sam zajął miejsce przy drzwiach. Samochód był przestronny, więc zmieścili się bez trudu.

— A zatem interesuje pana zbrodnia, panie Quin? — spytał pułkownik, usiłując nawiązać uprzejmą rozmowę.

— Nie, takie stwierdzenie byłoby niezbyt precyzyjne.

— A więc co?

— Proszę zapytać pana Satterthwaite'a — odparł Quin z uśmiechem. — Jest bardzo byстрыm obserwatorem.

— Sądę — powiedział wolno Satterthwaite — mogę się oczywiście mylić, ale sądę, że... pana Quina interesują... kochankowie.

Wymawiając to ostatnie słowo, którego żaden Anglik nie potrafi wymówić bez zażenowania, lekko się zaczerwienił. Wypowiedział je przeproszającym tonem i jakby w cudzoziemskiej.

— No, no! — zawołał wstrząśnięty pułkownik i zamilkł.

Pomyślał w duchu, że przyjaciel Satterthwaite'a jest bardzo dziwnym jegomościem. Zerknął na niego z ukosa. Wyglądał na zupełnie normalnego młodego człowieka. Miał dość ciemną cerę, ale nie wydawał się cudzoziemcem.

— A teraz — zaczął poważnie pan Satterthwaite — muszę opowiedzieć wam wszystko o tym rodzie.

Mówił przez jakieś dziesięć minut. Siedząc w mroku i pędząc przez ciemności nocy czuł w sobie upajającą moc. Cóż z tego, że był tylko obserwatorem życia? Miał dar wymowy, był mistrzem elokwencji, potrafił układać słowa w logiczną konstrukcję — dziwną renesansową konstrukcję mieszczącą w sobie piękność Laury Dwigton i tajemniczość Paula Delangua, którego kobiety uważały za przystojnego.

Tłem jego opowieści było Alderway, które istniało od czasów Henryka VII, a jak twierdzili niektórzy, nawet wcześniej. Opisał strzyżone cisy, starą stodołę ze spadzistym dachem i staw, w którym mnisi hodowali postne karpie, a potem stwierdził, że Alderway jest typowo angielską posiadłością ziemską.

Kilkoma zręcznymi pociągnięciami pędzla odmalował portret *sir* Jamesa Dwigtona, prawdziwego potomka starego rodu De Wittonów, którzy przed laty wyciskali pieniądze z ziemi i zamykali je w skrzyniach, dzięki czemu nigdy, nawet w najcięższych czasach, nie popadli w ubóstwo.

W końcu zamilkł. Od początku wyczuwał przychylność swych słuchaczy. Teraz czekał na należne mu pochwały. I doczekał się.

— Jest pan artystą, pan Satterthwaite.

— Robię co w mojej mocy — odparł skromnie.

Skręcili w bramę wjazdową i zatrzymali się przed frontowym wejściem. Jakiś policjant zbiegł pospiesznie po schodach, by ich powitać.

— Dobry wieczór, *sir*. Inspektor Curtis jest w bibliotece.

— Dobry wieczór.

Melrose wbiegł po schodach, a dwaj jego towarzysze podążyli za nim. Kiedy wszyscy trzej szli przez obszerny hol, zza drzwi wyjrzał lekliwie niemłody lokaj. Melrose kiwnął mu głową.

— Dobry wieczór, Miles. To smutna sprawa.

— W rzeczy samej — odparł lokaj drżącym głosem. — Wprost nie mogę w to uwierzyć, *sir*. Pomyśleć, że ktoś zabił naszego pana.

— Tak, tak — przerwał mu Melrose. — Niebawem z tobą porozmawiam.

Wszedł do biblioteki. Potężnie zbudowany inspektor powitał go z szacunkiem.

— Paskudna sprawa, *sir*. Niczego nie dotykałem. Na narzędziu zbrodni nie ma żadnych odcisków palców. Ten, kto to zrobił, znał się na rzeczy.

Potem, kiedy przyszedłem sprzątnąć po posiłku, zażądał, by przysłać do niego Jenningsa... to jego służący, *sir*.

— O której to było?

— Jakieś dziesięć po szóstej, *sir*.

— I co dalej?

— Zawiadomiłem Jenningsa, *sir*. Dopiero kiedy przyszedłem tu o siódmej, by zamknąć okna i zasunąć kotary, zobaczyłem...

— Tak, tak — przerwał mu Melrose — nie musicie o tym mówić. Nie dotykaliście ciała ani niczego nie ruszaliście, prawda?

— Och! Nie, *sir*! Najszybciej jak mogłem poszedłem do telefonu i zadzwoniłem na policję.

— A potem?

— Powiedziałem Jane... pokojówce jaśnie pani, *sir*... by przekazała jej tę wiadomość.

— Nie widzieliście swojej pani przez cały dzisiejszy wieczór?

Pułkownik Melrose zadał to pytanie dość zdawkowym tonem, ale wrażliwy słuch Satterthwaite'a wyczuł w jego słowach niepokój.

— Właściwie nie, *sir*. Od tego tragicznego wydarzenia jaśnie pani przebywała w swoim pokoju.

— Czy widzieliście ją wcześniej? — spytał ostro Melrose. Wszyscy obecni w pokoju zauważyli, że lokaj zawahał się, zanim udzielił odpowiedzi.

— Tylko przelotnie, *sir*. Kiedy schodziła po schodach.

— Czy wchodziła tutaj? Satterthwaite wstrzymał oddech.

— Myślę... chyba tak, *sir*.

— O której to było?

Zapadła cisza. Satterthwaite zastanawiał się, czy starzec zdaje sobie sprawę, jak ważna jest jego odpowiedź.

— Około wpół do siódmej, *sir*.

Pułkownik Melrose wciągnął głęboko powietrze.

— To wszystko, dziękuję. Przyślij do mnie Jenningsa, dobrze?

Jennings zjawił się natychmiast. Miał wąską twarz i koci chód. Robił wrażenie przebiegłego i tajemniczego.

Satterthwaite pomyślał, że jest to człowiek, który z łatwością mógłby zamordować swego pana, gdyby miał pewność, iż ujdzie mu to bezkarnie.

Słuchał uważnie jego odpowiedzi na pytania pułkownika. Ale relacja Jenningsa nie budziła wątpliwości. Oznajmił, że przyniósł swemu panu skórzane pantofle i zabrał jego buty do gry w golfa.

— Co zrobiliście potem, Jennings?

— Wróciłem do pokoju dla służby, *sir*.

— O której wyszliście od pana?

— Jakiś kwadrans po szóstej, *sir*.

— A gdzie byliście o wpół do siódmej?

— W pokoju dla służby, *sir*.

Pułkownik Melrose odprawił Jenningsa ruchem głowy. Potem spojrział pytająco na Curtisa.

— Zgadza się, *sir*, sprawdziłem to. Przebywał w pokoju dla służby mniej więcej od szóstej dwadzieścia do siódmej.

— Więc to go wyklucza — powiedział Melrose z lekkim żalem w głosie. — Poza tym nie miał motywu.

Spojrzeni na siebie ze zrozumieniem. Rozległo się pukanie do drzwi.

— Proszę wejść! — zawołał pułkownik.

W progu stała wyraźnie wystraszona pokojówka.

— Jaśnie pani usłyszała, że jest tu pułkownik Melrose, i chciałyby się z nim zobaczyć.

— Oczywiście — powiedział Melrose. — Już idę. Czy możesz mnie do niej zaprowadzić?

Czyjaś ręka odsunęła dziewczynę na bok i w drzwiach ukazała się Laura Dwigton. Wyglądała jak przybysz z innego świata.

Miała na sobie obcisłą, stylową suknię wizytową z bladoniebieskiego brokatu. Jej kasztanowe włosy były rozdzielone na środku głowy i związane na karku w prosty węzeł. Lady Dwigton, świadoma własnego stylu, nigdy nie chodziła do fryzjera.

Jedną ręką opierała się o framugę drzwi. W drugiej trzymała jakąś książkę.

Satterthwaite pomyślał, że wygląda jak Madonna ze starych włoskich obrazów.

Stała kołysząc się lekko z boku na bok. Pułkownik Melrose ruszył w jej stronę energicznym krokiem.

— Przyszłam, by powiedzieć panu... by powiedzieć, że...

Miała niski, głęboki głos. Satterthwaite był tak zachwycony dramatycznym nastrojem tej sceny, że zapomniał o jej rzeczywistości.

— Proszę, lady Dwigton... — Melrose podał jej ramię, by ją podtrzymać. Poprowadził ją przez hol do małego przedpokoju, którego ściany obite były wyblakłym jedwabiem. Quin i Satterthwaite podążyli za nimi. Lady Dwigton opadła na niską kanapę, oparła głowę o rdzawą poduszkę i zamknęła oczy. Trzej mężczyźni przyglądali jej się z zaciekawieniem. Nagle otworzyła oczy i wyprostowała się.

— Zabiłam go — oznajmiła bardzo cicho. — To właśnie przyszłam panu powiedzieć. Zabiłam go!

Nastąpiła chwila śmiertelnej ciszy. Serce Satterthwaite'a zamarło.

— Lady Dwigton — zaczął Melrose. — Przeżyła pani wielki szok... ma pani rozstrojone nerwy. Sądzę, że nie zdaje sobie pani sprawy z tego, co mówi.

— Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, co mówię. To ja go zastrzeliłam.

Dwaj z obecnych w pokoju mężczyzn wzięli głęboki oddech, trzeci nie wydał żadnego dźwięku. Laura Dwigton jeszcze bardziej wychyliła się do przodu.

— Czy pan nie rozumie? Zesłam na dół i zastrzeliłam go. Przyznaję się do tego.

Książka, którą trzymała w ręku, upadła z łoskotem na podłogę. Był w niej nóż do papieru w kształcie sztyletu z rękojeścią ozdobioną klejnotami. Satterthwaite podniósł go machinalnie i położył na stole.

To niebezpieczna zabawka, pomyślał. Można tym zabić człowieka.

— A więc... — spytała Laura Dwigton zniecierpliwiona — co zamierza pan w tej sprawie zrobić? Aresztować mnie? Zabrać do więzienia?

Pułkownik Melrose z trudem odzyskał głos.

— To, co pani powiedziała, jest bardzo poważnym wyznaniem, lady Dwigton. Muszę poprosić, by udała się pani do swego pokoju i pozostała w nim, dopóki... nie podejmę pewnych kroków.

Kiwnęła głową i wstała. Była już zupełnie spokojna, wyniosła i obojętna.

— Co zrobiła pani z rewolwerem, lady Dwigton? — spytał Quin, kiedy ruszyła w kierunku drzwi.

Przez jej twarz przemknął cień niepewności.

— Ja... upuściłam go w bibliotece na podłogę. Nie, chyba wyrzuciłam go przez okno... Och! Nie mogę sobie przypomnieć. Co za różnica? Nie bardzo wiedziałam, co robię. To nie ma znaczenia, prawda?

— Nie — odparł Quin. — Sądzę, że nie.

Spojrzała na niego z zakłopotaniem, a w jej oczach pojawił się błysk niepokoju. Potem odrzuciła głowę do tyłu i pełnym godności krokiem wyszła z pokoju. Satterthwaite pospieszył za nią. Czuł, że kobieta w każdej chwili może upaść. Ale była już na półpiętrze i nie przejawiała żadnych oznak wcześniejszej słabości. Wystraszona pokojówka stała u podnóża schodów.

— Zaopiekuj się panią — polecił jej władcym tonem Satterthwaite.

— Dobrze, *sir*. — Dziewczyna miała już ruszyć za postacią w niebieskiej sukni, ale zawahała się i spytała: — Och, proszę mi powiedzieć, *sir*, chyba go nie podejrzewają, prawda?

— Kogo?

— Jenningsa, *sir*. Och! Doprawdy, *sir*, on nie skrzywdziłby nawet muchy.

— Jenningsa? Nie, ależ skąd. A teraz już idź i zaopiekuj się panią.

— Dobrze, *sir*.

Dziewczyna szybko wbiegła po schodach. Satterthwaite wrócił do pokoju.

— Niech mnie diabli porwą — powiedział pułkownik Melrose z rozdrażnieniem. — Ta sprawa jest bardziej skomplikowana niż się wydaje. Lady Dwighton zachowuje się tak mądrze jak bohaterki romansów.

— Tak, to zupełnie nierealne — zgodził się Satterthwaite. — ? Dokładnie jak w teatrze.

— Pan uwielbia dramaty, prawda? — powiedział Quin, wając głową. — Jest pan człowiekiem, który docenia dobre aktorstwo.

Satterthwaite spojrzał na niego surowo.

Nastąpiła chwila ciszy, którą zakłócił jakiś odległy dźwięk.

— Brzmi jak strzał — orzekł pułkownik Melrose. — To chyba jakiś gajowy. Najprawdopodobniej właśnie taki odgłos usłyszała lady Dwighton. Być może zeszła na dół, by sprawdzić, co się stało. Nie zbliżyła się do ciała i nie obejrzała go. Natychmiast wyciągnęła pochopny wniosek...

— Pan Delangua, *sir* — oznajmił stary lokaj, stając pokornie w drzwiach.

— Słucham? — spytał Melrose. — Co się stało?

— Przyszedł pan Delangua, *sir*, i chciałby z panem porozmawiać.

Pułkownik Melrose odchylił się do tyłu na krześle.

— Wprowadź go — powiedział z ponurą miną.

W chwilę później Paul Delangua stanął na progu pokoju. Jak wcześniej napomknął pułkownik, było w nim coś cudzoziemskiego. Poruszał się ze swobodnym wdziękiem, miał śniadą ujmującą twarz i nieco zbyt blisko osadzone oczy. Wyglądał jak jakaś renesansowa postać. On i Laura Dwighton kojarzyli się z tą samą epoką.

— Dobry wieczór panom — powitał ich, składając teatralny ukłon.

— Nie wiem, co pana tu sprowadza, panie Delangua — powiedział pułkownik Melrose szorstko — ale jeśli nie ma to nic wspólnego ze sprawą, którą właśnie badamy...

— Wręcz przeciwnie — przerwał mu Delangua ze śmiechem — ma wiele wspólnego.

— Co to znaczy?

— To znaczy — powiedział spokojnie Delangua — że przyszedłem przyznać się do zamordowania *sir* Jamesa Dwigtona.

— Czy zdaje sobie pan sprawę z tego, co mówi? — spytał Melrose z powagą.

— Doskonale. — Młody mężczyzna zaczął się uważnie wpatrywać w biurko.

— Nie rozumiem...

— Nie rozumie pan, dlaczego przyznaję się do winy? Może pan to nazwać wyrzutami sumienia... niech pan to nazwie, jak się panu podoba. Pchnąłem go nożem... może pan być tego zupełnie pewien. — Ruchem głowy wskazał biurko.

— Widzę, że macie narzędzie zbrodni. Niezwykle poręczny przedmiot. Niestety, lady Dwigton zostawiła go w książce, a ja przypadkiem go zauważyłem.

— Chwileczkę — powiedział pułkownik Melrose. — Czy mam rozumieć, że przyznaje się pan do zamordowania *sir* Jamesa tym narzędziem? — Uniósł sztylet wysoko w górę.

— Zgadza się. Wślizgnąłem się ukradkiem przez okno. *Sir* James siedział odwrócony do mnie plecami. To było bardzo proste. Potem wyszedłem z pokoju tą samą drogą.

— Przez okno?

— Oczywiście.

— O której to było?

— Niech się zastanowię — powiedział Delangua po chwili wahania — ...rozmawiałem z dozorczą... kwadrans po szóstej. Usłyszałem bicie kościelnych dzwonów. Musiało to być... no cóż, powiedzmy, gdzieś około wpół do siódmej.

— To się zgadza, młody człowieku — oznajmił pułkownik z posepnym uśmiechem. — O tej właśnie porze popełniono zbrodnię. Może już pan o tym słyszał? Ale tak czy owak to niezwykle dziwne morderstwo!

— Dlaczego?

— Ponieważ wiele osób przyznaje się do0jego popełnienia — wyjaśnił pułkownik.

Delangua gwałtownie wciągnął powietrze.

— A kto jeszcze się przyznał? — spytał, bezskutecznie usiłując powstrzymać drżenie głosu.

— Lady Dwighton.

Delangua odchylił głowę do tyłu i roześmiał się z przymusem.

— Lady Dwighton łatwo wpada w histerię — oznajmił obojętnie. — Na pańskim miejscu nie przywiązywałbym najmniejszej wagi do tego, co ona mówi.

— Ma pan rację — powiedział Melrose. — Ale jest jeszcze jedna dziwna sprawa, dotycząca tego morderstwa.

— Jaka?

— No cóż... — zaczął pułkownik. — Lady Dwighton przyznała się do zastrzelenia *sir* Jamesa, a pan do zasztyletowania go. Ale szczęśliwie dla was obojga, on nie został ani zastrzelony, ani zasztyletowany. Morderca roztrzaskał mu czaszkę.

— Mój Boże! — zawołał Delangua. — Ale przecież nie mogła zrobić tego kobieta...

Urwał, zagryzając wargi. Melrose pokiwał głową, a na jego twarzy pojawił lekki uśmiech.

— Często czytałem o takich przypadkach — powiedział.

— Nigdy jednak czegoś podobnego nie doświadczyłem.

— Czego?

— Żeby para młodych idiotów przyznawała się do zbrodni, myśląc, że popełniła ją ta druga osoba — wyjaśnił Melrose.

— Musimy więc teraz zacząć wszystko od nowa.

— Służący! — zawołał Satterthwaite. — Ta dziewczyna... nie zwróciłem na to wtedy uwagi. — Przerwał, by uporządkować swoje domysły. — Obawiała się, że go podejrzewamy. Musiał więc mieć jakiś motyw, o którym ona wie, ale my nie.

Pułkownik Melrose zmarszczył czoło, a potem zadzwonił na służbę. Kiedy zjawił się lokaj, powiedział:

— Poprosz lady Dwighton, by zechciała ponownie zejść na dół.

Czekali na nią w milczeniu. Kiedy zobaczyła Paula Delangua, zachwiała się i wyciągnęła rękę, by odzyskać równowagę. Pułkownik Melrose pospieszył jej z pomocą.

— Wszystko w porządku, lady Dwighton. Proszę się nie denerwować.

— Nie rozumiem. Co tu robi pan Delangua? Delangua podszedł do niej.

— Lauro... Lauro... dlaczego to zrobiłaś?

— Co?

— Wiem. Zrobiłaś to ze względu na mnie... bo myślałaś, że... Zapewne był to naturalny odruch. Och! Ty aniele!

Pułkownik Melrose chrząknął. Nie lubił okazywania uczuć i nie cierpiał tak zwanych scen.

— Pozwoli pani, lady Dwighton, że coś powiem. Zarówno pani, jak i pan Delangua macie szczęście. On właśnie przyszedł, by „przyznać się” do popełnienia tego morderstwa... och, wszystko w porządku, on tego nie zrobił! Ale my chcemy poznać prawdę. Dość już tych krętactw. Lokaj twierdzi, że o wpół do siódmej weszła pani do biblioteki, czy tak?

Laura spojrzała na Paula Delangua, który kiwnął głową.

— Mów prawdę, Lauro — poprosił. — Tego nam teraz potrzeba.

— Dobrze — oznajmiła, biorąc głęboki oddech.

Opadła na krzesło, które podsunął jej pospiesznie Satterthwaite.

— Zeszłam na dół. Otworzyłam drzwi biblioteki i zobaczyłam...

Przerwała i nerwowo przełknęła ślinę. Satterthwaite pochylił się i chcąc dodać jej odwagi poklepał ją po ręku.

— Dobrze, już dobrze — powiedział. — Więc co pani zobaczyła?

— Mojego męża, który leżał bezwładnie na biurku. Widziałam jego głowę... krew... och!

Ukryła twarz w dłoniach.

— Przepraszam, lady Dwighton — powiedział Melrose. — Pomyślała pani, że zastrzelił go pan Delangua?

Kiwnęła potakująco głową.

— Wybacz mi, Paul — zaczęła przeproszającym tonem. — Ale mówiłeś... mówiłeś, że...

— Że zastrzelę go jak psa — dokończył posępnie Delangua. — Pamiętam. To było tego dnia, w którym odkryłem, że traktuje cię brutalnie.

Pułkownik Melrose z uporem wrócił do tematu.

— Czy mam rozumieć, lady Dwighton, że poszła pani z powrotem na górę, nic nikomu nie mówiąc? Nie musimy wnikać w pani motyw. Nie dotykała pani ciała ani nie podchodziła do biurka?

— Nie, nie — odparta, wzdrygając się. — Natychmiast wybiegłam z pokoju.

— Rozumiem, rozumiem. Czy wie pani, która była wtedy godzina?

— Kiedy wróciłam do swojej sypialni, było dokładnie wpół do siódmej.

— Zatem o godzinie... powiedzmy dwadzieścia pięć po szóstej, *sir* James już nie żył. — Melrose spojrzął na obecnych. — Ten zegar został... przestawiony, prawda? Podejrzewaliśmy to od samego początku. Nic łatwiejszego niż przesunąć wskazówki na żadaną godzinę, ale ktoś popełnił błąd przewracając go na bok. No cóż, wygląda na to, że grono podejrzanych zawęziło się do lokaja i służącego, ale ja nie sądzę, by zrobił to lokaj. Proszę mi powiedzieć, lady Dwighton, czy ten Jennings żywił jakąś urazę do pani męża?

Laura oderwała dłonie od twarzy i uniosła głowę.

— Może niedokładnie urazę, lecz... no cóż, James zakomunikował mi dziś rano, że go zwolnił. Przyłapał go na drobnej kradzieży.

— Ach! Wreszcie coś mamy. Jennings został zwolniony bez referencji. To dla niego poważna sprawa.

— Wspominał pan o zegarze — powiedziała Laura Dwighton. — Istnieje pewna szansa... jeśli chce pan ustalić godzinę śmierci... James z pewnością miał przy sobie mały zegarek, którego używał przy grze w golfa. Może się nie rozbił, kiedy James upadł na biurko?

— To niezła myśl — oznajmił powoli pułkownik. — Obawiam się jednak, że... Curtis!

Inspektor kiwnął głową, a potem wyszedł z pokoju. Po minucie wrócił. Na jego dłoni leżał srebrny zegarek w kształcie piłeczki golfowej.

— Oto on, *sir* — powiedział — ale wątpię, by się nam na coś przydał. Te cacka są bardzo odporne na uderzenia.

Pułkownik wziął od niego zegarek i przyłożył go do ucha.

— Chyba mimo wszystko się zatrzymał — zauważył. Nacisnął kciukiem wieczko i koperta otworzyła się.

Szkiełko było pęknięte w poprzek.

— Ach! — zawołał triumfalnie.

Zegarek wskazywał dokładnie kwadrans po szóstej.

— Wyśmienite porto, pułkowniku Melrose — oznajmił Quin.

Było wpół do dziesiątej, a trzech panowie kończyli właśnie spóźnioną kolację w domu pułkownika. Satterthwaite był w doskonałym humorze.

— Miałem absolutną rację — powiedział, chichocząc. — Nie może pan temu zaprzeczyć, panie Quin. Zjawił się pan dziś wieczorem, by uratować dwoje niemądrych młodych ludzi, którzy uparli się, by założyć sobie stryczek na szyję.

— Tak pan uważa? — spytał Quin. — Ależ skąd? Przecież nic w tej sprawie nie zrobiłem.

— Jak się okazało, nie było to konieczne — przyznał pan Satterthwaite. — Ale mogło być. Niestety wisiało w powietrzu. Nie zapomnę chwili, w której lady Dwigton oznajmiła: „To ja go zabiłam”. Nigdy w życiu nie widziałem w teatrze sceny choćby w połowie tak dramatycznej.

— Jestem skłonny zgodzić się z panem — powiedział pan Quin.

— Zawsze sądziłem, że takie historie zdarzają się tylko w powieściach — oświadczył pułkownik, chyba już po raz dwudziesty tego wieczora.

— Doprawdy? — spytał Quin.

— Niech to diabli wezmą — zawołał Melrose, patrząc na niego. — Przecież wydarzyło się to dzisiaj.

— Zauważcie — wtrącił Satterthwaite, odchylając się do tyłu i sącząc porto — że lady Dwigton była wspaniała, naprawdę wspaniała, ale popełniła jeden błąd. Nie powinna była pochopnie zakładać, że jej mąż został zastrzelony. Delangua również zachował się jak głupiec, sądząc, że *sir* Jamesa zasztyletowano, tylko dlatego, że sztylet leżał przed nami na biurku. Ta, że lady Dwigton przyniosła go ze sobą, było zwykłym zbiegiem okoliczności.

— Tak pan sądzi? — spytał Quin.

— Gdyby poprzestali na przyznaniu się do zamordowania *sir* Jamesa, nie precyzując, w jaki sposób tego dokonali... — ciągnął Satterthwaite — jaki byłby tego rezultat?

— Pewnie by im uwierzono — powiedział Quin z zagadkowym uśmiechem.

— Cała ta sprawa dokładnie przypomina powieść — stwierdził pułkownik.

— Przypuszczam, że właśnie z powieści zaczerpnęli pomysł — oznajmił Quin.

— Być może — zgodził się Satterthwaite. — Książki kiedyś przeczytane powracają do nas w najbardziej niezwykły sposób. — Spojrzał na Quina. — Oczywiście, od samego początku zegar wyglądał bardzo podejrzanie. Nie wolno zapominać, jak łatwo można przesunąć wskazówki do przodu lub do tyłu.

— Do przodu — powtórzył pan Quin, kiwając głową, i przerwał, a potem dokończył: — Lub do tyłu.

W tonie jego głosu brzmiała nuta zachęty. Utkwił błyszczące, ciemne oczy w swym rozmówcy.

— Wskazówki zegara zostały przesunięte do przodu — oznajmił Satterthwaite. — Wiemy to.

— Doprawdy? — spytał Quin.

— Czy sądzi pan — zaczął powoli Satterthwaite, uważnie mu się przyglądając — że cofnięto wskazówki małego zegarka? Ależ to nie ma sensu. Po prostu niemożliwe.

— To nie jest niemożliwe — mruknął Quin.

— Ale... jest absurdalne. Komu miałoby to przynieść korzyść?

— Chyba tylko komuś, kto ma alibi na ten właśnie moment.

— Na Boga! — zawołał pułkownik. — Delangua powiedział, że dokładnie w tym czasie rozmawiał z dozorcą.

— Opisał nam to bardzo precyzyjnie — oznajmił Satterthwaite.

Popatrzyli na siebie. Mieli nieprzyjemne uczucie, że tracą grunt pod stopami. Fakty mieszały się, objawiając nowe i nieoczekiwane aspekty sprawy. A w samym centrum tego kalejdoskopu widniała śniada, uśmiechnięta twarz Quina.

— Ale w takim razie... — zaczął Melrose — ...w tej sytuacji...

— Wszystko wygląda inaczej — dokończył za niego popędliwy Satterthwaite. — Mamy do czynienia z podstępem... ale z podstępem wymierzonym przeciwko służącemu. Och, to niemożliwe! Nieprawdopodobne. Dlaczego oboje przyznali się do przestępstwa?

— Dlatego, że do tego momentu podejrzewał pan ich, prawda? — rzekł łagodnym, sennym głosem Quin. — Powiedział pan, pułkownik, że przypomina to panu powieść. Zacerpnęli z niej pomysł. Tak właśnie postępują niewinni bohaterowie. I dlatego uznał pan ich za niewinnych... przemawiała za nimi siła tradycji literackiej. Pan Satterthwaite przez cały czas twierdził, że kojarzy mu się to ze sztuką dramatyczną. Obaj mieliście rację. Sytuacja była absurdalna. Mówiliście to od samego początku, nie zdając sobie sprawy ze znaczenia własnych słów. Gdyby lady Dwighton i pan Delangua chcieli, by im uwierzono, opowiedzieliby znacznie bardziej wiarygodną historię.

Satterthwaite i pułkownik Melrose patrzyli na siebie bezradnie.

— To byłoby sprytnie — powiedział powoli Satterthwaite, — Diabolicznie sprytnie. Przyszło mi do głowy coś jeszcze. Lokaj wspomniał, że o siódmej wszedł do biblioteki, by zamknąć okna... musiał zatem przypuszczać, że są otwarte.

— Tą właśnie drogą Delangua dostał się do domu — oznajmił Quin. — Zamordował *sir* Jamesa jednym ciosem, a potem razem z lady Dwighton zrobili to, co zaplanowali...

Spojrzał na Satterthwaite'a, zachęcając go do odtworzenia tej sceny.

— Rozbili zegar — zaczął pan Satterthwaite po chwili wahania — i położyli go na boku. Tak. Przesunęli wskazówki małego zegarka i stłukli jego szkiełko. Następnie on wyszedł przez okno, a ona zamknęła je za nim. Ale nie rozumiem jednej rzeczy. Po co w ogóle zawracali sobie głowę zegarkiem? Dlaczego po prostu nie cofnęli wskazówek zegara?

— Zegar od razu rzucał się w oczy — powiedział Quin.

— Każdy mógł przejrzeć tak oczywisty podstęp.

— Ale ten wybieg z zegarkiem mógł pozostać nie zauważony. Przecież tylko czysty przypadek zrządził, że w ogóle o nim pomyśleliśmy.

— Ależ nie — przypomniał pan Quin. — Proszę pamiętać, że to lady Dwighton podsunęła nam tę myśl.

Satterthwaite spojrzał na niego z podziwem.

— A w dodatku — oznajmił Quin sennym głosem — jedyną osobą, która nie mogła przeoczyć zegarka, był ten służący. Służący najlepiej wiedzą, co ich panowie noszą w kieszeniach. Gdyby to on przesunął wskazówki zegara, zrobiliby to samo z zegarkiem. Tych dwoje nie rozumie ludzkiej natury. W przeciwieństwie do pana Satterthwaite'a.

— Myliłem się — przyznał pokornie Satterthwaite, potrząsając głową. — Sądziłem, że zjawił się pan, by ich uratować.

— Bo to prawda — powiedział Quin. — Och! Nie tych dwoje... innych. Być może nie zwrócił pan uwagi na pokojówkę. Nie miała na sobie niebieskich brokatów ani nie odgrywała dramatycznej roli. Ale jest naprawdę ładną dziewczyną i, jak sądzę, bardzo kocha tego Jenningsa. Myślę, że wspólnymi siłami uda wam się uratować jej ukochanego od stryczka.

— Nie mamy żadnych dowodów — oznajmił posepnie pułkownik Melrose.

— Ale pan Satterthwaite je ma — powiedział Quin z uśmiechem.

— Ja? — spytał Satterthwaite ze zdziwieniem.

— Ma pan dowód, że ten zegarek nie został rozbity w kieszeni *sir* Jamesa — ciągnął Quin. — Nie można stłuc szkiełka nie otwierając koperty. Proszę spróbować i przekonać się. Ktoś wyjął zegarek z kieszeni denata, otworzył go, cofnął jego wskazówki, stłukł szkiełko, a potem zamknął kopertę i wsunął z powrotem na miejsce. Oni nie zauważyli braku kawałka szkła.

— Och! — zawołał Satterthwaite. Szybkim ruchem sięgnął do kieszeni swej kamizelki i wyciągnął z niej kawałek wypukłego szkiełka. Nadeszła jego chwila. — Mając ten dowód w rękę — powiedział Satterthwaite z powagą — uratuję człowieka od śmierci.

NAJUKOCHAŃSZY PIES

Elegancka pracownica Urzędu Zatrudnienia odchrząknęła i spojrzała badawczo na dziewczynę siedzącą po przeciwnej stronie jej biurka.

— Więc nie chce pani przyjąć tej posady? Propozycja nadeszła dopiero dziś rano. Bardzo ładny region Włoch, jak sądzę, wdowiec z trzyletnim synkiem i starsza pani, jego matka lub ciotka.

Joyce Lambert potrząsnęła głową.

— Nie mogę wyjechać z Anglii — powiedziała znużonym głosem — mam po temu powody. Gdyby mogła pani znaleźć mi posadę dochodzącej guwernantki...

Jej głos lekko drżał — bardzo lekko, ponieważ starała się nad nim panować. Patrzyła błagalnie ciemnoniebieskimi oczami na siedzącą naprzeciw kobietę.

— To bardzo trudne, pani Lambert. Mam zapotrzebowanie tylko na guwernantkę posiadającą wysokie kwalifikacje. Pani nie ma żadnych. A ja mam setki odpowiednich kandydatek... dosłownie setki. — Zawahała się. — Czy ma pani w domu kogoś, kogo nie może pani zostawić?

Joyce kiwnęła głową.

— Dziecko?

— Nie, nie dziecko. — Przez jej twarz przemknął blady uśmiech.

— No cóż, wielka szkoda. Oczywiście zrobię wszystko co w mojej mocy, ale...

Rozmowa najwyraźniej dobiegła końca. Joyce wstała. Wychodząc z dusznego biura na ulicę zagryzła wargi, by powstrzymać napływające do oczu łzy.

— Nie wolno ci — surowo upomniała samą siebie. — Nie zachowuj się jak płaczliwa idiotka. Wpadasz w panikę... to właśnie robisz... ulegasz panice. Z tego nigdy nie wynika nic dobrego. Jest dość wcześnie i wiele rzeczy może się jeszcze dziś wydarzyć. Tak czy owak ciotka Mary powinna okazać się pomocna na jakieś dwa tygodnie. Dalej, dziewczyno, pospiesz się i nie każ czekać swym zamożnym krewnym.

Ruszyła Edgware Road, potem poszła przez park do Victoria Street i skręciła do sklepu z wojskową odzieżą z demobilu. Weszła do holu i usiadła, zerkając na zegarek. Było dokładnie wpół do drugiej. Po pięciu minutach zbliżyła się do niej starsza dama obładowana paczkami.

— Ach! Jesteś, Joyce. Chyba trochę się spóźniłam. Obsługa w restauracji nie jest tak dobra jak dawniej. Z pewnością jadłaś już lunch, prawda?

— Owszem, dziękuję — odparła Joyce po chwili wahania.

— Ja zwykłam jadać go o wpół do pierwszej — oznajmiła ciotka Mary, sadowiąc się wygodnie ze swymi pakunkami. — Wtedy panuje mniejszy ruch i nie jest tak duszno. Mają tu doskonale jajka w sosie curry.

— Doprawdy? — spytała Joyce słabym głosem. Miała wrażenie, że nie znieśli myśli o parujących, rozkosznie pachnących jajkach w sosie curry! Stanowczo odepchnęła od siebie tę wizję.

— Mizernie wyglądasz, moje dziecko — orzekła ciotka Mary, która sama była dość korpulentna. — Nie ulegaj tej dzisiejszej modzie na niejedzenie mięsa. To nonsens. Kawalek smacznej pieczeni jeszcze nikomu nie zaszkodził.

„Wcale by mi teraz nie zaszkodził” — chciała powiedzieć Joyce, ale powstrzymała się. Modliła się w duchu, żeby ciotka Mary przestała mówić o jedzeniu. Och!, pomyślała, jakież to okrutne... wzbudzać czyjeś nadzieje umawiając się z nim o wpół do drugiej, a potem opowiadać o jajkach w sosie curry i plastrach pieczeni.

— No cóż, moja droga — zaczęła ciotka Mary. — Dostałam twój list. To bardzo ładnie z twojej strony, że trzymasz mnie za słowo. Powiedziałam, że zawsze chętnie ujrzę cię pod moim dachem. Tak się jednak składa, że złożono mi niezwykle korzystną ofertę wynajęcia

domu. Zbyt korzystną, by ją odrzucić; w dodatku przywożą własne naczynia i pościel. Pięć miesięcy. Przyjeżdżają w czwartek, a ja wybieram się do Harrogate. Reumatyzm okropnie mi ostatnio dokucza.

— Rozumiem — powiedziała Joyce. — Bardzo mi przykro.

— Więc będziemy musiały poczekać na następną okazję. Zawsze jesteś u mnie mile widziana, moja droga.

— Dziękuję, ciociu Mary.

— Wiesz, naprawdę wyglądasz mizernie — oznajmiła ciotka Mary, uważnie jej się przyglądając. — I jesteś strasznie chuda; skóra i kości, a co się stało z twoimi ślicznymi rumieńcami? Zawsze miałaś piękną, zdrową cerę. Pamiętaj o spacerach na świeżym powietrzu.

— Dziś dużo spacerowałam — odparła posępnie Joyce. Wstała. — Muszę już iść, ciociu Mary.

Wyruszyła w drogę powrotną — tym razem przez St. James Park, Berkeley Square, Oxford Street i Edgware Road. Minęła kilka przecznic i dotarła do punktu, w którym Edgware Road zmienia nazwę. Potem skręciła w bok, przeszła kilka zaśmieconych uliczek i stanęła przed zaniedbanym domem.

Przekręciła klucz w zamku i weszła do małego, dusznego przedpokoju. Wbiegła po schodach na najwyższe piętro. Spod drzwi, przed którymi się zatrzymała, dobiegły odgłosy węszenia, a po chwili seria radosnych pisków.

— Tak, kochany Terry... twoja pani wróciła do domu.

Kiedy otworzyła drzwi, rzucił się na nią biały, stary, bardzo kudłaty ostrowłosy terier o niepokojąco mętnych oczach. Joyce wzięła go na ręce i usiadła na podłodze.

— Mój drogi Terry! Drogi, najmilszy Terry. Kochaj swoją panią; bardzo kochaj swoją panią!

Terry usłuchał i ochoczo zaczął lizać ją po twarzy, uszach i szyi, przez cały czas machając zawzięcie kikutem swego obciętego ogona.

— Terry, kochany, co my zrobimy? Co się z nami stanie? Och! Kochany Terry, jestem taka zmęczona.

— No proszę — usłyszała za sobą szorstki głos. — Niech pani przestanie tulić i całować tego psa, bo mam dla pani filiżankę dobrej, gorącej herbaty.

— Och! Pani Barnes, jak to miło z pani strony.

Joyce podniosła się z podłogi. Pani Barnes była postawną, groźnie wyglądającą kobietą, ale pod tą powierzchownością dragona kryło się zaskakująco dobre serce.

— Filiżanka gorącej herbaty jeszcze nikomu nie zaszkodziła — oznajmiła pani Barnes, wyrażając opinię typową dla swej klasy.

Joyce z wdzięcznością sączyła herbatę. Właścicielka domu zerknęła na nią ukradkiem.

— Powiodło się, panienko... to znaczy, proszę pani? Joyce potrząsnęła głową i zrobiła posępną minę.

— Ach! — westchnęła pani Barnes. — No cóż, więc nie można powiedzieć, żeby był to szczęśliwy dzień.

Joyce spojrzała na nią przenikliwym wzrokiem.

— Och, pani Barnes... chyba nie ma pani na myśli... Pani Barnes ponuro pokiwała głową.

— Owszem... chodzi o mojego męża. Znow stracił pracę. Nie mam pojęcia, co teraz zrobimy.

— Och, pani Barnes... muszę... to znaczy chce pani...

— Ależ, kochana, proszę się nie martwić. Nie przeczę, że byłabym zadowolona, gdyby pani coś znalazła... ale skoro się nie udało... to trudno. Czy skończyła już pani tę herbatę? Zabiorę filiżankę.

— Nie, jeszcze nie.

— Ach! — powiedziała oskarżycielskim tonem pani Barnes. — Zamierza pani dać resztę temu piekielnemu psu... znam panią.

— Och, proszę, pani Barnes. Tylko mały łyk. Chyba nie ma pani nic przeciwko temu, prawda?

— Mój sprzeciw i tak na nic by się nie zdał. Pani oszalała na punkcie tego nieznośnego zwierzaka. Tak, jest tak, jak mówię... on taki właśnie jest. Dziś rano omal mnie nie ugryzł.

— Och, to niemożliwe, pani Barnes! Terry nie zrobiłby tego.

— Warczał na mnie i szczyrzył zęby. A ja chciałam tylko sprawdzić, czy nie da się czegoś zrobić z pani butami.

— On nie lubi, kiedy ktoś rusza moje rzeczy. Myśli, że powinien ich pilnować.

— No cóż, myślenie nie jest zajęciem dla psów. Powinien przebywać we właściwym miejscu, uwiązany na podwórku, by odstraszać włamywaczy. A to całe przytulanie! Powinna pani go uspić... takie jest moje zdanie.

— Nie, nie, nie! Nigdy. Przenigdy!

— Jak pani chce — powiedziała pani Barnes. Wzięła filiżankę ze stołu, podniosła z podłogi spodek, z którego Terry skończył właśnie chleptać swoją porcję, i majestatycznym krokiem wyszła z pokoju.

— Terry — szepnęła Joyce. — Chodź tu i porozmawiaj ze mną. Co my zrobimy, mój kochany piesku?

Usiadła wygodnie w trzeszczącym fotelu z Terryem na kolanach. Zdjęła kapelusz i odchyliła się do tyłu. Położyła sobie na ramionach łapy psa i pocałowała go czule w nos. Potem zaczęła do niego przemawiać łagodnym, cichym głosem, delikatnie miętosząc w palcach jego uszy.

— Co zrobimy w sprawie pani Barnes, Terry? Zalegamy jej za cztery tygodnie, a ona jest potulna jak baranek, Terry... taka dobra. Nie wyrzuci nas. Ale nie możemy wykorzystywać jej łagodności. Nie możemy tego robić. Dlaczego ten Barnes musiał stracić pracę? Nienawidzę go. Ciągle się upija. A skoro ktoś ciągle się upija, zazwyczaj jest bezrobotny. Ale ja się nie upijam, Terry, a też nie mam pracy. Nie zostawię cię, kochany piesku. Nie opuszczę cię. Nie mam nawet nikogo, z kim mogłabym cię zostawić... nikogo, kto byłby dla ciebie dobry. Starzejesz się, Terry... masz dwanaście lat... a nikt nie chce starego psa, który jest prawie ślepy, trochę głuchy, a w dodatku ma... tak, po prostu ma... paskudne usposobienie. Dla mnie jesteś czuły, ale nie wobec każdego zachowujesz się serdecznie, prawda? Warczysz. Bo wiesz, że świat obraca się przeciwko tobie. Mamy tylko siebie, prawda, kochany?

Terry polizał ją delikatnie po policzku.

— Powiedz coś, kochany piesku.

Terry wydał z siebie przeciągły skowyt, który zabrzmiał niemal jak westchnienie, a potem wtulił nos za ucho Joyce.

— Ufasz mi, prawda, mój śliczny? Wiesz, że nigdy cię nie opuszczę. Ale co my zrobimy? Sytuacja jest naprawdę trudna.

Usiadła wygodniej w fotelu i przymknęła oczy.

— Czy pamiętasz, Terry, szczęśliwe chwile, jakie przeżyliśmy razem? Ty, ja, Michael i mój tatuś. Och, Michael... Michael! To był jego pierwszy urlop i przed swym powrotem do Francji chciał mi dać prezent. A ja poprosiłam, żeby nie był rozrzutny. A potem pojechaliśmy na wieś... i wszystko było dla mnie takie zaskakujące. Poprosił, żebym wyjrzała przez okno, a tam byłeś ty, podskakiwałeś na ścieżce uwiązany na długiej smyczy. Ten zabawny człowiek, który cię przyprowadził, pachniał psami. A jak mówił: „To dobry nabytek. Niech pani na niego spojrzy, czy nie wygląda jak z obrazka? Powiedziałem do siebie: kiedy tylko pani i pan go zobaczą, od razu stwierdzą: Ten pies to dobry nabytek!” Powtarzał to tyle razy, że przez dłuższy czas nazywaliśmy cię „Nabytek”! Och, Terry, byłeś takim kochanym szczeniakiem. Przechylałeś łebek i machałeś swoim zabawnym ogonem! Michael wyjechał do

Francji, a ja miałam ciebie... najukochańszego psa na świecie. Razem czytaliśmy wszystkie listy od Michaela, prawda? Obwąchiwałeś je, a ja mówiłam: „To od pana”, i rozumiałeś to. Byliśmy tacy szczęśliwi... tak bardzo szczęśliwi. Ty, Michael i ja. A teraz Michael nie żyje, ty jesteś stary, a ja... ja nie mam już siły stawiać czoła rzeczywistości.

Terry polizał ją po twarzy.

— Byłeś przy mnie, kiedy przyszedł ten telegram. Gdybym nie miała ciebie, Terry... gdybym nie mogła na tobie się oprzeć...

Milczała przez kilka minut.

— I od tej pory zawsze byliśmy razem... na wozie i pod wozem, przeważnie pod wozem, prawda? A teraz znaleźliśmy się na dnie. Mamy tylko ciotki Michaela, które uważają, że dobrze mi się powodzi. Nie wiedzą, że on przegrał wszystkie pieniądze. Nie wolno nam nikomu o tym powiedzieć. Wtedy wcale się tym nie przejmowałam. Każdy ma jakieś wady. Kochał nas oboje, Terry, i tylko to się liczy. Jego krewni zawsze byli wrogo do niego nastawieni i mówili mu same przykre rzeczy. Ale my nie damy im takiej szansy. Chciałabym mieć jakichś własnych krewnych. Niedobrze nie mieć żadnej rodziny. Taka jestem zmęczona, Terry... i okropnie głodna. Nie mogę uwierzyć, że mam dopiero dwadzieścia dziewięć lat... czuję się na sześćdziesiąt dziewięć. Nie jestem naprawdę dzielna... tylko udaję. Przychodzą mi do głowy same głupie pomysły. Wczoraj poszłam pieszo aż na Ealing, żeby zobaczyć się z kuzynką Charlottą Green. Myślałam, że jeśli dotrę tam o wpół do pierwszej, zatrzyma mnie na lunchu. A potem, kiedy stanęłam przed jej domem, poczułam się jak żebraczka. Po prostu nie mogłam tam wejść. Więc wróciłam tutaj. I postąpiłam nierozsądnie. Albo powinno się być naprawdę pieczeniarem, albo w ogóle o tym nie myśleć. Chyba nie mam silnego charakteru.

Terry znów stęknął i wetknął swój czarny nos prosto w oko Joyce.

— Masz śliczny nos, Terry... zimny jak lody. Och, jak ja cię Kocham! Nie mogę się z tobą rozstać. Nie mogę się ciebie „pozbyć”, nie mogę... nie mogę... nie mogę...

Terry zawzięcie lizał ją swym ciepłym językiem.

— Dobrze to rozumiesz, mój piesku. Zrobiłbyś wszystko, żeby pomóc swojej pani, prawda?

Terry zeskoczył z jej kolan i powłókł się chwiejnym krokiem w kąt pokoju. Wrócił trzymając w pysku poobijaną miskę.

Joyce nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać.

— Tylko tyle potrafisz? To wszystko, co możesz zrobić dla swojej pani? Och, Terry... Terry... nikt nas nie rozłączy! Jestem gotowa na wszystko. Chyba naprawdę jestem gotowa na wszystko.

Usiadła na podłodze obok psa.

— Wiesz, Terry, to jest tak. Guwernantki ani osoby opiekujące się starszymi nie mogą mieć psów. Tylko mężatkom wolno mieć psy — małe, puszyste, drogie pieski, z którymi chodzą po zakupy... a jeśli ktoś woli starego, ślepego teriera... no cóż, dlaczego nie?

Rozchmurzyła się i w tym samym momencie ktoś zapukał dwa razy do drzwi frontowych.

— Listonosz. To ciekawe.

Zerwała się z podłogi i zbiegła po schodach. Wróciła z listem.

— To może być... Oby tylko... Rozdarła kopertę.

Droga Pani,

Przeprowadziliśmy dokładną ekspertyzę obrazu. Według nas nie jest to autentyczny Cuyp i w zasadzie nie posiada żadnej wartości.

*Z poważaniem,
Sloane & Ryder*

Joyce stała z listem w ręku.

— No właśnie — powiedziała zmienionym głosem. — Nie ma już na co liczyć. Ale my zawsze będziemy razem. Jest na to sposób... i nie będzie to żebranina. Kochany Terry, muszę wyjść. Zaraz wrócę.

Zbiegła po schodach do telefonu, który znajdował się w mrocznym zakątku przedpokoju. Poprosiła centralę o połączenie z pewnym numerem. W słuchawce odezwał się jakiś mężczyzna. Ton jego głosu zmienił się, kiedy zdał sobie sprawę, kto do niego dzwoni.

— Joyce, moja kochana. Chodź dziś ze mną na kolację, a potem na dancing.

— Nie mogę — odparła Joyce pogodnym tonem. — Nie mam się w co ubrać.

Uśmiechnęła się posepnie na myśl o pustych wieszakach w spróchniałej szafie.

— Co powiedziałaś na to, żebym zaraz do ciebie przyjechał? Jaki adres? Mój Boże, gdzie to jest? Widzę, że spuściłaś trochę z tonu, co?

— Całkowicie.

— No cóż, przynajmniej jesteś szczerą. Do zobaczenia.

W jakieś trzy kwadranse później samochód Arthura Hallidaya zatrzymał się przed jej domem. Przerazona pani Barnes zaprowadziła gościa na górę.

— Moja droga... cóż to za wstrętna nora. Co u licha zmusiło cię do zamieszkania w tej brudnej klitce?

— Duma i parę innych nieopłacalnych uczuć.

Mówiła dość obojętnym tonem, spoglądając chłodno na stojącego naprzeciw mężczyznę.

Wiele osób uważało Hallidaya za przystojnego. Był potężnie zbudowany, barczysty, miał jasne włosy, nieduże jasnyniebieskie oczy i wydatną szczękę.

Usiadł w trzeszczącym fotelu, który wskazała mu Joyce.

— No cóż — zaczął z zadumą. — Muszę przyznać, że życie dało ci twardą lekcję. Czy ta bestia gryzie?

— Nie, nie, on jest w porządku. Wytresowałam go na... psa obronnego.

Halliday mierzył ją od stóp do głów badawczym spojrzeniem.

— Widzę, że gotowa jesteś ustąpić, Joyce — powiedział cicho. — Czy o to chodzi?

Joyce kiwnęła głową.

— Mówiłem ci, moja droga. Zawsze osiągam w końcu to, czego chcę. Wiedziałem, że kiedyś zorientujesz się, co jest dla ciebie korzystne.

— Szczęśliwie się dla mnie składa, że nie zmieniłeś zdania — oznajmiła Joyce.

Spojrzał na nią podejrzliwie. Nigdy nie wiedział, do czego Joyce zmierza.

— Wyjdiesz za mnie?

— Kiedy tylko zechcesz — odparła, kiwając głową.

— Im prędzej, tym lepiej. — Ze śmiechem rozejrzał się po pokoju.

Joyce zaczerwieniła się.

— Ale mam pewien warunek.

— Warunek? — spytał nieufnie.

— Tak, mój pies. Musi zostać ze mną.

— To stare straszycło? Przecież możesz mieć psa, jakiego tylko zapragniesz. Nie musisz liczyć się z kosztami.

— Chcę Terry'ego.

— Och, dobrze. Niech będzie.

— Zdajesz sobie sprawę... — zaczęła Joyce, bacznie mu się przyglądając — ... że cię nie kocham, prawda? Nic a nic.

— To mnie wcale nie martwi. Nie jestem przesadnie wrażliwy. Ale, moja droga, nie próbuj żadnych sztuczek. Jeśli za mnie wyjdiesz, to masz postępować lojalnie.

Na policzkach Joyce pojawiły się rumieńce.

— Otrzymasz to, za co płacisz — oznajmiła.

— Może pocałowałabyś mnie teraz, co?

Podszedł do niej. Joyce stała, uśmiechając się. Wziął ją w ramiona i zaczął całować jej twarz, usta, szyję. Przyjmowała jego pieszczoty obojętnie, ale nie wrywała się. W końcu wypuścił ją z objęć.

— Dostaniesz ode mnie pierścionek — powiedział. — Co wolisz, brylanty czy perły?

— Rubin — odparła Joyce. — Możliwie jak największy... w kolorze krwi.

— To dziwny pomysł.

— Chciałabym, żeby kontrastował z tym małym, wysadzonym tylko kilkoma perełkami pierścionkiem zaręczynowym, na jaki mógł zdobyć się Michael.

— Zatem tym razem masz więcej szczęścia, co?

— Wyrażasz się w sposób zachwycająco trafny. Halliday wyszedł, chichocząc.

— Terry — powiedziała Joyce. — Poliz mnie... mocno... poliz mnie po całej twarzy i szyi... zwłaszcza po szyi.

Terry spełnił jej prośbę.

— Muszę bardzo intensywnie myśleć o czymś innym — szeptała z zadumą Joyce. — To chyba jedyny sposób. Nie zgadniesz, o czym myślałam... o dżemie. Powtarzałam sobie w myślach: „Truskawkowy, porzeczkowy, malinowy, śliwkowy”. Być może, Terry, szybko mu się znudzę. Taką mam nadzieję, a ty? Mówią, że po ślubie mężczyźni mają dosyć swych żon. Ale Michael nie miałby mnie dość... nigdy... nigdy... przenigdy... Och! Michael...

Następnego ranka Joyce wstała z łóżka z ciężkim sercem. Kiedy głęboko westchnęła, Terry, który spał w jej nogach, natychmiast się podniósł i czule ją polizał.

— Och, mój kochany piesku... mój kochany! Musimy przez to przejść. Chyba że wydarzy się coś niezwykłego. Kochany Terry, czy nie mógłbyś pomóc swojej pani? Wiem, że z pewnością zrobiłbyś to, gdybyś tylko mógł.

Pani Barnes przyniosła herbatę, chleb i masło.

— No, no, proszę pani, i pomyśleć, że zamierza pani wyjść za tego dżentelmena — pogratulowała Joyce z całego serca. — Przyjechał rollsem. Naprawdę. Kiedy mój mąż zobaczył, że przed naszym domem stoi rolls, od razu wytrzeźwiał. Coś podobnego, ten pies siedzi na parapecie.

— Lubi się wygrzewać na słońcu — oznajmiła Joyce. — Ale to dość niebezpieczne. Terry, chodź tu.

— Na pani miejscu skróciłabym jego cierpienia — powiedziała pani Barnes — i poprosiła tego dżentelmena, by kupił mi jednego z tych kudłatych piesków, które eleganckie damy noszą w mufkach.

Joyce uśmiechnęła się i znów zawołała swego ulubieńca. Terry podniósł się ociężale i w tym właśnie momencie z ulicy dobiegło ujadanie walczących psów. Terry wyciągnął szyję i kilka razy szczeknął z zapalem. Parapet był zniszczony i spróchniały. Przechylił się, a Terry, zbyt stary i zniedołężniały, by utrzymać równowagę, runął w dół.

Joyce, krzycząc jak oszalała, popędziła po schodach i wybiegła na ulicę. Po kilku sekundach klęczała obok Terry'ego. Pies skomlał żałośnie, a pozycja, w jakiej leżał, dowodziła, że doznał poważnych obrażeń. Joyce pochyliła się nad nim.

— Terry... kochany Terry... mój kochany piesku...

Terry bez większego powodzenia próbował pomachać ogonem.

— Terry, piesku... twoja pani pomoże ci... kochany piesku. Wokół nich zebrał się tłum, złożony głównie z małych chłopców.

— Wypadł z okna.

— To nie wygląda dobrze.

— Chyba ma złamany kręgosłup.

Joyce nie zwracała uwagi na to, co mówią.

— Pani Barnes, gdzie jest najbliższy weterynarz?

— Pan Jobling... na Merę Street... a jak go pani tam zawiezie?

— Taksówką.

— Proszę mi pozwolić — powiedział miłym głosem jakiś starszy pan, który wysiadł właśnie z taksówki. Przyklęknął obok Terry'ego i uniósł jego górną wargę, a potem obmacał dłońmi całe ciało psa.

— Obawiam się, że ma wewnętrzny krwotok — oznajmił. — Ale wszystkie kości są chyba całe. Lepiej zabierzmy go do weterynarza.

Wspólnie unieśli psa. Terry zaskomlał z bólu i wbił zęby w rękę Joyce.

— Terry... wszystko w porządku... wszystko w porządku, staruszk.

Położyli go w taksówce, która natychmiast ruszyła. Joyce z roztargnieniem owinęła rękę chusteczką do nosa. Terry, jakby w poczuciu winy, próbował ją polizać.

— Wiem, kochany, rozumiem. Nie chciałeś mi zrobić krzywdy. Nic się nie stało. Wszystko w porządku, Terry.

Pogłaskała go po głowie. Siedzący obok niej mężczyzna patrzył na nią w milczeniu.

Dość szybko dotarli na miejsce i zastali weterynarza w domu. Miał czerwoną twarz i nie budzący sympatii sposób bycia.

Obchodził się z Terryem niezbyt delikatnie, a Joyce obserwowała to z przerażeniem. Po jej twarzy spływały łzy.

— Wszystko dobrze, kochany piesku. Wszystko dobrze... — przemawiała do Terry'ego łagodnym, uspokajającym głosem.

— Nie jestem w stanie dokładnie określić rodzaju obrażeń — powiedział weterynarz, prostując się. — Należy przeprowadzić szczegółowe badania. Musi pani go tu zostawić.

— Och! Nie, nie mogę.

— To konieczne. Muszę zabrać go na dół. Zatelefonuję do pani za... powiedzmy... za pół godziny.

Joyce z ciężkim sercem dała w końcu za wygraną. Pocałowała Terry'ego w nos i zalewając się łzami, zeszła chwiejnym krokiem po schodach. Mężczyzna, który zaoferował jej swą pomoc, nadal stał na ulicy. Joyce zupełnie zapomniała o jego istnieniu.

— Taksówka czeka. Odwiozę panią.

— Wolałabym pójść piechotą — odparła, potrząsając głową.

— Więc pójdę z panią.

Zapłacił za taksówkę. Szli obok siebie w milczeniu. Joyce nie zdawała sobie sprawy z jego obecności.

— Pani nadgarstek. Trzeba go obejrzyć — powiedział, kiedy dotarli do domu pani Barnes.

— Och! To nic poważnego — oznajmiła, spoglądając na swoją rękę.

— Trzeba dokładnie przemyć ranę i zabandażować ją. Pójdę z panią na górę.

Wszedł z nią po schodach na najwyższe piętro. Przemył ranę i przewiązał ją czystą chusteczką do nosa.

— Terry nie chciał tego zrobić — powtarzała przez cały czas Joyce. — Nigdy, przenigdy, nie zrobiłby tego umyślnie. Po prostu nie zdawał sobie sprawy, że to moja ręka. Musiał okropnie cierpieć.

— Chyba tak.

— Może teraz znów zadają mu straszny ból?

— Jestem pewien, że robią dla niego wszystko, co w ich mocy. Kiedy weterynarz zatelefonuje, będzie pani mogła odebrać swego psa i zaopiekować się nim tutaj.

— Tak, oczywiście.

Nieznamomy zawahał się, a potem ruszył w kierunku drzwi.

— Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze — powiedział niezbyt przekonująco. — Do widzenia.

— Do widzenia.

Dopiero w chwilę później uświadomiła sobie, że starszy pan zachował się wobec niej bardzo życzliwie, a ona nawet mu za to nie podziękowała.

Zjawiała się pani Barnes z filiżanką w ręku.

— Moje biedactwo, oto gorąca herbata. Widzę, że jest pani kompletnie roztrzęsiona.

— Dziękuję, pani Barnes, ale nie mam ochoty na herbatę.

— Dobrze pani robi, kochana. Niech się pani tak nie denerwuje. Z psiakiem wszystko będzie w porządku, a nawet jeśli nie, to ten pan podaruje pani ślicznego nowego pieska.

— Niech pani przestanie, pani Barnes. Proszę tak nie mówić. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, wolałabym zostać sama.

— No cóż, nigdy w życiu... dzwoni telefon.

Joyce jak strzała zbiegła na dół. Podniosła słuchawkę. Pani Barnes, ciężko dysząc, podążyła za nią. — Tak... przy telefonie — mówiła Joyce. — Co? Och! Och! Tak. Tak, dziękuję za wiadomość.

Odłożyła słuchawkę. Kiedy odwróciła się w stronę pani Barnes, jej twarz przeraziła poczciwą kobietę. Wydawała się zupełnie pozbawiona życia i jakiegokolwiek wyrazu.

— Terry nie żyje, pani Barnes — oznajmiła. — Umarł beze mnie, w samotności.

Weszła na górę i bardzo zdecydowanym ruchem zatrzęsnęła drzwi swego pokoju.

— Coś podobnego... — powiedziała pani Barnes do ściany.

W pięć minut później wsunęła głowę do pokoju swej lokatorki. Joyce siedziała nieruchomo w fotelu. W jej oczach nie było śladu łez.

— Przyszedł pani adorator. Czy mam przysłać go na górę?

— Tak, bardzo proszę — odparła Joyce z błyskiem w oczach. — Chcę się z nim zobaczyć.

Halliday z hałasem wszedł do pokoju.

— Wszystko załatwione — oznajmił. — Nie traciłem czasu, co? Jestem gotów natychmiast zabrać cię z tego okropnego miejsca. Nie możesz tu zostać. No, ubieraj się.

— Nie ma potrzeby, Arthur.

— Jak to nie ma potrzeby? O co ci chodzi?

— Terry nie żyje. Nie muszę już za ciebie wychodzić.

— O czym ty mówisz?

— O moim psie... Terrym. On nie żyje. Zamierzałam wyjść za ciebie tylko po to... żeby się z nim nie rozstawać.

Halliday patrzył na nią, a jego twarz stawała się coraz bardziej czerwona.

— Jesteś obłąkana.

— Nie przeczę. Ludzie, którzy kochają psy, tacy właśnie są.

— Czy mówisz poważnie, że zamierzałaś za mnie wyjść tylko z powodu... Och, to absurdalne!

— A jak sądziłeś, dlaczego miałabym za ciebie wychodzić? Przecież wiesz, że cię nienawidzę.

— Byłaś gotowa za mnie wyjść, bo mogłem ci zapewnić wygodne życie... i nadal mogę to zrobić.

— Moim zdaniem — powiedziała Joyce — to jest jeszcze bardziej odrażający motyw niż mój. Tak czy owak, sprawa załatwiona. Nie wyjdę za ciebie!

— Czy zdajesz sobie sprawę, że traktujesz mnie cholernie obraźliwie?

Popatrzyła na niego krytycznie, ale w jej spojrzeniu był taki żar, że odruchowo się cofnęła.

— Nie sądzę. Słyszałam, jak mówiłeś, że lubisz czerpać z życia same przyjemności. Czerpałeś je moim kosztem. A to, że cię nie lubiłam, potęgowało jeszcze twoją satysfakcję. Wiedziałaś, że cię nienawidzę, i bawiło cię to. Kiedy pozwoliłam ci się wczoraj pocałować, byłeś rozczarowany, ponieważ nie odmówiłam ani nie wzdrygnęłam się. Masz w sobie coś brutalnego, coś okrutnego... znajdujesz przyjemność w zadawaniu innym bólu... Nikt nie jest

w stanie traktować cię tak obraźliwie, jak na to zasługujesz. A teraz, czy mógłbyś wynieść się z mojego pokoju? Chcę zostać sama.

— Co... co zamierzasz zrobić? — wyjąkał. — Przecież nie masz pieniędzy.

— To moja sprawa. Proszę, idź już.

— Jesteś diabolicą. Irytującą małą diabolicą. Jeszcze za mną zatęsknisz.

Joyce roześmiała się.

Niespodziewany wybuch śmiechu wzburzył go jeszcze bardziej. Chwiejnym krokiem zszedł na dół i odjechał.

Joyce westchnęła. Włożyła swój wytarty, filcowy czarny kapelusz i wyszła z domu. Mijała kolejne ulice jak we śnie, o niczym nie myśląc i niczego nie czując. Gdzieś w zakamarkach jej duszy czał się ból... ból, który wkrótce miał wybuchnąć ze wzmożoną siłą, ale w tym momencie jej zmysły były na szczęście przytępione.

Minąwszy Urząd Zatrudnienia zawahała się.

— Muszę coś przedsięwziąć — powiedziała do siebie. — Oczywiście, mogę skoczyć do rzeki. Często o tym myślałam. Po prostu skończyć ze wszystkim. Ale woda jest taka zimna i mokra. Nie jestem chyba dość odważna. Prawdę mówiąc, wcale nie jestem odważna.

Weszła do Urzędu Zatrudnienia.

— Dzień dobry, pani Lambert. Niestety, nie mamy żadnej posady dla dochodzącej guwernantki.

— To nie ma już znaczenia — powiedziała Joyce. — Teraz mogę przyjąć każdą pracę. Mój przyjaciel, z którym mieszkałam... odszedł.

— Zatem bierze pani pod uwagę wyjazd za granicę?

Joyce kiwnęła głową.

— Owszem i to możliwie jak najdalej stąd.

— Tak się złożyło, że pan Allaby właśnie tu jest i przeprowadza rozmowy z kandydatkami. Zaprowadzę panią do niego.

Po chwili Joyce siedziała w małym pokoju i odpowiadała na pytania pana Allaby. Mężczyzna, z którym rozmawiała, wydawał jej się znajomy, ale nie potrafiła go skojarzyć. Nagle, uświadomiwszy sobie, że jego ostatnie pytanie jest dość nietypowe, oprzytomniała.

— Czy łatwo znajduje pani wspólny język ze starszymi damami? — spytał pan Allaby.

Joyce uśmiechnęła się mimo woli.

— Chyba tak.

— Widzi pani, moja ciotka, która ze mną mieszka, jest dość trudną osobą. Bardzo mnie kocha i w istocie jest niezwykle miła, ale przypuszczam, że młode kobiety mogą uważać ją niekiedy za uciążliwą.

— Myślę, że jestem cierpliwa i wyrozumiała — oznajmiła Joyce — i zawsze doskonale sobie radziłam ze starszymi ludźmi.

— Będzie pani musiała wykonywać pewne polecenia mojej ciotki oraz opiekować się moim trzyletnim synkiem. Jego matka umarła przed rokiem.

— Rozumiem.

— Więc jeśli odpowiada pani ta posada, uważajmy sprawę za załatwioną — oświadczył po chwili milczenia pan Allaby. — Wyjeżdżamy w przyszłym tygodniu. Podam pani dokładną datę i przypuszczam, że chciałaby pani otrzymać zaliczkę, by przygotować się do tego wyjazdu.

— Bardzo dziękuję. To bardzo miło z pańskiej strony.

Oboje wstali.

— Nie lubię się wtrącać — powiedział nagle pan Allaby niepewnie — to znaczy chciałbym wiedzieć... czy pani pies dobrze się czuje?

Joyce po raz pierwszy spojrzała na niego. Zarumieniała się, a jej niebieskie oczy pociemniały. Przyjrzała mu się uważnie. Sądziła, że pan Allaby jest starszy niż był w

rzeczywistości. Miał siwiejące włosy, miłą, ogorzałą twarz, lekko przygarbione plecy i piwne oczy, w których malowało się coś z psiej łagodności. Przyszło jej do głowy, że trochę przypomina psa.

— Och, to pan! — zawołała. — Dopiero później zdałam sobie sprawę, że w ogóle panu nie podziękowałam.

— Nic nie szkodzi. Nie oczekiwałem tego. Wiedziałem, co pani czuje. A co z tym biednym psiakiem?

W oczach Joyce pojawiły się łzy i zaczęły spływać po policzkach. Nic na świecie nie było w stanie ich powstrzymać.

— Nie żyje.

— Och!

Pan Allaby nie powiedział nic więcej, ale to „Och!” było dla Joyce jedną z najbardziej pocieszających rzeczy, jakie kiedykolwiek usłyszała. Zawierało ono wszystko, czego nie można by wyrazić słowami.

— Prawdę mówiąc — wyjąkał po chwili — też miałem psa. Umarł przed dwoma laty. Byłem w tym czasie otoczony tłumem ludzi, którzy nie potrafili pojąć mojej rozpaczki po jego stracie. To okropne, kiedy człowiek musi udawać, że nic się nie stało.

Joyce kiwnęła głową.

— Rozumiem to... — powiedział pan Allaby.

Mocno uściskał jej dłoń i wyszedł z pokoju. Po chwili Joyce podążyła jego śladem. Następnie omówiła szczegóły swej pracy z elegancką urzędniczką. Kiedy wróciła do domu, spotkała na progu panią Barnes

— Przysłano ciało biednego pieska — oznajmiła z posępną miną. — Jest w pani pokoju. Powiedziałam o tym mojemu mężowi; gotów jest wykopać mały dół w ogrodzie za domem...

KWIAT MAGNOLII

I

Vincent Easton stał pod zegarem na dworcu Victoria. Od czasu do czasu z niepokojem na niego zerkał. Ciekawe, ilu innych mężczyzn czekało tu na kobietę, która nie przyszła? — spytał sam siebie. Przeszył go ostry ból. A jeśli Theo się nie zjawi, pomyślał, jeśli zmieniła zdanie? Kobiety robią takie rzeczy. Czy był jej pewien... czy kiedykolwiek był jej pewien? Czy naprawdę cokolwiek o niej wiedział? Czyż nie była dla niego zagadką od samego początku? Wydawała się posiadać dwie natury — z jednej strony uroczą, wesołą żonę Richarda Darrella, a z drugiej — milcząca, tajemnicza kobieta, która spacerowała z nim po ogrodzie Haymer's Close. Przyrównywał jaw myślach do kwiatu magnolii — może dlatego, że właśnie pod drzewem magnolii zakosztowali swego pierwszego, niewiarygodnie upajającego pocałunku. W powietrzu unosił się wówczas słodki zapach kwiatów magnolii, a parę wonnych, miękkich jak aksamit płatków opadło na jej uniesioną twarz. Płatków tak jasnych i delikatnych jak jej cera. Tak, przypominała mu kwiat magnolii — egzotyczny, aromatyczny, tajemniczy.

To wydarzyło się przed dwoma tygodniami... poznał ją dzień wcześniej. A teraz czekał na nią... miała zostać z nim na zawsze. Znowu przeszło go uczucie niepewności. Nie przyjdzie, pomyślał. Jakże mógł kiedykolwiek w to wierzyć? Musiałaby zrezygnować z tak wielu rzeczy. Piękna pani Darrell nie mogła tego zrobić po cichu. Wywołałoby to sensację, olbrzymi skandal, który nigdy nie poszedłby w niepamięć. Istniały lepsze, dogodniejsze sposoby załatwiania takich spraw — na przykład dyskretny rozwód.

Nigdy nawet o tym nie pomyśleli — przynajmniej jemu nie przyszło to do głowy. Zastanawiał się, czy przychodziło do głowy jej. Nigdy nie wiedział, o czym ona myśli. Nieśmiało zaproponował, by z nim odeszła — ale w końcu kimże on był? Nikim szczególnym — jednym z tysiąca plantatorów pomarańczy w prowincji Transwal. Cóż mógł jej zaoferować po blaskach Londynu! A jednak tak rozpaczliwie jej pragnął, że musiał o to zapytać.

Zgodziła się bez chwili wahania czy protestów, jakby poprosił ją o najprostszą rzecz na świecie.

— Więc jutro? — spytał zdumiony, niemal nie dowierzając własnym uszom.

Przyrzekła mu to swym aksamitnym, łagodnym głosem. Nie była w tym momencie roześmianą i błyskotliwą damą z towarzystwa. Kiedy ujrzał ją po raz pierwszy, przywiodła mu na myśl lśniący brylant, od którego niezliczonych ścianek odbijają się refleksy światła. Ale po owym pocałunku zmieniła się w zamgloną, delikatną perłę, różową perłę o odcieniu kwiatu magnolii.

Przyrzekła. A teraz czekał na nią, by spełniła swą obietnicę.

Znowu zerknął na zegar. Jeśli ona zaraz nie przyjdzie, spóźnią się na pociąg.

Ogarnęła go fala zwątpienia. Nie przyjdzie! pomyślał. Na pewno nie przyjdzie. Jakim był głupcem, że kiedykolwiek na to liczył! Cóż znaczyły obietnice? Po powrocie do swego mieszkania znajdzie list zawierający wyjaśnienia, protesty, wszystkie frazesy, których używają kobiety, kiedy usiłują usprawiedliwić swój brak odwagi.

Poczuł gniew — gniew i gorycz zawiedzionych nadziei.

Potem ją dostrzegł; szła w jego stronę po peronie z bladym uśmiechem na twarzy. Szła spokojnym krokiem, nie spiesząc się, jak ktoś, kto ma przed sobą całą wieczność. Miała na sobie obcisłą czarną suknię i mały czarny kapelus, który podkreślał jasną cerę jej twarzy.

— Więc jednak przyszłaś... — wymamrotał bez sensu, ściskając jej dłoń. — Mimo wszystko przyszłaś!

— Oczywiście — odparła spokojnie głosem.

— Sądziłem, że zmieniłaś zdanie — powiedział, z trudem łapiąc oddech.

Theo otworzyła szeroko oczy... duże, piękne oczy. Malowało się w nich zdumienie, szczere dziecięce zdumienie.

— Dlaczego tak myślałeś?

Nie odpowiedział. Odwrócił się i zatrzymał przechodzącego obok bagażowego. Czas naglił. Na kilka minut zapanował zamęt i chaos. Potem siedzieli już swym przedziale, a przed ich oczami przesuwały się szare domy południowych dzielnic Londynu.

II

Theodora Darrell siedziała naprzeciw Vincenta. W końcu należała do niego. Nagle uświadomił sobie, że do ostatniej chwili w to nie wierzył. Po prostu nie miał odwagi uwierzyć. Przerażała go otaczająca ją magiczna, nieuchwytna atmosfera. Wydawało się wręcz nieprawdopodobne, by kiedykolwiek mogła należeć do niego.

Teraz napięcie minęło. Zrobili nieodwracalny krok. Spojrzał na ukochaną, która siedziała nieruchomo w kącie przedziału. Na jej ustach błąkał się ledwie dostrzegalny uśmiech. Miała spuszczone oczy, a długie czarne rzęsy rzucały cienie na jej blade policzki.

Czym się martwi? — spytał sam siebie. O czym rozmyśla? O mnie? O swoim mężu? Ciekawe, co ona w ogóle o nim sądzi? Czy kiedykolwiek go kochała? A może nigdy jej na nim nie zależało? Czy go nienawidzi, czy też mąż jest jej po prostu obojętny? Nie wiem. I nigdy się nie dowiem. Kocham ją, ale nic o niej nie wiem... o czym myśli, ±o czuje.

Nie mógł zapomnieć o mężu Theodory Darrell. Znał wiele zamężnych kobiet aż nadto skłonnych do rozmów na temat własnych mężów, którzy ich nie rozumieją, lekceważą ich subtelne uczucia. Vincent Easton odkrył, że rozmowa o mężach to jeden ze skuteczniejszych sposobów nawiązania konwersacji.

Ale Theo, jeśli nie liczyć zdawkowych uwag, nigdy nie wspominała o Richardzie Darrellu. Easton wiedział o nim tyle co wszyscy. Był lubianym i przystojnym mężczyzną o ujmującym, beztroskim sposobie bycia. Cieszył się ogólną sympatią. Jego stosunki z żoną układały się na pozór doskonale. Ale Vincent doszedł do wniosku, że to niczego nie dowodzi. Theo była dobrze wychowana i nigdy nie demonstrowałaby publicznie swych pretensji.

Nigdy nie rozmawiali o jej małżeństwie. Od tego pamiętnego wieczora, kiedy milcząc, ramię przy ramieniu spacerowali po ogrodzie, a Vincent poczuł, że jego dotyk wywołuje lekkie drzenie jej ciała, niczego mu nie tłumaczyła, nie mówiła o swojej sytuacji. Kiedy odwzajemniała jego pocałunki, była nieśmiałą, skromną kobietą, pozbawioną owej olśniewającej błyskotliwości, z której słynęła. Nigdy nie wspominała o swym mężu. Vincent był jej wówczas za to wdzięczny. Cieszyło go, że oszczędziła mu wysłuchiwanie skarg kobiety pragnącej zapewnić sobie i swego ukochanego, iż mają prawo poddać się sile uczucia.

Ale teraz to ciche milczenie zaczęło go niepokoić. Znowu ogarnął go paniczny strach. Przerażała go myśl, że nic nie wie o tej niezwyklej istocie, która dobrowolnie związała z nim swoje życie. Bał się.

Aby rozproszyć swe wątpliwości, odruchowo pochylił się do przodu i położył rękę na jej kolanie. Czując wstrząsający ją lekki dreszcz, sięgnął po jej dłoń i złożył na niej długi, przeciągły pocałunek. Kiedy ścisnęła go lekko za rękę, podniósł wzrok, spojrzał jej w oczy i pozbył się swych obaw.

Odchylił się do tyłu. W tej chwili nie chciał niczego więcej. Byli razem. Ona należała do niego.

— Jesteś bardzo milcząca — powiedział w końcu beztroskim, niemal żartobliwym tonem.

— Doprawdy?

— Owszem. — Odczekał minutę, a potem spytał poważnie: — Czy jesteś pewna, że nie... żałujesz swej decyzji?

— Och, nie! — odparła, szeroko otwierając oczy.

Jej odpowiedź nie obudziła w nim żadnych wątpliwości. Brzmiała w niej nieklamana szczerłość.

— Chciałbym wiedzieć, o czym myślisz.

— O tym, że się boję — odparła cicho.

— Boisz się? Ale czego?

— Szczęścia.

Usiadł obok niej, objął ją, a potem ucałował jej delikatną twarz i szyję.

— Kocham cię — wyznał. — Kocham cię... naprawdę cię kocham.

W odpowiedzi przyłgnęła do niego i poddała jego pieścizotom.

Potem wrócił na swoje miejsce w rogu przedziału. Wziął czasopismo, a ona zrobiła to samo. Co jakiś czas spoglądali na siebie i uśmiechali się.

Przyjechali do Dover tuż po piątej. Mieli spędzić tam noc, a następnego dnia popłynąć na kontynent. Theo weszła do hotelowego apartamentu, a Vincent podążył w ślad za nią. Trzymał w ręku kilka wieczornych wydań gazet, które rzucił na stół. Dwaj chłopcy hotelowi wnieśli ich bagaże i oddalili się.

Theo stała przy oknie i wyglądała na ulicę. Potem odwróciła się do Vincenta i od razu padli sobie w objęcia.

Usłyszeli dyskretne pukanie do drzwi, więc odsunęli się od siebie.

— Niech to wszystko diabli — powiedział Vincent. — Zdaje się, że nie zostawią nas w spokoju.

— Chyba masz rację — przytaknęła cicho Theo, uśmiechając się. Usiadła na kanapie i wzięła gazetę.

Był to kelner, który przyniósł im herbatę. Postawił tacę na stole, przysunął go do kanapy, na której siedziała Theo, rozejrzał się szybko po salonie, spytał, czy życzą sobie czegoś jeszcze, i odszedł.

Vincent, który zniknął w przyległym pokoju, wrócił do salonu.

— Czas na herbatę — oznajmił wesoło, ale nagle zatrzymał się pośrodku pokoju. — Czy coś się stało? — spytał.

Theo siedziała nieruchomo. Patrzyła przed siebie nieprzytomnym wzrokiem, a jej twarz była śmiertelnie blada.

— Co się stało, kochanie? — spytał, podchodząc do niej pospiesznie.

W odpowiedzi wyciągnęła w jego stronę gazetę, wskazując palcem jakiś tytuł.

— BANKRUKTWO FIRMY HOBSON, JEKYLL I LUCAS — przeczytał. W tym momencie nazwa dużej londyńskiej firmy nic mu nie mówiła, choć gdzieś w zakamarkach pamięci dręczyło go przeświadczenie, że powinna mu się z czymś kojarzyć. Zerknął pytająco na Theo.

— Hobson, Jekyll i Lucas to firma Richarda — wyjaśniła.

— Twojego męża?

— Tak.

Vincent uważnie przeczytał lakoniczne informacje. Uderzyły go takie sformułowania jak „niespodziewany krach”, „napływ sensacyjnych informacji” i „poważne następstwa dla innych firm”.

Słyszając jakiś szmer, podniósł wzrok. Theo poprawiała właśnie przed lustrem swój mały czarny kapelusz. Odwróciła się i z powagą spojrzała mu prosto w oczy.

— Vincent... muszę wracać do Richarda. Vincent zerwał się na równe nogi.

— Theo... nie pleć głupstw.

— Muszę wracać do Richarda — powtórzyła mechanicznie.

— Ależ, kochanie...

Ruchem ręki wskazała leżącą na podłodze gazetę.

— To oznacza ruinę... bankructwo. Nie mogę odejść od niego w takiej chwili.

— Przecież odeszłaś od niego, zanim się o tym dowiedziałaś. Bądź rozsądna!

— Nie rozumiesz — powiedziała, potrząsając posępnie głową. — Muszę wracać do Richarda.

Vincent nie mógł jej odwieść od tej decyzji. Wydawało mu się dziwne, że tak delikatna, tak ulegająca wpływom istota potrafi być tak bardzo nieustępliwa. Nawet z nim nie

dyskutowała. Pozwoliła mu bez przeszkód powiedzieć to, co miał jej do powiedzenia. Wziął ją w ramiona, próbując przełamać jej upór i zniewalając zmysły, ale choć odwzajemniała jego pocałunki, wyczuł w niej niezłomność, która oparła się wszystkim jego wysiłkom.

W końcu zniechęcony i znużony daremnymi zabiegami, wypuścił ją z objęć. Miejsce błagalnych próśb zajęły teraz gorzkie wyrzuty. Oskarżał ją o to, że nigdy go nie kochała. Również i to przyjęła w milczeniu, a bolesny wyraz jej twarzy zadawał kłam jego słowom. Potem ogarnął go niepohamowany gniew; obrzucił ją wszystkimi okrutnymi epitetami, jakie tylko przyszły mu do głowy, pragnąc sprawić jej ból i powalić ją na kolana.

W końcu zabrakło mu słów; nie miał już nic więcej do powiedzenia. Usiadł z twarzą ukrytą w dłoniach, patrząc na czerwony dywan. Theodora stała już przy drzwiach. Przypominała czarną zjawę o bladej twarzy.

Wszystko było skończone.

— Żegnaj, Vincent — wyszeptała. Nie odpowiedział.

Drzwi się otworzyły... a potem znów zamknęły.

III

Państwo Darrell mieszkali w Chelsea, w ładnym, staromodnym domu z ogrodem. Rosło przed nim przywiedle drzewo magnolii.

W mniej więcej trzy godziny później Theo spojrzała na nie stojąc na progu swego domu. Nagle jej usta wykrzywił bolesny uśmiech.

Poszła prosto do mieszczącego się na tyłach budynku gabinetu. Chodził po nim tam i z powrotem młody, przystojny mężczyzna, na którego twarzy malowała się troska.

— Dzięki Bogu, zjawiał się, Theo — zawołał z ulgą na jej widok. — Powiedziano mi, że zabrałaś swój bagaż i wyjechałaś z miasta.

— Usłyszałam wiadomości i wróciłam.

Richard Darrell objął ją i pociągnął w stronę kanapy. Usiedli obok siebie. Theo w sposób zupełnie naturalny uwolniła się z jego uścisku.

— Czy ta sprawa wygląda bardzo źle, Richard? — spytała cicho.

— Tak źle jak tylko jest to możliwe... wiele by o tym mówić.

— Więc powiedz mi!

Przedstawił jej szczegóły, krążąc nerwowo po gabinecie. Theo siedziała nieruchomo, uważnie mu się przyglądając. Nie mógł wiedzieć, że od czasu do czasu jego głos przestaje do niej docierać, że kontury gabinetu tracą ostrość, a przed jej oczami pojawia się inny pokój — pokój hotelowy w Dover. Mimo to słuchała go z pewnym skupieniem. Skończył i usiadł obok niej na kanapie.

— Na szczęście — dodał — nie mogą tknąć twojego posagu. Dom również należy do ciebie.

— Tak czy owak to nam pozostanie — powiedziała, z zadumą kiwając głową. — A więc nie będzie aż tak źle. Oznacza to po prostu nowy początek.

— No tak, masz rację.

Ale jego głos nie zabrzmiał szczerze, a Theo pomyślała nagle: Jest coś jeszcze. Nie wyznał mi całej prawdy.

— Czy to już wszystko, Richard? — spytała łagodnie. — Nie masz mi do przekazania jakichś gorszych wiadomości?

— Gorszych? — odparł po chwili wahania. — Cóż by to mogło być?

— Nie wiem — powiedziała Theo.

— Wszystko będzie dobrze — oznajmił Richard, jakby starając się bardziej uspokoić samego siebie niż rozproszyć wątpliwości Theo.

— Cieszę się, że wróciłaś — powiedział, nagle ją obejmując. — Teraz, skoro tu jesteś, wszystko ułoży się pomyślnie. Bez względu na to, co się jeszcze wydarzy, mam ciebie, prawda?

— Owszem, masz mnie — odparła łagodnie. Tym razem nie uwolniła się z jego uścisku.

Richard pocałował ją i przytulił do siebie, jakby jej bliskość w jakiś dziwny sposób dodawała mu otuchy.

— Mam ciebie, Theo — powtórzył po chwili.

— Tak — odparła.

Zsunął się na podłogę i ukląkł u jej stóp.

— Jestem krańcowo wyczerpany — powiedział posepnie. — Mój Boże, cóż to był za dzień. Coś okropnego! Nie mam pojęcia, co bym zrobił, gdyby ciebie tu nie było. Ostatecznie, żona to żona, prawda?

Theo nie odezwała się, tylko przytaknęła ruchem głowy. Richard wtulił twarz w jej kolana i westchnął jak zmęczone dziecko.

Jest coś, o czym mi nie powiedział, znów pomyślała Theo. Cóż to może być?

Pogłaskała jego gładko uczesane, ciemne włosy ruchem matki pocieszającej dziecko.

— Skoro tu jesteś, wszystko będzie dobrze — mruknął niewyraźnie Richard. — Nie zawiedziesz mnie, prawda?

Zaczął wolno i równo oddychać. Zasnął. Theo nadal gładziła go po głowie, patrząc nieruchomym, nic nie widzącym wzrokiem w rozpościerającą się przed nią ciemną przestrzeń.

— Czy nie sądzisz, Richardzie — spytała w trzy dni później Theodora, kiedy przed kolacją siedzieli w salonie — że lepiej będzie, jeśli mi o wszystkim powiesz?

Richard wzdrygnął się i poczerwieniał.

— Nie wiem, o co ci chodzi — odparł wymijająco.

— Doprawdy?

Przeszył ją przenikliwym spojrzeniem.

— Oczywiście, istnieją... no cóż... pewne szczegóły.

— Czy nie uważasz, że skoro mam ci pomóc, to powinienam wiedzieć o wszystkim?

— Dlaczego przypuszczasz, że potrzebuję twojej pomocy? — spytał, patrząc na nią dziwnym wzrokiem.

— Mój drogi, przecież jestem twoją żoną — odparła nieco zdziwiona.

Nagle jego twarz rozjaśnił dawny, miły, beztroski uśmiech.

— To prawda, Theo. Do tego niezwykle atrakcyjną żoną. Nigdy nie mogłem znieść widoku brzydkich kobiet.

Zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju, jak zwykle, kiedy coś go niepokoiło.

— Nie przeczę, że masz trochę racji — powiedział w końcu.

— Istnieje pewien problem. — Przerwał.

— Tak? Jaki problem?

— Piekielnie trudno wytłumaczyć kobietom tego rodzaju sprawy. Zawsze wszystko rozumieją opacznie...

Theo nie odezwała się.

— Widzisz — ciągnął Richard — prawo to jedna rzecz, a dobro i zło to zupełnie coś innego. Mogę postępować całkiem uczciwie, ale z punktu widzenia prawa będzie to traktowane inaczej. W dziewięciu przypadkach na dziesięć wszystko się udaje, a za dziesiątym razem... no cóż, natrafiasz na przeszkodę.

Theo zaczęła rozumieć. Dlaczego nie jestem zaskoczona? — spytała samą siebie. Czyż w głębi duszy nie wiedziałam od początku, że nie postępuje uczciwie?

Richard nie przestawał mówić. Tłumaczył się z przesadną wylewnością. Theo była zadowolona, że topi w tym potoku gadulstwa szczegóły całej afery. Sprawa dotyczyła jakiejś dużej posiadłości w południowej Afryce. Nie chciała wiedzieć, co dokładnie zrobił Richard. Zapewniał ją, że z punktu widzenia etyki postępował w sposób uczciwy i rzetelny; z punktu widzenia prawa... no cóż, naraził się na zarzut popełnienia przestępstwa.

Od czasu do czasu przenikliwie spoglądał na swą żonę. Był zdenerwowany i niespokojny. Wciąż próbował się usprawiedliwiać i tuszować prawdę, którą potrafiłoby dostrzec nawet dziecko.

W końcu, przytłoczony wyrzutami sumienia, załamał się. Być może przyczyniły się do tego pogardliwe spojrzenia Theo. Opadł na stojący obok kominka fotel i ukrył twarz w dłoniach.

— To wszystko — powiedział drżącym głosem. — Co zamierzasz zrobić?

Theo podeszła do niego i przyklękawszy obok fotela, przytuliła policzek do jego twarzy.

— A co można zrobić, Richardzie? Co możemy zrobić? Richard przyciągnął ją bliżej.

— „My”? Więc zostaniesz przy mnie?

— Tak, kochany, oczywiście.

— Jestem złodziejem, Theo — wyznał w mimowolnym przypiływie szczerości. — Do tego się to sprowadza... po prostu złodziejem.

— A więc ja jestem żoną złodzieja, Richardzie. Razem pójdziemy na dno albo utrzymamy się na powierzchni.

Przez chwilę oboje milczeli. W końcu Richard odzyskał odrobinę swej zwykłej pogody ducha.

— Wiesz, Theo, mam pewien plan, ale porozmawiamy o nim później. Nadchodzi pora kolacji. Musimy się przebrać. Włóż tę swoją kremową suknię.

— Na kolację w domu? — spytała, ze zdziwieniem unosząc brwi.

— Tak, może to dziwna prośba. Ale uwielbiam tę suknię. Bądź miła i zrób to dla mnie. Kiedy wyglądasz pięknie, poprawia mi się humor.

Theo zeszła na kolację w sukni z kremowego brokatu, ozdobionej delikatnym złotym deseniem, któremu dodawał ciepła odcień jasnego różu. Głęboko wycięty dekolot odsłaniał olśniewająco białe ramiona i szyję Theodory. Teraz wyglądała naprawdę jak kwiat magnolii.

— Wspaniale — powiedział Richard, patrząc na nią z wyraźną aprobatą. — W tej sukni wyglądasz po prostu oszalamiająco.

Weszli do jadalni. Przez cały wieczór Richard był zdenerwowany i nieswój; żartował i śmiał się z byle czego, jakby bezskutecznie usiłując zrzucić z siebie troski. Kilkakrotnie Theo próbowała sprowadzić dyskusję na temat, który omawiali wcześniej, ale on wyraźnie go unikał.

Kiedy wstała od stołu, by udać się do łóżka, Richard przeszedł do sedna sprawy.

— Nie, jeszcze nie odchodź. Mam ci coś do powiedzenia. O tej nieszczęsnej aferze.

Theo usiadła.

Zaczął szybko mówić. Twierdził, że przy odrobinie szczęścia cały skandal można by zatuszować. Że dość dobrze zatarł za sobą ślady. Jeśli pewne dokumenty nie wpadną w ręce syndyka masy upadłościowej... — Zrobił znaczącą przerwę.

— Dokumenty? — spytała Theo ze zdumieniem. — Chcesz powiedzieć, że zamierzasz je zniszczyć?

— Zniszczyłbym je bez chwili namysłu — odparł Richard, krzywiąc się z niesmakiem — gdybym je miał. I w tym właśnie jest cały problem!

— Więc kto je ma?

— Człowiek, którego oboje znamy... Vincent Easton. Theo wyrwał się cichy okrzyk. Choć próbowała go powstrzymać, nie uszedł on uwagi Richarda.

— Od samego początku podejrzewałem, że on coś wie o tej sprawie. Dlatego właśnie zapraszałem go do nas dość często. Chyba pamiętasz, że prosiłem cię, byś była dla niego miła?

— Tak, pamiętam.

— Mam wrażenie, że nigdy nie udało mi się nawiązać z nim przyjaznych stosunków. Sam nie wiem dlaczego. Ale on cię lubi. Chyba nawet bardzo cię lubi.

— Tak, to prawda — przyznała.

— Ach! — stwierdził z zadowoleniem. — To doskonale. Teraz rozumiesz, do czego zmierzam. Jestem przekonany, że gdybyś poszła do Vincenta Eastona i poprosiła go o te dokumenty, chyba nie byłby w stanie ci odmówić. Wiesz, co potrafi osiągnąć piękna kobieta.

— Nie mogę tego zrobić — odparła szybko Theo.

— Nonsens.

— To wykluczone.

Na twarzy Richarda pojawiły się czerwone plamy. Był wściekły.

— Moja droga, chyba nie wiesz, w jakiej znaleźliśmy się sytuacji. Jeśli ta sprawa wyjdzie na jaw, mogę pójść do więzienia. To byłaby ruina... hańba.

— Vincent Easton nie wykorzysta tych dokumentów przeciwko tobie. Jestem tego pewna.

— Nie w tym rzecz. Może nie zdawać sobie sprawy, że one mnie obciążają. Dopiero w połączeniu z... z zapisami, które znajdują w księgach... Och! Nie chcę wchodzić w szczegóły. On mnie zrujnuje, nie wiedząc co robi, jeśli ktoś mu tego nie wyjaśni.

— Chyba możesz załatwić to sam. Napisz do niego.

— Dużo by mi z tego przyszło! Nie, Theo, mamy tylko jedną szansę. Jesteś atutową kartą. Jesteś moją żoną. Musisz mi pomóc. Pojedź do niego jeszcze dziś...

— Nie, nie dzisiaj! — krzyknęła Theo. — Może jutro.

— Mój Boże, Theo, czy ty naprawdę nic nie rozumiesz? Jutro może być już za późno. Gdybyś mogła pojechać tam teraz... natychmiast... do jego mieszkania... — Zobaczył jej bolesny grymas i próbował dodać jej odwagi. — Wiem, kochanie. Zbyt wiele od ciebie wymagam. Ale to sprawa życia lub śmierci. Chyba mnie nie zawiedziesz? Powiedziałaś, że zrobisz wszystko, by mi pomóc...

— Ale nie to — odparła nieswoim głosem. — Istnieją pewne powody.

— To sprawa życia lub śmierci, Theo. Naprawdę. Popatrz. Szybkim ruchem wyciągnął z szuflady biurka rewolwer.

Jeśli w jego geście było coś teatralnego, uszło to jej uwagi.

— Zrobisz to albo się zastrzelę. Nie zniosę kompromitacji. Jeśli nie spełnisz mojej prośby, będę martwy, zanim wstanie świt. Przysięgam ci solennie, że to prawda.

— Nie, Richard, nie rób tego! — krzyknęła cicho Theo.

— Więc pomóż mi.

Rzucił rewolwer na stół i ukląkł przed nią.

— Theo, najdroższa, jeśli mnie kochasz... jeśli kiedykolwiek mnie kochałaś... zrób to dla mnie. Jesteś moją żoną, Theo, poza tobą nie mam nikogo, do kogo mógłbym się zwrócić.

Tak długo mówił, szeptał, błagał, że w końcu uległa.

— No dobrze... niech tak będzie — wykrztusiła z trudem. Richard odprowadził ją do drzwi i pomógł jej wsiąść do taksówki.

IV

— Theo!

Vincent Easton zerwał się na równe nogi, nie dowierzając swemu szczęściu. Theo stała w drzwiach. Na ramionach miała narzucone białe futro z gronostajów. Nigdy nie wyglądała równie pięknie.

— Więc jednak przyszedł.

Kiedy ruszył w jej stronę, powstrzymała go gestem ręki.

— Nie, Vincent, to nie to, o czym myślisz — powiedziała pospiesznie, cichym głosem. — Jestem tu z powodu mojego męża. Richard przypuszcza, że masz pewne dokumenty, które mogłyby... mu zaszkodzić. Przyszedłam prosić, żebyś mi je dał.

Vincent stał nieruchomo, patrząc na nią. Potem roześmiał się.

— Więc o to chodzi, tak? Wydawało mi się, że słyszałem o firmie Hobson, Jekyll i Lucas, ale wówczas nie potrafiłem jej z niczym skojarzyć. Nie wiedziałem, że twój mąż jest z nią związany. Od jakiegoś czasu działa się tam coś złego. Polecono mi zbadać tę sprawę. Podejrzywałem kogoś z pracowników. Nie przypuszczałem, że może chodzić o szefa.

Theo nie odezwała się. Vincent spojrział na nią z ciekawością.

— Czy to jest dla ciebie obojętne? — spytał. — To, że... no cóż... postawmy sprawę jasno... że twój mąż jest po prostu oszustem?

Theo potrząsnęła głową.

— Nie jestem w stanie tego pojąć — powiedział Vincent. — Czy możesz poczekać parę minut? Przyniosę te dokumenty.

Theo usiadła na krześle. Vincent poszedł do drugiego pokoju. Po chwili wrócił i wręczył jej niewielki pakunek.

— Dziękuję — powiedziała Theo. — Czy masz zapalki? Kiedy jej podał pudełko, przyklękała przy kominku. Gdy dokumenty zamieniły się w kupkę popiołu, wstała.

— Dziękuję — powtórzyła.

— Nie ma za co — odparł Vincent. — Wezwę ci taksówkę. Odprowadził ją na dół, a potem patrzył, jak odjeżdża.

Było to dziwne, oficjalne, krótkie spotkanie. Spojrzeli sobie w oczy tylko raz, a później już nie odważyli się podnieść na siebie wzroku. No cóż, to był koniec. Vincent chciał wyjechać... gdzieś za granicę, chciał zapomnieć.

Theo powiedziała kilka słów do taksówkarza. Nie miała ochoty od razu wracać do domu w Chelsea. Potrzebowała chwili wytchnienia. Ponowne spotkanie z Vincentem bardzo nią wstrząsnęło. Gdyby tak... gdyby. Ale zapanowała nad sobą. Nie kochała swego męża, ale czuła się zobowiązana do lojalności. Był zrujnowany, nie mogła go opuścić. Bez względu na to, co zrobił, kochał ją; popełnił karygodny czyn wobec społeczeństwa, ale nie w stosunku do niej.

Taksówka krążyła po szerokich ulicach Hampstead. Kiedy wjechali na wrzosowisko, policzki Theo orzeźwił powiew chłodnego powietrza. Znowu panowała nad sobą. Samochód pomknął z powrotem w kierunku Chelsea.

Richard wyszedł jej na spotkanie.

— I co? — spytał. — Długo cię nie było.

— Doprawdy?

— Owszem... bardzo długo. Czy... czy wszystko w porządku? Szedł za nią. Ręce mu drżały, ale w oczach pojawił się przebiegły błysk.

— Czy... czy wszystko w porządku? — spytał jeszcze raz.

— Własnoręcznie je spaliłam.

— Och!

Theo weszła do gabinetu i zatonęła w dużym fotelu. Miała śmiertelnie bladą twarz i padała ze zmęczenia.

Gdybym tylko mogła teraz zasnąć i nigdy, nigdy więcej się nie obudzić! — pomyślała.

Richard od czasu do czasu zerkał na nią ukradkiem. Theo niczego nie zauważała.

— Więc wszystko dobrze poszło, co?

— Przecież ci powiedziałam.

— Jesteś pewna, że to były właściwe dokumenty? Zajrzałaś do nich?

— Nie.

— Więc...

— Mówię ci, że jestem pewna. Nie dręcz mnie, Richard. Nie jestem w stanie znieść już dziś niczego więcej.

Richard poruszył się niespokojnie.

— Tak, tak. Rozumiem.

Krążył nerwowo po pokoju. Po chwili podszedł i położył dłoń na jej ramieniu. Theo straciła ją.

— Nie dotykaj mnie. — Próbowała się roześmiać. — Przepraszam, Richardzie. Mam bardzo napięte nerwy. Czuję, że nie zniósłabym czyjś dotknięcia.

— Wiem. Rozumiem.

Znów zaczął krążyć po pokoju.

— Theo! — wybuchnął nagle. — Cholernie mi przykro.

— Słucham? — Spojrzała na niego zaskoczona.

— Nie powinienem był pozwolić ci tam jechać tak późno w nocy. Nie przyszło mi nawet do głowy, że będziesz narażona na jakieś przykrości.

— Przykrości? — Roześmiała się. To słowo wyraźnie ją rozbawiło. — Nie rozumiesz! Och, Richard, nawet nie zdajesz sobie sprawy!

— Z czego nie zdajesz sobie sprawy?

— Ile ta noc mnie kosztowała — powiedziała bardzo poważnym tonem, patrząc przed siebie.

— Mój Boże! Theo! Nawet nie przypuszczałem... Ty... zrobiłaś to dla mnie? Cóż to za świnią! Theo... Theo... nie mogłem wiedzieć. Nie mogłem się domyślić. Mój Boże!

Ukląkł obok niej, objął ją, a ona odwróciła się i spojrzała na niego z lekkim zdziwieniem, jakby jego słowa dopiero teraz dotarły do jej świadomości.

— Ja... nawet nie przeszło mi przez myśl... — wyjąkał.

— Co nie przeszło ci przez myśl, Richard? Ton jej głosu zaskoczył go. — Powiedz mi. Co nie przeszło ci przez myśl?

— Theo, nie mówmy o tym. Nie chcę o tym wiedzieć. Nie chcę nawet o tym myśleć.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Była już skoncentrowana i czujna.

— Nie przeszło ci przez myśl... — Jej słowa brzmiały wyraźnie i dobitnie. — Jak sądzisz... co się stało?

— To się nie stało, Theo. Powiedzmy, że to się nie stało. Nadal na niego patrzyła, dopóki prawda nie zaczęła do niej docierać w całej swej ohydzie.

— Więc sądzisz, że...

— Nie chcę...

— Sądzisz — przerwała mu — że Vincent Easton zażądał za te dokumenty jakiejś zapłaty? Sądzisz, że ja... że mu zapłaciłam?

— Ja... nie przyszło mi do głowy, że on jest tego rodzaju człowiekiem — wyjąkał Richard, ale jego słowa nie zabrzmiały przekonująco.

V

— Doprawdy? — Spojrzała na niego przenikliwie. Richard spuścił oczy. — Dlaczego poprosiłeś mnie, bym dzisiejszego wieczora włożyła tę suknię? Dlaczego wysłałeś mnie tam samą o tak późnej porze? Domyśliłeś się, że... Vincent Easton jest we mnie zakochany. Chciałeś ratować swoją skórę... ratować ją za wszelką cenę... nawet za cenę mojego honoru.

— Wstała. — Teraz rozumiem. Od samego początku do tego zmierzałeś... albo przynajmniej dostrzegłeś taką możliwość i nic cię nie powstrzymało.

— Theo...

— Nie możesz temu zaprzeczyć, Richardzie. Już przed laty sądziłam, że wiem o tobie wszystko, co można było wiedzieć. Niemal od samego początku zdawałam sobie sprawę, że nie jesteś uczciwy wobec świata. Ale uważałam, że jesteś uczciwy wobec mnie.

— Theo...

— Czy masz czelność zaprzeczyć?

Richard nie mógł wydobyć głosu.

— Posłuchaj, Richardzie. Muszę ci coś wyznać. Kiedy przed trzema dniami spadł na ciebie ten cios, służba poinformowała cię, że wyjechałam na wieś. Było to tylko po części prawdą. Wyjechałam z Vincentem Eastonem...

Richard wydał z siebie jakiś nieartykułowany dźwięk. Theo powstrzymała go gestem.

— Poczekaj. Byliśmy w Dover. Zobaczyłam gazetę... zdałam sobie sprawę z tego, co się stało. Potem, jak wiesz, wróciłam.

Przerwała.

Richard złapał ją za przegub i z wściekłością spojrzał jej w oczy.

— Wróciłaś... czy w porę? Theo zaśmiała się z goryczą.

— Owszem, wróciłam, jak mówisz „w porę”.

Puścił jej rękę. Stał przy kominku z odchyłoną do tyłu głową. Wyglądał przystojnie i szlachetnie.

— W takim razie — oznajmił — mogę ci wybaczyć.

— Ale ja nie mogę.

Oba stanowczo wypowiedziane zdania zabrzmiały w cichym pokoju jak eksplozja. Richard ruszył w jej stronę. Miał wytrzeszczone oczy i szeroko otwarte usta, co nadawało jego twarzy dość groteskowy wygląd.

— Co... co powiedziałaś, Theo?

— Powiedziałam, że nie mogę ci wybaczyć! Porzucając cię dla innego mężczyzny, zgrzeszyłam. Nie popełniłam grzesznego czynu, ale miałam grzeszne zamiary, co wychodzi na to samo. Ale uczyniłam to z miłości. Ty również nie byłeś mi wierny w czasie naszego małżeństwa. Och, tak, wiem o tym. Wybaczałam ci to, ponieważ naprawdę wierzyłam w twoją miłość do mnie. Ale twój dzisiejszy postępek to coś innego. Zachowałeś się nikczemnie, Richardzie... a tego żadna kobieta nie wybaczy. Sprzedałeś mnie, własną żonę, by okupić swoje bezpieczeństwo!

Wzięła futro i odwróciła się w stronę drzwi.

— Theo — wyjąkał Richard — dokąd idziesz? Spojrzała na niego przez ramię.

— Wszyscy musimy płacić w życiu doczesnym, Richard. Ja za mój grzech muszę zapłacić samotnością. Ty za swój... no cóż, zagrałeś o wysoką stawkę i przegrałeś!

— Więc odchodzisz?

Theo wzięła głęboki oddech.

— Tak, na wolność. Nic mnie tu już nie zatrzymuje. Richard usłyszał trzaśnięcie drzwi. Minęły lata, a może tylko minuty. Coś poruszyło się za oknem... opadał ostatni, delikatny, pachnący płatek kwiatu magnolii.